

WALKA RE- WOŁUCYJNA

W ZABORZE ROSYJSKIM

NAPISAŁ

JÓZEF PIŁSUDSKI

CZĘŚĆ I. BIBUŁA

KRAKÓW 1903

NAKŁADEM WYDAWNICTWA

„NAPRZODU“

JÓZEF PIŁSUDSKI

WALKA REWOLUCYJNA

W ZABORZE ROSYJSKIM

Fakty i wrażenia z ostatnich lat dziesięciu.

CZĘŚĆ I.

BIBUŁA.



KRAKOW 1903.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „NAPRZODU”.

PL 2 d 2

H II 6 b 1

404902

I

K-75/734
27.1. 120-



ODBITO W Drukarni WŁ. TEODORCZUKA I S-KI

WSTĘP.

Ktoś powiedział niegdyś, że Polacy są narodem konspiracyi i rewolucyi. Zdanie to tyczy się epoki przedpowstaniowej, zakończonej epopeą 63 roku. Wątpię jednak, by kiedykolwiek w przeszłości — wyłączając naturalnie krótkie okresy walki orężnej i bezpośrednich przygotowań do niej, było ono słuszniejszem niż dzisiaj, przynajmniej dla zaboru rosyjskiego. W obecnym czasie ruch rewolucyjny, organizacje i kółka konspiracyjne tak szeroko się rozgałęziły w zaborze rosyjskiem, zyskały tak powszechne prawo obywatelstwa, że prawdopodobnie większa część społeczeństwa polskiego tak lub inaczej jest z niemi ustosunkowana.

Jednych życie rewolucyjne pochłania całkowicie, czyniąc z nich zawodowych konspiratorów; drugich wciąga ono w swój wir częściowo, modyfikując i zastosowując do swych wymagań ich życie prywatne, poza rewolucyjne; trzecich zaczepia ono pośrednio, przez pierwszych i drugich, robiąc z nich chwilowych uczestników tej czy owej funkcyi re-

wolucyjnej, lub związując ich tak czy inaczej z życiem rewolucyjnym przez węzły pokrewieństwa, miłości, przyjaźni i nawet zwykłej znajomości z konspiratorami. Wreszcie do najszerzych kół dochodzą odgłosy bojów, toczonych w zaborze rosyjskim przez wzrastającą w siły rewolucję z przemocą rządową. Odgłosy te w postaci druków nielegalnych, strejków, manifestacyi, aresztowań i rewizyi, stały się niejako chlebem powszednim, czemś ogólnie znanem, omawianem i roztrząsanem przez ogół Polaków pod berłem carskiem.

Pomimo jednak szerokości ruchu rewolucyjnego, pomimo że wtargnął on nawet w dziedzinę życia prywatnego mnóstwa ludzi, dotąd jest on bardzo mało znany szerszemu ogółowi. Pochodzi to po pierwsze stąd, że najczęstszem stykaniem się z ruchem rewolucyjnym jest stykanie się z jego efektami publicznymi, z natury rzeczy nie mogącemi dać wyobrażenia o głęboko i rozmyślnie ukrytych ich sprężynach. Następnie musowe osłanianie tajemnicą szczegółów życia rewolucyjnego nie pozwala na badanie go przez niedyskretne oczy. Wreszcie ogromna większość ludzi, biorących obecnie udział w ruchu rewolucyjnym, to ludzie pługa i kielni, nie pióra, zatem trudno jest oczekiwać, by przez nich życie rewolucyjne znalazło swe odbicie w literaturze.

Wobec tego przy ocenach ruchu rewolucyjnego u nas stałem zjawiskiem jest przesada w tę lub inną stronę. Gdy jedni tworzą przesadne, pełne fantazyi legendy o rozmia-

rach, siłach i kierunku organizacyi rewolucyjnych w zaborze rosyjskim, inni niedoceniają ich znaczenia i pracy, widząc w nich wybryki niedojrzałej młodzieży, albo też zapoznając olbrzymie wysiłki umysłu i energii ludzi, organizujących i wprawiających w ruch maszynę rewolucyjną.

Należąc do stronnictwa rewolucyjnego, znając wielu z jego przedstawicieli, biorąc niekiedy udział w jego pracach, zebrałem mnóstwo spostrzeżeń i danych, które sam dla siebie starałem się nieraz zszeregować i zgrupować w jedną całość, by sobie dokładniej przedstawić stan rzeczy w Polsce.

Od dawna też nosiłem się z zamiarem spisania tych wrażeń. Życzenie moje zbiegło się z chęcią redakcyi „Naprzodu“ zaznajomienia swych czytelników z życiem i walkami braci z zakordonu.

Zgodnie z życzeniem redakcyi wybrałem dla swej pracy formę fejletonową. Wybrałem ją nie tylko dla tego, że była ona najłatwiejszą w wykonaniu, lecz i dla tego, że ułatwiła mi ona uporanie się z największą przeszkodą — względem na bezpieczeństwo towarzyszów, pracujących na niwie rewolucyjnej, mających za plecami żandarma a przed oczami cytadelę. W fejletonie łatwiej niż w poważniejszym dziele uniknąć stawiania kropki nad „i“, łatwiej pominąć to lub owo, usunąć niepotrzebne szczegóły, lub łączyć je w jedno dla uplastycznienia zjawisk typowych. Nie zaprzeczę jednak, że to ustawiczne trzyma-

nie pióra na uwieży musiało wpłynąć ujemnie, zmniejszając żywość i barwność opisu.

Pracę swą podzieliłem na trzy części. Pierwsza z nich, stanowiąca obecne wydawnictwo, zawiera opis tej części życia rewolucyjnego, która ma styczność z rozwojem i rozpowszechnianiem druków nielegalnych — bibułą. Drugą część poświęcę — ludziom — organizacyjnej i agitacyjnej stronie życia rewolucyjnego. Wreszcie trzecią efektom pracy rewolucyjnej i zmianom, jakie ona wywołuje w stosunkach społecznych u nas.

Dodać jeszcze muszę, że należąc do stronnictwa socyalistycznego i mając lepsze dane tylko o niem, pominąłem w zupełności wszystko to, co się tyczy innych, a raczej innego stronnictwa, pracującego tajnie w zaborze rosyjskim. Mówię o stronnictwie narodowo-demokratycznym.

Wreszcie niech mi będzie wolno złożyć tu serdeczne podziękowanie tym znajomym i przyjaciółom, którzy nadsyłając mi swoje wrażenia, uwagi i spostrzeżenia niechybnie się przyczynili do zwiększenia wartości mej pracy.

Józef Piłsudski.

Kraków, 3 listopada 1903 r.

I.

BIBUŁA.

TROCHE HISTORII.

Bibułę w żargonie rewolucyjnym zowią każdy druk nielegalny, nieopatrzony sakramentalną formułą: „dozwoleno cenzuroju“. Ilość tej bibuły z rokiem każdym wzrasta, wsiąkając coraz głębiej w warstwy ludowe, zataczając coraz szersze koła. Uznał to sam rząd. Książę Imeretyński w znanym swym memoryale stwierdza, że książka nielegalna wdarła się nawet pod strzechy włościańskie i przyczyniła się do wywołania nastroju przeciw-rządowego wśród chłopów. Nie trzeba jednak przypuszczać, że bibuła w zaborze rosyjskim ma zawsze treść rewolucyjną. Rząd rosyjski krepuje życie społeczne w tak różnorodnych kierunkach, że bodaj niema stronnictwa, które nie jest zmuszone obecnie wydawać swe publikacye nielegalnie, bez cenzury. Nawet ugodowcy, zasadniczy przeciwnicy roboty nielegalnej, wydali kilka książek zagranicą, by potem, niegorzej od rewolucjonistów, przemycić je przez kordon i rozpowszechnić w społeczeństwie. Jest więc bibuła klerykalna, patryotyczna, socyalistyczna, nawet ugodowa. Znajdziemy wśród niej utwory artystyczne wysokiej wartości, jak dzieła Wyspiańskiego lub Zycha, i lichoty patryotyczno-klerykalne; znajdziemy grube tomy

badan historycznych i drobne broszurki rozmaitych stronnictw; znajdziemy wreszcie zwyczajne książki do nabożeństwa, pisma peryodyczne, odezwy, obrazki, fotografie, korespondentki itp. rzeczy. Wszystko to przeciska się przez granicę różnemi drogami, rozchodzi się wszędzie, gdzie ludzie umieją czytać po polsku i staje się coraz bardziej potrzebą szerokiej, stale wzrastającej warstwy ludzi.

Nim jednak bibuła stała się tak poczytną, przejść musiała przez mnóstwo etapów i jej pierwsze kroki były bardzo skromne i niepewne. Gdy sobie przypomnę swe lata dziecińne, staje mi żywo w pamięci obraz mego pierwszego zetknięcia się z „bibułą“. Było to w dworku szlacheckim na Litwie jakie dziesięć lat po powstaniu. Wrażenie wieszielskich rządów Murawiewa było jeszcze tak świeże, że ludzie drżeli na widok munduru czynowniczego, a twarze ich wyciągały się, gdy w powietrzu zabrzmiał dzwonek, zwiastujący przybycie któregoś z przedstawicieli władzy moskiewskiej. W tym to czasie matka moja wyciągała niekiedy z jakiejś kryjówki, jej tylko wiadomej, kilka książeczek, które odczytywała, ucząc nas, dzieci, pewnych ustępów na pamięć. Były to utwory naszych wieszczów. Tajemnica, którą te chwile były otaczane, wzruszenie matki, udzielające się małym słuchaczom, zmiana dekoracyi, jaka następowała z chwilą, gdy niepożądany jaki świadek trafiał wypadkowo na nasze rodzinne konspiracye — wszystko to zostawiło niezatarte wrażenie w mym umyśle. Te właśnie

książki wraz z kilku innemi — pieśniami historycznemi Niemcewicza, paru broszurkami z czasów przedpowstaniowych — były bodaj jedynemi przedstawicielkami nieocenzurowanej literatury w tym czasie. Ocalały one podczas burzy powstaniowej w niewielkiej ilości, a chowane przez pietyzm jak relikwie, niszczone zaś przez tchórzostwo przy każdym istotnem lub przypuszczalnem niebezpieczeństwie, nie mogły wywierać szerokiego wpływu, ograniczając się najczęściej rodzinnem kołem posiadaczy takiej książki.

„Bibuła“ w tym czasie znajdowała przytułek u tych, którzy uparcie stali przy przegaszonym krwią bohaterów 63 roku i ledwie tlejącym zniczu narodowo-rewolucyjnym. Były to jakby mogilne płomyki, nieśmiało i chwiejnie oświetlające smutne twarze rozbitków, ocalałych z ogólnej klęski. Ale na mogiłach wyrasta trawa — z popiołów powstaje nowe życie, żądne słońca i swobody. I w Polsce, która wówczas była jedną wielką mogiłą, zazieleniało; zjawilo się nowe życie, nowy ruch, który, zrobiwszy wyłom w mrocznie-rzewanym stosunku do przeszłości, otworzył nowy okres dla nielegalnej książki. Mówię tu o ruchu socjalistycznym.

Od 1875—76 roku od czasu do czasu zaczynają się ukazywać druki socjalistyczne. Grono ich czytelników musiało naturalnie na razie być bardzo szczupłe, lecz zapal zwolenników idei socjalistycznej, oraz jej zaraźliwość wśród ludu pracującego rozszerzały je szybko w tej właśnie warstwie narodu,

do której dawniej cenzuralna nawet książka mały miała dostęp. Bibuła socjalistyczna przez dłuższy czas była jedyną, jaka istniała w steroryzowanym po powstaniu 63 roku społeczeństwie polkiem. Z czasem jednak odrętwienie i przestach minęły, tem bardziej, że walka socjalistów naocznie przekonywała ludzi, iż wyłamywanie się z pod barbarzyńskich praw caratu nie jest niemożliwe. Oprócz więc socjalistycznych książek i broszur, już w latach 80-tych spotkać można większą ilość niecenzuralnych książek — czy to zagranicznych wydań naszych poetów, czy to książek historycznych, czy wreszcie ulotnych broszur, w ten lub inny sposób oświeclających stan rzeczy w zaborze rosyjskim.

Lecz chociaż zastęp czytelników i ilość bibuły, kursującej w kraju, stale wzrastały, nie łatwo było przewyciężyć przeszkody, które tego rodzaju robocie stały na drodze. Przeszkody te były dwojakiiego rodzaju. Pierwsza z nich polegała na braku w kraju jakiegokolwiek organizacyi o tyle silnej i rozporządzającej takimi środkami, by zapewnić bibule stały kurs i zadowolić wymagania przynajmniej tej części odbiorców, która stanowiła stały kontyngent czytelników i rozpowszechnicieli bibuły. Zakazane druki ukazywały się zbyt sporadycznie, nieregularnie, dostarczaniem ich rządziła taka wypadkowość, że nikt nigdzie nie mógł być pewnym, że ten lub ów druk otrzyma. Organizacye rewolucyjne nie były trwałe, a ich środki techniczne zależne były od wypadków tak, iż nie-

kiedy bibuły było dużo, natomiast mijały miesiące całe bez świeżego dopływu. Nic dziwnego, że bibuła w oczach ludzi była czemś nadzwyczajnem, wpadającym do kraju drogą jakiegoś cudu, nagle i niespodzianie, czemś takim, co można otrzymać, lecz czego żądać nie wypada.

Oprócz tej zewnętrznej niejako przeszkody, istniały i wewnętrzne. Ludzie wprost bali się roboty nielegalnej, której przejawem była bibuła. Posiadanie książki nielegalnej w oczach otoczenia dawało jakby patent na działacza rewolucyjnego, a strach przed represją rządową, oraz dziecienna wiara w wszechpotęgę i wszechwiedzę policyi carskiej były wówczas jeszcze tak powszechne, że w większości wypadków unikano książki nielegalnej. Trzeba było ją ludziom wpychać w ręce, namawiać, by ją przeczytano, przekonywać, że nie jest ona tak niebezpieczną rzeczą. Jedni więc patrzyli na posiadanie książki nieocenzurowanej, jak na bohaterstwo, drudzy jak na szaleństwo, trzeci jak na zbrodnię, inni wreszcie jak na środek agitacji i sposób rozpowszechniania swych przekonań, rzadko jednak książka nielegalna była dla kogo wprost potrzebą, koniecznością w takich warunkach, jakie Polska pod caratem znosić musi.

W tem położeniu epoką dla bibuły stała się działalność Polskiej Partyi Socjalistycznej, w skróceniu zwanej P. P. S. Była to pierwsza z organizacyj rewolucyjnych w Polsce popowstaniowej, która potrafiła przetrwać dziesięć lat bez przerwy i która zdobyła się

na taką organizację i taką technikę, iż jej robota wydawnicza i kolporterska ani razu nie doznała poważniejszej przerwy. Na razie stałe ukazywanie się w większej ilości zagranicznych wydawnictw partii przyjęto z pewną nieufnością. Lecz gdy ilość ich coraz bardziej wzrastała, gdy w dodatku partya rozpoczęła stałe wydawać „Robotnika“ w kraju samym, gdy przez dłuższy czas usilne polowania żandarmeryi za drukarnią partyjną nie miały powodzenia, gdy wreszcie w samej kolporterce zapanowała pewna regularność i wydawnictwa zaczęły dochodzić do wszystkich odbiorców bez względu na to, czy mieszkają w Warszawie, czy na prowincyi — publiczność, jak robotnicza, tak inteligentna, uwierzyła w stałość i trwałość tego zjawiska.

Wrażenie, jakie wywarło powodzenie P. P. S. na całej przestrzeni państwa rosyjskiego, było ogromne. Wkrótce zewsząd zaczęły napływać propozycje sprowadzania z zagranicy takich lub innych wydawnictw. Do 1900 roku nie było bodaj żadnej organizacyjki rewolucyjnej w całym państwie, która takiej propozycji P. P. S. nie czyniła. Ludzie przyjeżdżali z Petersburga, Moskwy, Samary, jako delegowani najrozmaitszych kółek, żądając sprowadzenia to druków nielegalnych, to drukarni. Przypominam sobie pod tym względem zabawną rozmowę, jaką miałem w Londynie z jednym takim delegatem w roku 1897.

Skądś, z głębi Rosyi, z odpowiedniami rekomendacyami przybył poważny, już trochę szpakowaty mężczyzna i zwrócił się do mnie

z prośbą o pośrednictwo przy zawiązaniu stowarzyszenia z P. P. S.

— Jakiż ma pan interes do P. P. S.? — zapytałem.

— Hm! Interes jest bardzo skomplikowany. Widzi pan, my tam w Rosyi zawiązaliśmy stowarzyszenie w celu obalenia cenzury!

— Cenzury? — zawołałem zdumiony. — Ależ, panie, czy nie praktyczniej byłoby zacząć od obalenia cara, który tę cenzurę ustanawia.

— Pan mnie nie rozumie, car swoją drogą, cenzura swoją, tamto niech robią inni, my zaś weźmiemy się do cenzury.

Przytem zaczął mi szeroko dowodzić, jako cenzura jest jedną z najszkodliwszych instytucyj. Zgodziłem się na to chętnie, lecz poprosiłem, by mi wyjaśnił, w jaki sposób owo obalenie ma się odbywać i jaką rolę ma w tem odgrywać P. P. S.

Mój interlokutor znowu bardzo szeroko i wymownie mi dowiódł, że wszystkie partje rewolucyjne są zainteresowane w zniesieniu cenzury. Zgodziłem się i na to.

Wreszcie zaczął rozwijać plan owego stowarzyszenia. Chodziło o to, by ściągnąć do Rosyi i rozpowszechnić tak ogromną ilość druków zakazanych wszelkiego gatunku i rodzaju, że cenzura stałaby się nonsensem z powodu swej bezużyteczności.

Byłem coraz bardziej zbudowany ogromem pracy, którą przedsięwzięcie stowarzyszenia, więc raz jeszcze spytałem, jaką rolę wyznacza stowarzyszenie dla P. P. S. w tej akcji.

— Ależ, rzecz prosta! — zawołał poważny delegat. — My zobowiązemy się dostarczyć P. P. S. potrzebną ilość wydawnictw do jakiegokolwiek punktu Europy, P. P. S. zaś odda je nam w tym punkcie państwa rosyjskiego, który sama sobie wybierze.

Więc, jak się okazało, olbrzymi plan zniesienia cenzury oparty był na zdolności transportowej P. P. S. Byłem nieco przejęty wzruszeniem wobec tak wielkiego zaufania naiwnego delegata, lecz zacząłem go przekonywać, że P. P. S. ma nieco inne zadanie, niż walkę z cenzurą i że wobec tego trudnemby jej było zacieśnić swą pracę tylko do tego celu. Delegat odjechał rozgoryczony „nietolerancją P. P. S.“

W Polsce, gdzie ludzie tak „szerokich natur“ nie mają, nie istniały co prawda organizacje dla zniesienia cenzury, lecz raz po raz poszczególne osoby albo kółka tworzyły plany wydawnicze, oparte na pomocy P. P. S. w przewiezieniu tych wydawnictw do kraju. Wydawnicza i kolporterska działalność P. P. S. wniosła niejako do ponurego domu niewoli trochę Europy z jej swobodą druku i tem ogromnie ośmieliła ludzi. Bibuła przestała być czemś niezwykłym, ludzie przyzwyczajali się mieć ją w ręku, tak, iż po pewnym czasie w kółach, otrzymujących wydawnictwa P. P. S-owe, można było wprowadzić reformę, polegającą na tem, że część przynajmniej była sprzedawaną. Zjawili się nawet prenumeratorowie peryodycznych wydawnictw partyjnych.

Za przykładem P. P. S. wkrótce poszły inne organizacje nielegalne w Polsce — żydowska socjalistyczna organizacja „Bund“ i narodowa demokracja, które to organizacje trafiały do innych części narodu, gdzie nie sięgał wpływ P. P. S., i oswajały coraz szersze koła ludzi z nielegalną robotą i niecenzuralną literaturą.

Obok partyjnych wydawnictw w coraz większej ilości sprowadzano dzieła naukowe, przeważnie historyczne i utwory artystyczne, które o ile zajmują się tak żywotną dla Polaków sprawą, jak stosunek do najazdu, są w Rosyi zakazane. Ta ostatnia część bibuły dotarła do najbardziej tchórzliwych, najbardziej ugodowo usposobionych ludzi. Zresztą sami ugodowcy, chcąc wypowiedzieć się otwarcie, musieli się uciec do wydawania rzeczy nielegalnych. Pierwszem takim wydawnictwem ugodowem, które szerzej było rozpowszechnione, były „Stosunki polsko-rosyjskie“ Le-
liwy. Do otrzaskania się z bibułą najbardziej reakcyjnie usposobionych ludzi nie mało się przyczynił i znany memoriał ks. Imeretyńskiego, wykradziony i wydany przez P. P. S. Książka ta rozeszła się w tysiącach egzemplarzy i była czytana bodaj przez wszystkich inteligentnych Polaków.

Ilość bibuły, krążącej po kraju, nie daje się ściśle określić. Pod tym względem znam tylko cyfry, opublikowane przez P. P. S. w sprawozdaniu Centralnego komitetu partyi za czas do 1900 roku. Za rok 1899 sprawozdanie podaje cyfrę 99.872 jako ilość egzem-

plarzy najrozmaitszych druków, puszczonych tego roku w obieg. Inne partye danych takich nie ogłaszały, lecz ogólne wrażenie wszystkich znających stosunki jest takie, że ilość bibuły nie P. P. S-owej, kursującej w kraju, jest w każdym razie nie mniejszą. Podwoiwszy tę cyfrę i dodawszy do niej przypuszczalną ilość bibuły nie partyjnej, oraz wzięwszy pod uwagę, że od roku 1899 rozwój pracy różnych partyj szedł *crescendo*, otrzymamy cyfrę 250—300 tysięcy egzemplarzy druków nielegalnych, jako roczną konsumcyę czytającej publiczności polskiej w zaborze rosyjskim. Nie znam odpowiedniej statystyki wydawnictw legalnych, podlegających cenzurze, lecz w każdym razie śmiało twierdzić można, że druki nielegalne stanowią obecnie poważną część lektury polskiej pod caratem.

Jak każdy łatwo zrozumie, taka olbrzymia ilość bibuły wywierać musi ogromny wpływ na stosunek ludzi do wszystkiego, co nielegalne, a przedewszystkiem na stosunek do samej książki niecenzurowanej. Druk nielegalny wobec swej powszedniości przestaje być świętością, nie straszy ludzi i nie rasuwa myśli o prześladowaniach rządowych, lecz podrywa w umysłach ludzkich autorytet rządu i wiarę w jego potęgę. Już sama nazwa „bibuła“, żartobliwie-poufała, świadczy o szerokiem rozpowszechnieniu książki nielegalnej, o tem, że znikł ów tajemniczy urok, którym dawniej była otoczona.

Zmiana, jaka pod tym względem zaszła,

jest tak rażąca, że się rzuca w oczy każdemu, kto może porównywać stan obecny z dawniejszym. Niedawno spotkałem towarzysza, który był aresztowany przed 1893 rokiem (rok rozpoczęcia działalności P. P. S.) i wrócił do roboty dopiero po 10 latach. Gdy go spytałem, co go najbardziej uderzyło po powrocie, odpowiedział bez wahania, że przedewszystkiem był zdumiony, widząc, jak się rozpowszechnia obecnie druk nielegalny. „Myśmy, rzekł mi ów towarzysz, musieli prosić ludzi, by wzięli książkę do ręki, musieliśmy podrzucać ją, wpychać do kieszeni, a tu patrz: ludzie sami bibuły żądają, rozbijają się o nią, kupują. Ba, dodał, możliwemi już są malwersacye z bibułą i handel książką nielegalną“. W istocie, niektóre z wydawnictw nielegalnych są tak popularne, że można na nich robić interesa. Tak na przykład „Zbiorki poezyj“ wydania londyńskiego były tak rozchwytywane [przez robotników w Warszawie, że pierwsze transporty, zawierające 500 egzemplarzy tej książeczki, rozeszły się tamże w przeciągu miesiąca i wreszcie ofiarowywano za nie po 25 kop. za egzemplarz. Wytworzyła się nawet specjalna nazwa „bibuła dochodowa“, tj. taka, która daje pewny dochód sprzedającym.

Nawet wśród włościan rozwija się przyzwyczajenie do czytania nielegalnych książek. Mógłbym na dowód tego przytoczyć mnóstwo faktów, lecz ograniczę się dwoma bardziej charakterystycznymi. W pewnej wsi nad Wisłą włościanie otrzymywali stale bi-

biułę narodowo-demokratyczną; oprócz tej ostatniej niekiedy dochodziły ich rąk i wydawnictwa socyalistyczne. Nie wiem, jaką była przyczyna, lecz biuła przestała do nich dochodzić, chłopci postanowili wówczas sami szukać źródeł biuły. Zebrali trochę pieniędzy i wysłali delegata, by wynalazł kogokolwiek dla zawiązania stosunków, przytem urządzono szukać nie tylko narodowych-demokratów, lecz i socyalistów. Nie znam szczegółów tej Odyssei delegata chłopskiego, wiem tylko, że odbywał ją i pieszo i furmankami i wreszcie o kilkanaście mil od rodzinnej wioski wypadkiem natrafił na jakiegoś P. P. S-owca, przez którego zawiązał stosunki z partją i uspokojony wrócił do domu.

Inny fakt tej samej kategorii miał miejsce w głębi Rosyi, w koszarach wojskowych. Znana jest rzecz, że rekruci-Polacy nie odbywają służby wojskowej w Polsce. Rząd wysyła ich w głąb Rosyi lub na wschodnie granice państwa, gdzie w wielu pułkach połowa żołnierzy składa się z Polaków. Otóż paru towarzyszków z młodzieży uniwersyteckiej zawiązało stosunki z żołnierzami Polakami. Wkrótce stosunki ogromnie się rozszerzyły i agitacya szybko się rozwijała. Puszczono do koszar moc biuły. Gdy się o tem dowiedziano w Warszawie, wysłano do tego miasta doświadczonego towarzysza z poleceniem uregulowania tej sprawy. Ów towarzysz zwrócił uwagę zapalonych agitatorów na niebezpieczeństwo, jakie grozi całej robocie przy masowem rozpowszechnianiu bi-

buły wśród żołnierzy i polecił wycofać puszczoną już bibułę z koszar.

Gdy to postanowienie zakomunikowano żołnierzom — a była to przeważnie młodzież wiejska, świeżo od pług i kosy oderwana — ci zebrali się na naradę i odpowiedzieli agitatorom w sposób następujący:

„Takich książek my sami dostać nie możemy. Nie dacie nam ich panowie, to mieć ich nie będziemy. Ale wybaczcie, co już jest u nas, tego wam nie oddamy. To już niech będzie nasze“.

Ogromna ilość literatury nielegalnej, krążącej po kraju, stanowi bezwątpienia nowe i nieznane dotąd zjawisko w Polsce pod ciałem, a przyzwyczajenie i nawet pewne przywiązanie do bibuły wśród ludu pracującego w miastach i po wsi ziszcza owo marzenie Mickiewicza, który, będąc sam autorem ówczesnych druków zakazanych, wzdychał do czasu, gdy książka jego zabłądzi pod strzechy włościańskie. Zjawisko to nie mogło ująć uwagi rządu. Wspominałem już wyżej, że ks. Imeretyński nie tylko nie negował faktu czytania książek zakazanych przez włościan, lecz nawet tem właśnie motywował konieczność pewnych ulepszeń w szkolnictwie, oraz potrzebę kontragitacji rządowej („Oświata“). Wpływ tego kulturtregerstwa carskiego okazał się minimalnym, powiedzmy raczej: równa się zeru, natomiast niema wątpliwości, że sam rząd uległ wpływowi „bibuły“ i musiał przed nią się cofnąć.

Rząd ustąpił nie w ten sposób, jak mi obie-

cywał delegowany rosyjskiego stowarzyszenia, o którym wspominałem wyżej — cenzura nie została zniesiona, lecz zmiana postępowania rządu z czytelnikami „bibuły“ nie da się zaprzeczyć. Gdy bibuły było w kraju mało, gdy jej wpływ „demoralizujący“ był niewielki, rząd uważał każdego posiadacza książki nielegalnej za rewolucjonistę, a fakt znalezienia u kogo bibuły partyjnej służył jako poważny dowód należenia do stowarzyszenia rewolucyjnego. Obecnie zaś, gdy bibuła rozpowszechnia się w ogromnych ilościach, gdy najniewinniejsi pod względem politycznym ludzie czytają i mają u siebie druki zakazane, niepodobieństwem jest pociągać do odpowiedzialności za to, co do niedawna było nieraz surowo karane.

Przedewszystkiem więc pewną część bibuły uznano za pół-legalną niejako. Zagraniczne wydania naszych poetów, grube książki naukowe, wreszcie nowsze utwory poetyczne lub powieściowe, wydane za kordonem, no i naturalnie wydawnictwa ugodowe, należą do rzędu bibuły tego rodzaju. Nieraz żandarmi przy rewizyi nie wnoszą nawet do protokołu faktu znalezienia takiej książki i odkładają ją na stół lub etażerkę, mrucząc: „nu, eto pustaki“ („to bagatela“), niekiedy zabiorą ją z sobą, lecz nigdy o taką „bagatelę“ nie wytoczą sprawy. U jednego z moich znajomych przy rewizyi żandarm zabrał dwa tomy Limanowskiego: „Ruch społeczny w XVIII i XIX w.“ Po skończeniu sprawy poszkodowany udał się do żandarma z żądaniem, by

mu te książki zwrócił. Żandarm uśmiechnął się i oddał książki, dając przytem radę, by korzystał z nich nie w swoim, lecz jakim innem mieszkaniu. „Widzi pan, u pana, jako podejrzanego, te książki są jakimś dowodem, no, a u innych to rzecz zwykła, wszyscy przecie takie rzeczy czytają, ja sam z ciekawością przeczytałem część tej książki“. Prawie to samo powiedział mi podpułkownik Gnoiński, gdym po aresztowaniu w drukarni prosił go o danie mi do celi dzieł Słowackiego, znalezionych u mnie: „To bagatela, rozumiem dobrze, że u każdego inteligentnego Polaka taką rzecz znaleźć można, my za to nawet nie pociągamy do odpowiedzialności, ale do celi tego panu dać nie mogę, w każdym razie to wydawnictwo bez cenzury“.

Lecz ustępstwo rządowe nie ograniczyło się jedynie tą, jak ją nazwałem, pół-legalną bibułą. Wobec faktu rozpowszechniania wielkiej ilości bibuły partyjnej i rewolucyjnej bagatelizowanie przestępstw musiało pójść dalej w tym kierunku. W istocie tak się też stało. Żandarmi się przekonali, iż ilość czytelników bibuły partyjnej jest tak wielką (przynajmniej w Warszawie), a otrzymanie jej skądkolwiek tak względnie łatwem, że się nie opłaca z powodu każdej broszury lub egzemplarza pisma partyjnego robić sprawę. Rotmistrz Konisski, który mię badał w Warszawie, mówił mi, że nie przypuszcza, by w Warszawie był robotnik, który kiedykolwiek nie miał w ręku „waszewo Kuryera“, jak żartobliwie nazwał „Robotnika“. Zwykle

co prawda każdego, u kogo znajdą takie wydawnictwo, aresztują, lub co najmniej wołają na badania, lecz w wielu wypadkach to nie pociąga za sobą żadnej kary, lub też (a znam kilka takich wypadków) wyrok jest minimalny — dwa tygodnie aresztu. Tylko świeże wydawnictwa lub większa ich ilość same przez się, bez żadnych innych dowodów winy, zwracają uwagę żandarmów, a to dlatego, że fakt taki nasuwa myśl o bliższym stosunku oskarżonego z organizacjami rewolucyjnymi.

Jak widzimy, rząd carski zmuszony jest cofać się przed wzrastającą falą bibuły, która wymogła na nim pewne rozszerzenie praw człowieka pod caratem. Jest to jeden z dosyć licznych dowodów elastyczności konstytucyi rosyjskiej. Mając za zasadę nie prawo, lecz samowolę urzędniczą, rząd carski musi też godzić się z naturalną tego konsekwencją — względną chwiejnością organów władzy, oraz z częstemi odstępami w poszczególnych wypadkach od praw i przyjętych zasad rządzenia. Każdy z urzędników, będąc obdarzony odrobiną carskiego samowładztwa, prowadzi niejako politykę na swoją rękę, a że zależność jego od otoczenia jest znacznie większą, niż zależność centralnego rządu, więc jest on skłonniejszym do zawierania ugody i patrzenia przez palce na najrozmaitsze przestępstwa.

Tak się też stało i z żandarmeryą w Polsce w stosunku do bibuły.

Nie zmieniła ona w niczem praw i prze-

pisów władzy centralnej, lecz zawarła milczącą ugodę z pewną kategorią przestępstw i nie chcąc sobie przysparzać uciążliwej i żmudnej pracy, zamknęła oczy na nie. Druk nielegalny jest nielegalnym w zasadzie, zaś w praktyce został do pewnego stopnia ulegalizowany.

Zaznaczyć jednak trzeba, że taka legalizacja, jako nie mająca sankcyi prawnej, nie jest czemś stałym lub powszechnem. W każdej danej chwili, w każdym wypadku, zapleśniałe od nieużywania prawo może być wyciągnięte z kąta zapomnienia i może być użytem dla ukarania winnego. Na prowincyi na przykład, szczególnie na wsi wśród włościan, gdzie administracya i żandarmerya mniej ma roboty, każdy druk nielegalny może ściągnąć gromy na głowę jego czytelnika. Jestem jednak przekonany, że dalszy, a nieuchronny wzrost czytelnictwa druków zakazanych w Polsce, zmusi władzę do zgodnego usposobienia względem bibuły, nawet w najgłuchszych zakątkach kraju.

Bibuła więc nie tylko jest potrzebą wielkiej części czytającej publiczności polskiej, lecz zarazem i pewną siłą, przed którą potężny rząd carski musi się cofać. Wobec tego nie bez znaczenia jest pytanie, kto tą siłą rozporządza i kto tę potrzebę zaspakaja. Podane wyżej cyfry dają pewną odpowiedź na to pytanie. Ogromna większość bibuły — to bibuła partyjna, sprowadzona i rozpowszechniona przez istniejące w kraju organizacje — P. P. S. i narodową demokrację. Bibuła in-

ných organizacyj nie stanowi poważnej cyfry, bodaj tylko żydowska bibuła Bundu istnieje w większej ilości. Bibuła niepartyjna, stanowiąca mniejszą część druków nielegalnych, kursujących w kraju, trafia do rąk czytającej publiczności albo staraniem tychże partyj, albo też przechodzi przez granicę pojedynczymi egzemplarzami, przewożona w kieszeniach przejezdnych.

Przewaga ilościowa bibuły partyjnej nad niepartyjną nie jest czemś przypadkowem. Dla czytelników wszelkiej bibuły jest ona czemś pożądanem, czytanie jej sprawiać może przyjemność, w wielu wypadkach jest ona potrzebą, dla zaspokojenia której ludzie narażają się nawet na niebezpieczeństwo, lecz nie jest ona koniecznością. Inaczej jest z organizacją polityczną. Składa się ona z ludzi i dąży do ciągłego rozszerzania się, a że prześladowania rządowe raz po raz wyrrywają pojedyncze jej ogniwa, musi sztab dbać o uzupełnienie luk w swych szeregach. Naturalnie, że najłatwiej sprostać temu zadaniu wtedy, gdy organizacja wywiera szeroki wpływ na ludzi, a poglądy jej są możliwie spopularyzowane. W przeciwnym wypadku po pewnym przeciągu czasu, wobec stałego ubywania członków organizacyi, może wprost zabraknąć materiału ludzkiego do odbudowania jej.

Jedynym zaś środkiem, będącym w rozporządzeniu organizacyj politycznych pod caryatem, dla stałego urabiania opinii w pożądanym kierunku, jest słowo drukowane. Wszystkie inne, jak stowarzyszenia i związki,

zgromadzenia i ustna propaganda w warunkach politycznych Rosyi są tak ograniczone, że wpływ ich sięga bardzo niedaleko i działa na bardzo szczupłe grono ludzi. Książka więc lub odezwa zastąpić tu musi w większości wypadków agitatora i mówcę, poprzedzić organizatora, utorować mu drogę, przygotować dla niego teren i usposobić dlań przychylnie słuchacza. A książka jako agitator ma w dodatku pod caratem niesłychane zalety.

Wędrówka jej nie zostawia po sobie takich śladów, jak wędrówka człowieka, działa ona cicho, bez hałasu, może być w każdej chwili zniszczona, może być tylko niemyym świadkiem przy badaniach, wreszcie nie wzbudza tyle podejrzeń i nie ściąga takiej kary lub prześladowań, jak człowiek. Jest więc wygodnym agitatorem zarówno dla agitujących, jak agitowanych. W wielu zaś wypadkach bibuła jest wprost jedynym narzędziem w ręku agitatora partyjnego. Kiedy naprzykład organizacja jest świeżą i nieliczną, nie ma wśród siebie ludzi zdolnych do agitacji ustnej, w okresach większej baczności policyjnej, lub wreszcie przy potrzebie wywarcia jednorazowego i możliwie szerokiego wpływu — bibuła, w postaci broszury, numeru pisma lub odezwy okolicznościowej, jest wprost nie do zastąpienia.

Dodajmy do tego, że gdy czytanie bibuły już jest potrzebą wielkiej ilości ludzi, to ten, kto potrzebę tę zaspakaja, zyskuje na wpływie; dodajmy do tego, że bibuła partyjna dla wielu ludzi, nie stojących bliżej organi-

zacyi, jest jedynym dowodem istnienia partyi, a zrozumiemy, jakie ma znaczenie bibuła dla organizacyj rewolucyjnych pod caratem. Jeśli porównać je można do organizmu, to bibuła będzie w nich krwią, która organizm przy życiu utrzymuje.

Porównanie to, w innych nieco słowach, słyszałem z ust jednego ze zdolnych agitatorów P. P. S. na prowincyi. Będąc u niego przejazdem, miałem od niego otrzymać korespondencye do „Robotnika“, oraz pewną sumę pieniędzy. Byłem nieco oburzony, gdy mi wyliczył zaledwie połowę tego, na com rachował. Spytałem go, czemu to mam przypisać?

— Eh! proszę was, towarzyszu, dawnośmy nie mieli bibuły! Powiedzcie tam w Warszawie, żeby raz nareszcie nam ją przysłali.

— Aha! — zawołałem — więc to tak dużo tu sprzedajecie bibuły!

Sądziłem bowiem, że brak pieniędzy był wywołany przez brak towaru, dającego się spieniężyć.

Mój towarzysz zaśmiał się i wyjął z kieszeni kajecik z rachunkami partyjnymi.

— Spójrzcie! Za bibułę otrzymujemy bardzo mało. Większość jej idzie na agitacyę wśród ludzi świeżych, którzy niezbyt są chętni do płacenia. Ale bez bibuły i wśród naszych towarzyszków trudno zebrać cokolwiek na partyę. My, proszę was, żyjemy tylko wówczas, gdy mamy bibułę! My, towarzyszu, śpiący tu jesteśmy, bibuła nas budzi!

Brak bibuły dla organizacji politycznej

pod caratem, to brak krwi, anemia, skazująca organizację na suchotniczy żywot, na niemożliwość wywierania szerszego wpływu na ludzi, na powolne wymieranie.

Naturalnie, że wobec tak wielkiego znaczenia słowa drukowanego, jednym z najważniejszych zadań każdej organizacyi nielegalnej jest dostarczenie bibuły swym członkom, uzbrojenie ich w ten nieodzowny w obecnych czasach oręż. Jak każdy to rozumie, w domu niewoli — w państwie rosyjskiem — nie łatwo to przychodzi i pochłaniać musi sporo energii i sił każdej organizacyi.

Przedewszystkiem bibuła musi być wyprodukowana. Pod tym względem bibuła dzieli się na krajową i zagraniczną. Ostatnia stanowi olbrzymią większość wprost dlatego, że produkcyja za granicą jest znacznie łatwiejsza, niż pod okiem carskiej policyi. Lecz zagraniczna, nim dojdzie do rąk odbiorców, ma do przebycia poważną przeszkodę, jaką jest granica państwa rosyjskiego, strzeżona pilnie przez rząd, który chciałby z niej zrobić mur nieprzebyty dla tego rodzaju importu. Stąd wypływa konieczność dla każdej organizacyi rewolucyjnej wyszukania dla swych wydawnictw drogi przez granicę i transportowania ich tajnie wewnątrz kraju aż do rąk odbiorców.

Na tej drodze bibułę czeka tysiące niebezpieczeństw i przeszkód, które przełamać musi, a pierwszą z nich jest przejście pasu pogranicznego.

GRANICA I ZIELONI.

Granice we wszystkich państwach są bardzo strzeżone niż jakiekolwiek punkty wewnątrz państw, lecz nigdzie baczność nie dochodzi do tak potwornych rozmiarów, jak w Rosyi, nigdzie kłopoty graniczne każdego, mającego z tem styczność, nie są tak uciążliwe i przykre, jak w państwie cara. Azyatycka tradycja oddzielania się murem chińskim od wszelkiej cudzoziemszczyzny, a co za tem idzie utrudnianie wejścia wszystkiemu, co przekłętą Europą i cywilizacją trąci, nie łatwo daje się wyplenić, tem bardziej, że postęp w społeczeństwie, trzymanem w żelaznych kleszczach caratu, idzie wolno żółwim krokiem.

Pilnowanie granicy poruczone jest w Rosyi „zielonej“ dykasteryi agentów i sług carskich. Zielonymi zowiemy ich dla tego, że ci mandaryni oraz ich słudzy mają wypustki zielone na czapkach oraz ramionach i rękawach swych mundurów. Po za zielonymi wielką rolę na granicach odgrywają i błękitni aniołowie — stróże caratu — żandarmi oraz różni akcyźnicy i policyjanci, ale strzeżenie granic carskiego imperyum jest specjalnością zielonych.

Dziela się oni na wojskowych i cywilnych — tak zwaną straż pograniczną i komorowych czyli celników. I jedni i drudzy są pod rozkazami ministra finansów carskich, który nosi godność szefa straży pogranicznej,

a główną ich siedzibą i terenem działalności jest pas pograniczny państwa.

Ten pas pograniczny jest podzielony na trzy linie. Pierwsza — tuż nad granicą, druga, tak zwana linia kordonów — w oddale 1—2 kilometrów od granicy i wreszcie trzecia — rzecz zupełnie niesłychana w żadnem państwie — nie ma już nic wspólnego z pojęciem linii, bo obejmuje sobą stukilkudziesięcio-kilometrowy pas ziemi wewnątrz kraju. Jak szeroką jest ta trzecia linia, można sądzić z tego, że w Królestwie jedynie gubernia siedlecka jest wolną od baczności zielonych, a połowa Litwy wchodzi w zakres ich działania.

Wobec szerokości tej trzeciej linii muszę ją uwzględnić i zająć się nią osobno. Natomiast obecnie zatrzymam się jedynie na pierwszych dwóch, stanowiących właściwy pas pograniczny i będący pierwszą przeszkodą dla wszystkiego, co wbrew prawu carskiemu wkracza na terytorium knutowładnego pana, a więc i dla bibuły.

Pierwsza linia zielonych spełnia swe obowiązki w sposób następujący: Tuż przy granicy, zastosowując się do wszystkich jej załomów i zakrętów, są rozstawieni żołnierze z karabinami mniej więcej w odległości 200 do 600 kroków jeden od drugiego. Naturalnie w miejscowości równej, gdzie oko daleko sięga, posterunki są rzadsze, tam zaś, gdzie granicę upiększają pagórki, lasy i gaje, a jeszcze bardziej, gdzie do granicy zbliżają się zabudowania, żołnierze są rozrzucony gęsto. Przechadzają się oni nad granicą, siedzą,

oglądają widoki, stanowiąc niezbędną, charakterystyczną plamkę na pejzażu granicznym. Zadaniem ich jest pilnować, by żadna żywa istota, naturalnie oprócz ptaków, nie przeszła przez granicę ani w jedną, ani w drugą stronę. Cały ruch tych istot jest przez to skierowywany do określenia punktów, gdzie dozór graniczny jest niejako zgęszczony i gdzie wszystko: ludzie i ich pakunki, towary i ich opakowanie podlega odpowiedniej rewizyi, oraz może otrzymać pozwolenie na przekroczenie granicy. Są to komory i przykomórki.

Te punkty ze zgęszczonym dozorem granicznym pracują tylko we dnie, nocą zaś, z wyjątkiem miejsc, gdzie granicę przecina kolej, działalność zielonych ustaje i granica na całej przestrzeni jest zamknięta całkowicie. Na noc ściągają również żołnierzy z posterunków nadgranicznych. Naturalnie robi się to nie z ufności, że tacy lub inni przestępcy praw carskich noc spędzają spokojnie w łóżku, lecz dlatego jedynie, że do ciemności nocnej pierwsza linia stosuje inny system obrony granicy. Rozsypuje się ona po tak zwanych w języku „zielonych“ — sekretach. Sekret polega na tem, że taki drab z karabinem, zamiast jako bohater stać na widoku, zaczaja się jak kot gdziekolwiek na przypuszczalnej drodze przekraczających nielegalnie granicę.

Druga linia, czyli tak zwana linia kordonów, również nie próżnuje. Przecina ona, jak powiedziałem wyżej, wszystkie drogi, idące od granicy, w oddaleniu jednego, dwóch, bardzo rzadko więcej kilometrów.

Wysłała ona przedewszystkiem konne patrole w różne strony, a oprócz tego ma za zadanie rewidowanie wszystkiego, co się przewija przez drogę, o ile to nie jest zaopatrzone legitymacją z pierwszej linii. Tutaj też na przecięciu jakiegokolwiek drogi stoją koszary dla oddziałków zielonych, zwane kordonami.

Cywilni „zieloni“ operują w komorach i przykomórkach. Zadaniem ich jest, jak wspomniałem wyżej, rewidowanie rzeczy podróżnych, nakładanie i odbieranie cła od towarów importowanych, oraz wizowanie paszportów przejezdnych. W większych jednak punktach, gdzie się przewija poważniejsza ilość osób, kontrola nad ludźmi, przekraczającymi granicę, jest oddana w ręce żandarmerii. Tych komorowych urzędników wobec formalistyki biurokracji rosyjskiej i jej niedołęstwa jest całe mnóstwo. W każdym miasteczku nadgranicznem można spotkać kilku, w większych zaś miasteczkach kilkunastu i kilkudziesięciu zielonych cywilusów ugwiażdżonych i umundurowanych, stanowiących w okolicach nadgranicznych razem z oficerami straży pogranicznej pijaczą i hulaszczą kompanię.

Z tego opisu wnosić można, ile sił, środków i energii zużywa państwo rosyjskie na ochronę swej granicy! Granica upstrzona komorami, najeżona bagnetami i urozmaiconą patrolami konnymi, wygląda nadzwyczaj okazale i musi przejmować strachem każdego śmiałka, który odważy się wbrew zakazom carskim przekraczać ją sam lub z zabronionym towarem. W istocie wywiera ona silne wrażenie!

Pamiętam żywo swoje pierwsze zetknięcie się z granicą, gdym po powrocie z wygnania jechał odwiedzić ojca i rodzeństwo, mieszkających w owe czasy w majątku na pograniczu pruskiem. Część drogi, którą miałem do zrobienia, leżała tak blisko granicy, że do słupów granicznych od drogi było zaledwie kilka kroków. Droga idzie w tem miejscu lasem i musiałem ją przebywać późnym wieczorem. Gdyśmy się wlekli wolnym krokiem po piaszczystej drodze, z daleka z lasu dobiegło do nas echo wystrzału karabinowego. Po chwili na drodze zadudniało i kilka uzbrojonych konnych postaci minęło nas w galopie. Następnie spotkałem znowu kilku konnych, którzy czegoś szukali na drodze, oświetlając ją latarką. Jeden z nich podjechał do nas i nieco grubiańskim tonem zapytał:

— Otkuda? (skąd).

— Z Jurborgu jadę do Taurogów — odpowiedziałem.

— W Tawrogi! — I spojrzawszy na konie i zaprząg dodał: — Pomieszczyk? — co w języku rosyjskim oznacza pozycję socyalną, nazywaną w Galicyi „obszarnik“.

— Tak — rzekłem — czego chcecie?

— Niczawo! Kontrabandu łowim, pojeżdżajcie!

Woźnica mój, tęgi, barczysty Żmudzin, splunął pogardliwie i zaciął konie. Po chwili rozległy się znowu strzały.

Trafiłem widocznie na niespokojną chwilę, lecz przyznam się: te strzały nocne w lesie, te pędzące patrole i uwijanie się po drodze

uzbrojonych ludzi sprawiły na mnie silne wrażenie. Wyglądało to na małą wojnę. Tymczasem spotkaliśmy raz jeszcze konnych z latarkami, szukających czegoś na drodze, i mój Żmudzin raz jeszcze splunął energicznie i odwróciwszy się do mnie, flegmatycznie mówił:

— Psy, śladów szukają! Psy, czyste psy!

— Śladów? — pytałem zdumiony. — Ależ na drodze tych śladów jest mnóstwo.

Żmudzin nie mógł mi tego wytłómaczyć, zbyt źle mówił po polsku, a ja znowu nie umiałem po litewsku.

Wkrótce jednak wytłómaczył mi to jeden z żołnierzy tej samej straży pogranicznej. Spotkałem się z nim w karczmie, przy której zatrzymaliśmy się, by dać koniom odetchnąć. Peczestowany papierosem i kieliszkiem wódki, zaczął mi opowiadać o swoim życiu.

— Ciężka służba, psia, ani dniem, ani nocą spoczynku niema. We dnie na linii, a w nocy w sekretach. I dobrze, kiedy ładna pogoda, a w deszcz i wiatr w lesie straszno i hałas taki od szumu drzew, że nic poza tem nie słychać, no, i przespać też się chce. A tu pilnuj i pilnuj, jak ślad jaki na ciebie, a nie złapałeś, to cię nie pogładzą, albo jak pogładzą, to zębom nie bardzo zdrowo od tego głaskania, dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Jakie ślady w lesie? — pytałem.

— Nie w lesie, a na drodze, a droga na noc zabronowana, więc kto w poprzek drogi od granicy przejdzie, ślad zostawi. A tam starsi z latarką po drodze biegają, gdzie ślad

jest, zaraz do najbliższego sekretu: ślad na ciebie był, gdzie kontrabanda? Czorty! skarżył się mój żołnierz.

W istocie, gdy się przypatrzyłem potem, dostrzegłem, że „czorty“ drogę zabronowali tak, że każdy przechodeń zostawiał na piasku wyraźny odcisk swej stopy.

— Cóż ty robisz — indagowałem dalej żołnierza — gdy na ciebie wyjdzie kontrabandzista?

— Wiadomo co. Strzelam. Muszę niby przedtem krzyknąć „stój“, ale gdzie tam krzyczeć, on ucieknie, on ten las zna, jak kieszeń własną. Teraz to lepiej, dawniej jak ciebie taki dyabeł już minął, to lepiej nie strzelać. Jak trafisz w plecy, to cię karali, bo karabin był niby do tego, żeby się bronić albo dać sygnał. A teraz nie żartuj, w plecy czy w łeb to jedno. Prawo takie jest! — mówił z dumą i zadowoleniem.

— O! i dzisiaj słyszał pan? — mówił dalej — pewnie którego dyabła na tamten świat wyprawili. Wachmistrz nasz chodził na tamtą stronę dniem, przebrany był. Kazał dziś czekać kontrabandy, słyszę — dużo mieli przenosić nocą. Pewno złapali, zarobią dobrze, szczęście mają.

Trzeba bowiem wiedzieć, że rząd zachęca swych agentów do łapania kontrabandy w ten sposób, że każdy, kto wskaże lub złapie przeschwarcowany towar, otrzymuje trzecią część sumy, otrzymanej ze sprzedaży tego towaru.

Drugą trzecią część składa się do banku państwa i w końcu roku sumę całą, otrzy-

maną z całego okręgu celnego, dzieli się pomiędzy urzędników komorowych i oficerów straży pogranicznej. Wreszcie reszta idzie do skarbu. Naturalnie za rzeczy, które nie mogą być sprzedane, w rodzaju na przykład bibuły, rząd wydaje osobną nagrodę.

Z tego małego opisu wnosić można, że pogranicze rosyjskie jest stale na stopie wojennej. Więcej, tam stale wojna się toczy, rzeczywista wojna — ze szczękiem broni, z wystrzałami, zasadzkami, fortelami wojennymi i, co najsmutniejsza, z ofiarami w ludziach. Z jednej strony walczy rząd, z drugiej wszystko, co w Rosji jest kontrabandą. Nie trzeba myśleć, że tą kontrabandą są tylko towary, że je tak nazwę, polityczne. Przeciwnie, przedewszystkiem są to najzwyczajniejsze wartości użytkowe — spirytus, cygara, koronki, zegarki, chemikalia i t. d., słowem rzeczy, produkowane za granicą i obłożone przez rząd wysokiem cłem. Kontrabanda polityczna stanowi w tej powodzi zwyczajnego szwarconictwa znikomo małą część i dopiero w ostatnich czasach rząd zwrócił na nią baczniejszą uwagę, nie stosując zresztą względem niej żadnych nowych środków obrony, a walcząc z bibułą tak samo, jak walczy z cygarem lub płóciennikiem.

Kto jednak jest zwycięzcą w tej wojnie? Cyfry, przytoczone w poprzednim rozdziale, dowodzą, że w tym wypadku zwycięża nie silniejszy. Lecz w jaki sposób to się odbywa? Przypuszczam, że każdy z nieznających dobrze stosunków pogranicznych przedstawia to

sobie tak, jak ja to sobie wyobrażałem narazie po owej nocy, spędzonej w nadgranicznej drodze. Gdym myślał o transportach bibuły, śniły mi się przekradania się przez lasy, tajemnicze szmery borów, niespodziane spotkania ze strażą pograniczną i tym podobne rzeczy, przypominające nieco opowiadania Coopera lub Mayne-Reida.

Lecz dosyć jest przemieszkać na pograniczu czas pewien, by się pozbyć tej roman tyki. Co do mnie, zacząłem się jej pozbywać bardzo prędko. W kilka dni po opisanej drodze w młocarni u ojca coś się zepsuło. Okazało się, że jest to drobnostka, jakieś śrubki, które się połamały przy robocie. Wiejski kowal nie mógł tego naprawić, do miasta było daleko, natomiast granica i pruskie miasteczko były blisko. Byłem przy tem, jak ojciec otrzymał od kowala odpowiedź, że naprawa przechodzi jego uzdolnienie fachowe, i jak ojciec rzekł:

— Trzeba posłać do Prus.

Sądziłem, że ojciec poszle konie za granicę i zaproponowałem, że mu to załatwię, byle mi wystarał się o półpasek.

— Eh, nie warto, mnie to potrzebne jak najprędzej, poszle Bartłukajtisa szwarcować, ten mi jutro przyniesie.

— Więc on te śrubki będzie szwarcował?

— Naturalnie! — odpowiedział ojciec — i tybyś je szwarcował, bo przecie z temi głupimi śrubkami nie pójdziesz do urzędu celnego. Oho! zacze p ich tylko, zapiszą stosy papieru z powodu tych paru śrubek i ja i oni

stracimy na to mnóstwo czasu. Poco to komu potrzebne! A Bartłukajtis i tak chodzi niedługo codzień do Prus po spirytus. Przy okazji załatwi i mój interes ze śrubkami.

Tak się też stało. Bartłukajtis nazajutrz już dostarczył nowe śrubki, zrobione przez porządnego pruskiego rzemieślnika.

Wkrótce przekonałem się, że „głupie śrubki“ nie są wyjątkiem. Czy we dworach, czy w chatach włościańskich wszystkie przedmioty, będące produktami fabryk i warsztatów, pochodzą z Prus i doszły ręką swych właścicieli bez pośrednictwa urzędów celnych. Oprócz tego raz po raz spotykałem takich Bartłukajtisów, chodzących codzień do Prus i załatwiających te lub owe interesy swych współobywateli. Prusy — to obce państwo, oddzielone od imperyum cara podwójną linią straży pogranicznej — wciskało się najwyraźniej w posiadłości rosyjskie, mącąc czystość idei ściśle odgraniczonego państwa. Była to Rosya, lecz pod wielu względami i Prusy.

Ba, gdyby tylko Prusy! Rozpytując okolicznych chłopów, dowiedziałem się, że znają oni Amerykę daleko lepiej, niż swój kraj rodzinny. Wielu chłopów żmudzkich nie wiedziało nic o Wilnie i Kownie, nawet o swym powiatowym miasteczku Rosieniach. Natomiast od niejednego usłyszałem opis Nowego Jorku lub Chicago, podróży po morzu i warunków pracy w fabrykach i kopalniach amerykańskich. Za każdym razem pytałem chłopą, czy brał paszport na wyjazd z kraju i naj-

regularniej, zamiast odpowiedzi, widziałem pogardliwe wzruszenie ramion, mające oznaczać: „Ktoby się tem głupstwem zajmował!“ I w tym więc wypadku granica z jej paszportami, cłami i kłopotami nie istniała dla tych ludzi.

Później w swoich wędrówkach zwiedziłem pogranicze w różnych miejscach. Bywałem na granicy pruskiej i austriackiej i tam, gdzie granica jest mokrą, to jest, gdzie granicę stanowi rzeka lub strumień, i tam, gdzie na granicy są miasta lub miasteczka, czy też przeciwnie, stanowią ją mało zaludnione bory — wszędzie spostrzegałem ten zanik granicy dla mieszkańców pogranicznych, tę poufałość i maltretujący stosunek względem surowych, nieledwie wojennych przepisów granicznych.

Powszechne chodzenie ścieżkami nieprawnymi, przestępstwa, chociaż drobne, lecz epidemiczne i stale się powtarzające, wyrobiły pewnego rodzaju solidarność w mieszkańcach pogranicza. Istnieje tam nieustanny spiszek, chociaż niezorganizowany i milczący, lecz pomimo to obowiązujący do solidarności wszystkich przeciw prawu i przeciw tym, co pilnują granicy. Naturalnie taka solidarność ogromnie ułatwia wojnę z „zielonymi“.

Jeden z towarzyszków, który dłuższy czas prowadził na pograniczu interes partyjny, opowiadał mi o faktach, dowodzących pocucia tej solidarności.

Razu pewnego — mówił mi — najałem konie, by odwieźć kilka paczek bibuły do miasteczka, nieco od granicy oddalonego. skąd

inni towarzysze mieli je zabrać. Nie lubię włączyć się po drogach nadgranicznych późnym wieczorem lub w nocy — nieraz strażnicy, nie widząc, z kim mają do czynienia, przypadkowo mogą zatrzymać tych, kogoby we dnie nie ruszyli. A tu spóźniłem się nieco z opakowaniem bibuły, więc spieszyłem. Jak na nieszczęście, trafił mi się woźnica pijany. Na wszelkie moje perswazyje, by jechał prędzej, mruzczał coś niezrozumiałego, a wreszcie, gdy bryczka zawadziła o jakiś kamień na drodze, wypadł z wozu. Był dobrze strąbiony, więc podnosząc się z ziemi, co chwilę przewracał się znowu. Zirytowałem się wreszcie.

— No, słuchajcie! — rzekłem. — Leżcie sobie tutaj i śpijcie, ja pojedę do N., a wracając, zabiorę was.

Chłop się oburzył na taką propozycję.

— Nie zostawi mnie pan tu, kiej psa. I ja katolik i pan katolik, i ja kontrabanda i pan kontrabanda.

Mrowie mię przeszło po skórze na takie dictum. Chłop wiedział, że się zajmuję przemycaniem czegoś i byłem niejako w jego ręku. Chciałem się jeszcze wykręcić i groźnie zawołałem:

— Co ty pleciesz! Jaka kontrabanda?

Chłop śmiał się na całe gardło. Wstał wreszcie i gramoląc się na wóz, szturchnął moje pakunki.

— A tu co? Kontrabanda! — mówił tryumfująco. — Kontrabanda taka dobra, jak i ta!

Odgarnął trochę siana i pokazał swoją

kontrabandę. Było tam kilka paczek cygar i jeszcze jakieś zawiniątko.

Chłop wreszcie zaciął konie, pijanym głosem zaczął nucić jakąś zawadyacką piosnkę i od czasu do czasu odwracał się do mnie ze śmiechem.

— I ja kontrabanda i pan kontrabanda! — powtarzał z pijackim uporem.

Kiedym wracał do domu z tym samym chłopem, już wytrzeźwionym, ciągnąłem go za język, by mi wyjaśnił, skąd doszedł do przypuszczenia, że wożę kontrabandę. Chłop poważnie odpowiedział:

— Niech pon się nie boją! Wszyscy tu kontrabandę wożą, a pan często jeździ z pakunkami, każdy wie, co to znaczy! Ale mnie co do tego — dodał, uśmiechając się — wiecie pan kontrabandę, czy nie. Ja mam zarobek, a przy panu i swoje rzeczy bezpieczniej przewiozę.

Innym razem, opowiadał mi dalej towarzysz z granicy, miałem do przewiezienia bibulę i poszedłem najać konie. Po drodze spotykałem włościanina, z którym nieraz już jeździłem. Pytam go o konie. Chłop podrapał czuprynę i wreszcie pyta:

— Pon tak jak stoi, czy z rzeczami?

— A co? — pytam.

— A bo cosik te juchy bardzo niespokojne dzisiaj — mówił, pokazując na drogę, po której w tej chwili jechało kilku zielonych wojaków. — Chyba boczną drogą pojedziem.

Naturalnie w obydwóch wypadkach chłopci

nie podejrzewali nawet, że tą kontrabandą była bibuła.

Powszechna konspiracja przeciw zielonym rycerzom, jak powiedziałem, utrudnia ogromnie ich pozycję w walce z kontrabandą. Lecz bodaj nic tak bardzo nie zaciera granicy państwowej, nic bardziej się nie przyczynia do wytworzenia międzypaństwowych pojęć na pograniczu, jak ugoda zielonych z kontrabandą, oraz stałe przechodzenie poszczególnych zielonych do obozu spiskowców.

Przedewszystkiem każdy z zielonych równie dobrze jak i każdy mieszkaniec pogranicza wie o tem, że za słupami granicznymi jedne towary są tańsze, inne lepsze. Często łatwiej jest za kordonem o dobrego rzemieślnika lub lekarza, a gdy, co również nierzadko się zdarza, po tamtej stronie granicy jest blisko miasto lub większe miasteczko, łatwo tam o zabawę i różne wygody, których brak po tej stronie. Naturalnie, głupimby był ten, kto by z takich udogodnień nie korzystał. I każdy zielony korzysta z nich w większym nawet stopniu, niż przeciętny mieszkaniec pogranicza, w większym dlatego, że będąc sam stróżem prawa, ma zapewnioną bezkarność przestępstwa.

Następnie wśród zielonych kwitnie, jak wogóle wśród urzędników rosyjskich, gatunek ugody z otoczeniem, nazwany przez znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, koniecznem dopełnieniem i poprawką samowładczej konstytucyi — łapówka i przekupstwo. Po rosyjsku komory celne nazywają się

„tamożnią“. Otóż jeden żydek zapytany, co właściwie oznacza to słowo, mrugnął oczkami filuternie i wyjaśnił odrazu filologiczne pochodzenie „tamożni“ od polskich słów — tam można.

W istocie — tam można! Wysokie cła, uciążliwe, długie i kosztowne formalności przy załatwianiu czynności celnych, niewielkie względnie pensye urzędników, oraz powszechność łapówek w Rosyi, wytwarzają takie położenie rzeczy, że strony interesowane wywierają silne parcie na urzędników celnych w kierunku przekupstwa i zieloni oprzeć się temu nie mogą. Liczba pilnujących praw granicznych w ten sposób się zmniejsza, liczba zaś spiskowych wzrasta.

Prosty stupajka zielony, żołnierz, wchodzi w umowę z przemytnikami i pomaga sam przy przenoszeniu kontrabandy, dając nawet w zastaw własny karabin. Urzędnik celny konspiruje z ekspedytorami, ułatwiając im formalności celne, lub zamykając oczy na oszustwa ekspedytora. Oficer straży pogranicznej prowadzi handel kontrabandą, a raz po raz znajdzie się zielony uprawiający sam kontrabandę, jak rzemiosło na własną rękę. Wszystko to wytwarzać musi pewną zależność od otoczenia, które, jak widzieliśmy wyżej, całe, bez wyjątków, uprawia kontrabandę bezustannie.

Zależność ta wzrasta jeszcze bardziej przy stosunkach towarzyskich mieszkańców pogranicza z zielonymi.

Wobec interesu, który przy takich stosun-

kach łatwiej się ubija, cywilni mieszkańcy chętnie znajomią się z zielonymi, zobowiązując ich to poczęstunkiem, to grzecznością, to prezencikiem, od którego wymówić się niepodobna. Słowem, wyzyskując wszystkie możliwe słabe strony stróżów prawa i porządku, otoczenie, złożone z kontrabandzistów zawodowych i przygodnych, powoli asymiluje ich z sobą i zmusza, jeśli nie do współdziałania, to przynajmniej do przemykania oczu na przestępstwa graniczne.

Jeśli organizacya zielonych jest tą skałą, na której jest zbudowana obrona granicy, to przyznać trzeba, że jest ona bardzo kruchą i chwiejną oporą. Nie jest to granit, lecz miękki wapień, na który dezorganizujące czynniki życia pogranicznego działają, jak wiatr lub fale wody na tego rodzaju geologiczną formację. Kruszy się ona, wietrzeje i rozsypuje się, otwierając drogę dla nacierających żywiołów.

Tym żywiołem jest ludność pograniczna, z którą zieloni, nie mogąc poradzić, wchodzą w ugodę. Widzieliśmy, że ta ludność przy zadawaniu swych potrzeb nie krępuje się wcale granicą państwową. Z chwilą więc, gdy nielegalne wydawnictwa stają się potrzebą tej ludności i do nich stosuje się ogólne prawo życia pogranicznego — zanik granicy. Przechodzą ją one równie łatwo, jak pruskie cygaro lub tandeta wiedeńska, kupiona na rynku krakowskim.

Takie powolne, po kropelce niejako, przesiąkanie bibuły z księgarni zagranicznych

do rąk jej konsumentów w Polsce pod caratem tłómaczy nam możliwość istnienia pewnej, mniejszej części spotrzebowywanej rok rocznie bibuły. Bo przecie, rzecz prosta, ten żywiołowy i powolny proces przesiąkania nie może wystarczać organizacyom, potrzebującym dziesiątków tysięcy egzemplarzy bibuły, wymagającym stale świeżego jej dopływu. Wreszcie te kropelki, będąc nawet licznemi, nie mogą być ujęte w system, nie mogą być kierowane i regulowane, jak to można zrobić ze stałym strumieniem. Niewątpliwie jednak opisane wyżej podmycie granicy stanowi poważne ułatwienie dla przebicia jej przez taki właśnie strumień bibuły.

Dosadne rosyjskie przysłowie mówi: „Byłoby błoto, czerti najdutsia“ (niech będzie błoto, a czarci się na niem znajdą). Stosunki graniczne są właśnie tem błotem, na którem z pewną łatwością czarci przeciw-państwowi swe harce wyprawiać mogą.

Względnie najłatwiejszem jest przewiezienie jednorazowe większej ilości bibuły. Do tego najczęściej wystarcza towarzysz, niepozbawiony sprytu i mający stosunki gdziekolwiek na pograniczu. Mówię wyraźnie „gdziekolwiek“, bo wszędzie te stosunki są mniej więcej do siebie podobne. Oto jak mi opowiadał jeden z towarzyszków o swojej próbie pod tym względem:

Granice partyjne — mówił mi — były w tym czasie zawałone robotą, a partyi chodziło o przemycenie na termin rosyjskiej bibuły, do czego się była zobowiązała. Poru-

czono ten interes mnie, jako pochodzącemu z pogranicza i mogącemu zatem prędzej, niż kto inny, wynaleźć dziurę dla transportu. Co prawda, nie byłem w swej ściślejszej ojczyźnie już dosyć dawno, lecz podjąłem się tego, bo liczyłem na mego kuzyna, który mieszkał na pograniczu, gdzie ojciec jego dzierżawił większy jakiś majątek.

W istocie rachuba moja nie okazała się mylną. Zaraz prawie po przyjeździe do swego krewniaka zaszła rozmowa o nielegalnych książkach, a to z powodu, że na stole mego kuzyna znalazł parę wydawnictw galicyjskich, tyjących się powstania 63 roku.

— Skąd je masz? — zapytałem.

— Zabawne skąd — odparł — z zagranicy.

— Szczęśliwy, że możesz tak łatwo mieć książki zakazane, tam, w Warszawie, znam wielu ludzi, którzy drogoby dali, by mieć takie książki.

Kuzyn mój był chłopak dosyć lekkomyślny, więc nie trudno mi było przekonać go, że musi mi pomóc w przetransportowaniu pewnej ilości książek. Nie przyznałem mu się, że będą to książki rosyjskie, bo prawdopodobnie spotkałbym się z odmową. Obawiał się tylko, by ojciec jego, człowiek odstraszonej gruntownie od wszelkiej nielegalności jeszcze w 63 roku, nie dowiedział się o tym jego figlu.

Zacząłem go rozpytywać o stosunki graniczne, o jego znajomości wśród zielonych, oraz wśród mieszkańców pogranicza z tamtej strony.

Z rozmowy dowiedziałem się, że mój krewniak senior, chociaż bał się rzeczy nielegalnych politycznie, pod względem zwyczajnej kontrabandy chadzał ścieżkami niezupełnie legalnymi. Mianowicie, opłacając komorowych urzędników, sprowadzał z zagranicy bez cła wszystkie narzędzia gospodarskie i świeżo nawet obijał powozy suknem szwarcowanym. Naturalnie, tej drogi nie można było użyć dla bibuły. Natomiast okazało się, że krewniak junior jest w dobrych stosunkach z oficerem straży pogranicznej, porucznikiem S*, z którym zbliżyło go wspólne zamiłowanie do myślistwa. Zielony porucznik bywał z nim parę razy za kordonem i przynosił mu stamtąd przybory myśliwskie.

— Czy rewidowano wam rzeczy — pytałem — przy powrocie z za kordonu.

— Rzeczy nie mieliśmy — odpowiedział mi kuzyn — ale nie zaglądano wcale do powozu.

Na tem oparłem swój plan. Ułożymy pod jakimś pozorem wspólną z panem porucznikiem wycieczkę za kordon, bez jego wiedzy naładujemy bibułę do pudła pod siedzenie bryczki i pod jego opieką przewieziemy ją do domu kuzyna. Omówiliśmy wszystkie szczegóły. Chodziło o ukrycie bibuły przed oczami nie tylko pana porucznika, który miał nam służyć jako piorunochron, ale i domowego otoczenia mego kuzyna.

Postanowiliśmy więc w czasie wycieczki za kordon nie brać z sobą furmana i manewrować tak, by przyjechać do domu późnym wieczorem, gdy łatwiej jest wynieść niepo-

strzeżenie paczki z bibułą z bryczki do pokoju.

Mój kuzyn w parę dni potem wyruszył za kordon i wyprawił listy do towarzyszków zagranicznych, którym poleciłem wysłać odpowiednią ilość bibuły na imię sklepikarza w miasteczku zakordonowem, z którym dom mego kuzyna utrzymywał stałe stosunki. Bibuła miała swem opakowaniem imitować sukno. Specyalny zaś liścik do mego kuzyna miał być oznaką, iż owo sukno już jest do zabrania.

Wkrótce poznałem się tu z naszym piorunochronem. Poznanie nastąpiło w miasteczku pogranicznym, odległem od siedziby mego kuzyna o parę kilometrów, w knajpie, uczęszczanej przez pograniczną arystokrację, do której zaczęliśmy zaglądać, chcąc nadać pozory wypadkowości naszemu spotkaniu z panem porucznikiem.

— Oto on! — szepnął mi razu pewnego mój kuzyn, wskazując oczami na młodego, barczystego oficera, który zamasyżysie z brzękiem ostróg wchodził do knajpy.

Porucznik okazał się wesołym towarzyszem przy kieliszku. Opowiadał nam z wielkim ferworem o swych sukcesach myśliwskich i nadzwyczajnej celności swego oka. Rozmowa kręciła się koło polowania i mój kuzyn zaczął się skarżyć, że wobec zbliżającego się jesiennej sezonu myśliwskiego zabraknie mu gila ładunkowych do dwururki, niedawno przez tegoż porucznika z zakordonu sprowadzonej. Usłużny porucznik za-

proponował swe usługi w tym wypadku, bo i sam miał jakieś luki myśliwskie do zapełnienia.

Postanowiłem skorzystać z tej okazji i zaproponowałem, byśmy się wybrali kiedy za kordon razem. Porucznik chętnie się na to zgodził i nawet obiecał przewieźć mię na tamtą stronę i z powrotem bez paszportu lub półpaska. Długośmy się spierali o to, czy pójdziemy pieszo, czy pojedziemy, bo pan porucznik, wielki amator spacerów, chciał nas koniecznie prowadzić drogą leśną i pokazać nadzwyczajne talenty swego jamnika. Wreszcie dał się jednak przekonać i ułożyliśmy się, że zajedziemy po niego na kordon za kilka dni, gdy nasz porucznik miał wolny dzień od służby.

Na szczęście, w tym czasie przyszło też umówione zawiadomienie o tem, że sukno już otrzymane. Trzeba było działać możliwie prędko, bo i sklepikarz mógł przez ciekawość obejrzeć owo „sukno“ i wreszcie mój kuzyn coraz bardziej się rozklejał i wobec zbliżania się stanowczej chwili okazywał coraz bardziej chęć porzucenia całej imprezy. Żartowałem, śmiałem się z jego tchórzliwości, lecz odczuwałem, że muszę polegać jedynie na sobie i swoją stanowczością zmuszać kuzynka do czynu.

Nadszedł nareszcie dzień, wyznaczony nam przez pana porucznika. Kuzynek mój był zde nerwowany i podniecony do niemożliwości; prosił mię, bym jechał sam, bo się czuje chorym. Oparłem się jednak temu, bo przecież

ktoś musi bawić pana porucznika, gdy się będzie pakowało bibułę do bryczki. Wreszcie kuzynek dał się uprosić i siadł do przygotowanego powozu, jak skazaniec, jadący na ścięcie. Bałem się, że jego zdenerwowanie zwróci uwagę pana porucznika, więc umówiliśmy się, że ja porucznika nie odstąpię, a on będzie się opiekował bibułą i zapakuje ją do wozu.

Ruszyliśmy. Na kordonie spotkaliśmy oczekującego nas porucznika, którego nie poznałem. Był ubrany cywilnie, władze bowiem rosyjskie niechętnie patrzą na wycieczki wojskowych za granicę wobec możliwości „obrazy munduru rosyjskiego“. Porucznik był wesoły, jak szczygieł. Dowiedziałem się wkrótce o przyczynie tej wesołości. Na tamtej stronie, w miasteczku, była jakaś roman-sowa niemeczka, która obdarzała swymi względami pana porucznika. Po drodze porucznik zdażył mi opowiedzieć parę pieprznych szczegółów romansu i opisać swą niemeczkę zanadto szczegółowo.

Mineliśmy kordon szczęśliwie. Pan porucznik, według obietnicy, wstawił się za mną u zielonego cerbera, strzegącego granic imperium carskiego, i wkrótce stanęliśmy u celu podróży, w pruskim miasteczku M*. Konie zostawiliśmy u sklepikarza i we trójkę poszliśmy zwiedzać osobliwości miasteczka — knajpy z porządnem niemieckiem piwem. Po drodze załatwiliśmy myśliwskie interesy, a gdy liczba wypitych kufli była już dosyć dużą i wpłynęła nieco na podniesienie fan-

tazyi mego kuzynka, zaproponowałem panu porucznikowi spacer i wizytę u niemeczki, na kuzyna zaś mrugnąłem, by w tym czasie załatwił się z suknem-bibułą.

Nieszczęście chciało, żeśmy niemeczki nie zastali. Porucznik stracił na humorze i pomimo, że go wyciągał na myśliwskie opowiadania, nie zdradzał wielkiej chęci do dłuższego spaceru sam na sam ze mną. Jeszcze kilka kufelków piwa i wreszcie nie było już sposobu zatrzymać porucznika, który zgryziony niepowodzeniem miłosnem, chciał koniecznie wracać czempredzej do domu. Spojrzałem na zegarek — trochę więcej niż pół godziny minęło od czasu, gdyśmy się rozstali z kuzynkiem, musiał więc chyba załatwić się z włożeniem kilku pakunków do bryki. Na wszelki jednak wypadek, podchodząc do sklepiku, prowadziłem rozmowę tak głośno, by kuzynek mógł wiedzieć o naszym powrocie.

Nagle, ku wielkiemu memu zdumieniu, kuzynek z okropnie wystraszoną twarzą wyskoczył ze sklepiku, chwycił porucznika pod ramię i zaczął mu coś szeptać do ucha, dając mi za plecami jakieś rozpaczliwe znaki, wskazujące na sklepik. Wpadłem jak bomba na podwórze sklepikarza, gdzie stały nasze konie. Koło wozu stała sklepikarka i wyjmowała z pudła książki, składając je do swego fartucha. Zdebiałem.

— Was machen Sie?

— Der junge Herr hat gesagt, er wird nicht die Bücher nehmen — odparła mi flegmatycznie Niemka.

Nie rozpytywałem już, dlaczego się książki z opakowania wysypały, lecz nie tracąc czasu, postanowiłem ratować, co się da. Słyszałem głosy porucznika i kuzynka, oddalające się od sklepiku, więc wyrwałem książki z rąk Niemki i wpakowałem je napowrót do wozu. Jeden tylko pakunek był rozsypany. Dwa inne leżały obok na ziemi. Gdym jednak chciał bez rozprucia opakowania wsunąć zawiniątko pod siedzenie, okazało się, że jest ono za krótkie dla pakunku. Widocznie kuzynek, chcąc go wcisnąć, musiał ugnieść go zbyt silnie, tak, że opakowanie pękło i książki się wysypały. Nie było rady, rozprułem płótno i wysypałem książki z drugiego pakunku.

Nigdy w życiu tak się nie spieszyłem i nie zmęczyłem, jak wówczas. Cały czas nasłuchiwałem, czy porucznik nie wraca, ręce drżały mi ze wzruszenia, pot wystąpił mi na czoło. Nie myślałem wcale o tem, że cała rodzina sklepikarza otaczała mnie i oglądała ze zdziwieniem moją robotę; nie myślałem, że taki brak konspiracyi może się skrupić i na mnie i na mych krewniakach, chciałem tylko skończyć prędzej robotę, chciałem uniknąć zetknięcia się porucznika z bibułą.

Zaledwem zdążył jako tako ułożyć książki z drugiego pakunku, gdym usłyszał głosy wracających. Czem prędzej przykryłem bibułę poduszkami od siedzenia, trzeci zaś pakunek wsunąłem wprost do bryczki, położywszy go wzdłuż z brzegu tejże i przysypałem go sianem. W duchu postanowiłem się do bryki

z tej właśnie strony, by nikt inny nie wyczuł pod nogą pakunku. Po chwili porucznik i kuzynek byli już przy bryczce. Kuzynek był zupełnie wyczerpany, blady, z przygasłymi oczami, patrzył na mnie, jak skazaniec, błagający o litość. Pan porucznik, nieco podchmielony, był niecierpliwy, raz po raz powtarzał:

— Nu, gaspada, jediem! A panu szkodzit mnogo pić — dodał łamaną polszczyzną, zwracając się do mego kuzynka.

Usadowiliśmy się na wozie, ja, naturalnie, z brzegu, gdzie była bibuła. Na odjezdnem kuzynek, który powoził, szeptem zapytał mnie: „A gdzie książki?“ Odpowiedziałem mu również szeptem, udając gniew: „Zostały“. Humor kuzynka nagle się poprawił i z fantazją zaciął konie. Bryczka zadudniła po pysznej szosie pruskiej, zbliżając się do granicy.

Co do mnie nie byłem zupełnie spokojny. Gdyśmy kilka godzin temu przejeżdżali granicę, widziałem, jak zieloni rewidowali jakiś powóz i parę furmanek chłopskich, które z Prus wkraczały do imperyum rosyjskiego. Rewizya nie była ścisła, co prawda, lecz polegała na tem, że któryś z zielonych wsuwał rękę do wozu i przetrząsał siano. Liczyłem na to, że nas z porucznikiem nie zechcą fitygować i nie będą podejmować poduszek powozu, lecz dręczył mnie pakunek, który wyczuwałem pod nogami. Co będzie, gdy zielony podejmie siano, przykrywające pakunek? Albo co będzie, gdy porucznik zechce zejść na chwilę na przykomorek, przywitać się i po-

gawędzić z przyjacielem-urzędnikiem celnym? Może będę zmuszony zejść i ja, i zostawię w ten sposób wóz bez opieki.

Te pytania męczyły mnie mocno i przyznam się, gdy wreszcie zgrzytnęły łańcuchy na rogatce granicznej, byłem mocno zdenerwowany i ze złością patrzałem na swego kuzynka, który spokojnie zatrzymał konie już na terytorium rosyjskiem. Lecz nikt z zielonych nie zbliżył się nawet do bryczki, a pan porucznik, pochmurny i niezadowolony z wycieczki, ani się poruszył i tylko mruknął coś niezrozumiałego na powitanie żołnierzy i urzędnika celnego. Odetchnąłem jednak łżej dopiero, kiedy mój kuzyn po załatwieniu formalności paszportowej siadł znówu na brykę i konie lekkim truchtem ruszyły po pyłnej drodze.

Kuzynek mój dowiedział się o tem, że został oszukany, dopiero wtedy, gdyśmy pochmurnego porucznika pozbyli się przy kordonie i gdy siadłszy na jego miejscu, zaczął szeptem usprawiedliwiać się przedemną, że kazał sklepikarce zniszczyć książki.

— Jakaś głupia moskiewszczyzna — dodał — i poco tobie takie książki?

Zamiast odpowiedzi, odsunąłem siano z pod nogi i poprosiłem go, by zajrzał pod poduszki bryczki.

Zgłupiał, zdumiony moją bezczelnością. Zgodził się jednak z losem, prosił mnie tylko, bym wziął całą winę na siebie w razie, gdyby do ojca jego doszła przez sklepikarza wiadomość o tym wypadku. Reszta poszła, jak po

maśle. Zdołaliśmy niepostrzeżenie wyjąć bibułę z bryczki i zapakować do przygotowanych walizek, a w kilka dni potem dostarczyłem książki do Warszawy.

* * *

Powyższe opowiadanie towarzysza, pochodzącego z pogranicza, dowodzi, co prawda, względnej łatwości urządzenia jednego jakiego transportu bibuły, lecz nic nie mówi o takich transportach, jako o czemś stałym i regularnym. Rzecz jasna, że kombinacja, oparta na wyzyskaniu wspólnej z romansowym poręcznikiem wycieczce za kordon, może się nie powtórzyć, tem bardziej, gdy za pośredników używać trzeba, chociaż i lekkomyślnych, lecz tchórzliwych kuzynków. Potrzeby partyi nie mogą być zadowalane przez takie wypadkowe, niezorganizowane kombinacje przejezdnych towarzyszków. Musi ona mieć porządne, że je tak nazwę, biura transportowo-ekspedycyjne, działające stale, nie sporadycznie.

Każdy łatwo zrozumie, że pierwszym warunkiem istnienia takiego biura jest zamieszkanie na stałe przez jakiegokolwiek towarzysza pogranicza państwa. Już ta jedna okoliczność stwarza niemałe trudności do pokonania.

Całe pogranicze, z wyjątkiem paru punktów, jak zagłębie dąbrowskie lub Kalisz, jest to kraj rolniczy, odcięty najczęściej w dodatku przez politykę kolejową Rosyi od reszty kraju. Wyszukanie więc odpowiedniego towarzysza wśród mieszkańców pogranicza, gdy się

zważy, że wszystkie żywsze miejscowości obciążone są wzmocnionym odpowiednio dozorem celnym i policyjnym, nie jest łatwe. Osadzenie zaś umyślne którego z odpowiednich towarzyszy przedstawia te trudności, że w takich przeważnie głuchych zakątkach trudno o zajęcie, dające legalny i zrozumiały dla wszystkich pozór zamieszkania.

Dopiero po przewyciężeniu tej pierwszej przeszkody, nad którą ludzie nieraz łamią sobie głowy miesiącami, o ile szczęśliwy wypadek nie nasunie odpowiedniej kombinacji, można przystąpić do interesu. Naturalnie trzeba dać czas takiemu towarzyszowi rozpatrzyć się w otoczeniu, zbadać grunt i teren, na którym będzie pracował. Jeśli człowiek jest tem, co w Warszawie nazywają „cwaniak“, t. j. sprytny i obrotny, to w krótkim przeciągu czasu dostrzeże mnóstwo okazji, przy których można to lub owo zrobić dla interesu: przenieść bezpiecznie bibułę przez granicę, wywieść ją z pazu pogranicznego bez osobliwego narażania się na wysypę, zużytkować kogokolwiek z otoczenia do takiej lub innej pomocy przy prowadzeniu interesu i t. d. Po pewnym czasie i przy sprzyjających okolicznościach wytworzy się z pewnością jakiś system i kolejność w zużytkowywaniu różnych kombinacji, powtarzających się od czasu do czasu, lecz zbyt rzadkich, by tylko na jednej z nich opierać cały interes.

Jednym z takich idealnych transporciarzy był towarzysz X. Specjalnie w celu urzą-

dzenia drogi dla wydawnictw nielegalnych przyjął on drobną posadę w jakiejś fabryczce pogranicznej. Miał on szczególny dar zjednywania sobie ludzi i przywiązywania ich do siebie, a dzięki sprytowi, wkrótce był na pograniczu, jak u siebie w domu. Znał wszystkie tajniki graniczne, wszystkie stosunki, łączące ludzi pomiędzy sobą, i raz po raz w głuchym i mało zaludnionym zakątku potrafił sobie zdobyć pomocnika lub pomocnicę w niebezpiecznym procederze. Gdy sobie wybrał kogo do pomocy, opłatywał go powoli siecią drobnych usług i grzeczności, zobowiązywał dobrocią serca, gdyż się do takich pomocników zupełnie szczerze przywiązywał. Wciągał do interesu powoli i stopniowo, nie odkrywając na razie wszystkich swych kart, tak, że gdy „ofiara“, jak takich ludzi żartobliwie nazywał, spostrzegła się, że jest jednym z kółek w jakimś nieznanym jej mechanizmie transportowym, było już późno — była zbyt opłataną misterną siecią i najczęściej poddawała się losowi.

Zresztą wykorzystał on całe otoczenie. Jeden nieświadomie zupełnie służył mu dla wyrobienia dobrej opinii wśród zielonych i u władzy, drugi bezwiednie dał się naciągnąć w chwili odpowiedniej dla osłonięcia transportu przy przejściu granicy lub kordonu, trzeci pod pozorem prezentu zawiózł do najbliższego miasta trochę bibuły, czwarty nakręcony przez niego dowiedział się o tej lub innej tajemnicy urzędowej — i tak bez końca. Myśl miał wiecznie wyteżoną w celu

zwiększenia wydajności swej pracy i osłony swej roboty mrówczej przed niepożądanym wzrokiem argusowym nie tylko zielonych, żandarmów lub policyi. lecz i plotkarzy małomiasteczkowych.

Najkomiczniejszą jego „ofiara“ był tłusty oberżysta zakordonowy, który mu służył jako pośrednik przy otrzymywaniu bibuły z zagranicznych składów. Na razie skaptowany jakimś drobnym prezencikiem, proszony był o wypisanie paru posyłek na swoje imię — nie książek, broń Boże, lecz jakiejsz zwyczajnej kontrabandy. Przyzwyczajony do tego rodzaju tranzakcyj przez wielu mieszkańców pogranicza, zgodził się na to chętnie. Naturalnie zamiast jakiegoś sukienka, czy serwisu, przyszła bibuła odpowiednio opakowana z miasta, odpowiadającego tego rodzaju towarom.

Po kilku tygodniach nastąpiła nowa posyłka, na którą oberżysta zgodził się tem chętniej, że nasz towarzysz ułatwił mu przez swe stosunki kilka drobnych interesów na komorze rosyjskiej. Posyłki wkrótce zaczęły przychodzić coraz częściej, lecz oberżysta, widząc naszego towarzysza zawsze uśmiechniętego i pewnego siebie, oraz wiedząc dobrze, że mnóstwo rozmaitych towarów w ten sposób przechodzi granicę, zacierał tylko ręce, gdyż towarzysz nasz chętnie pomagał mu w tych interesach, jakie „ofiara“ miała na pograniczu rosyjskiem.

Wkrótce jednak twarz oberżysty ogromnie się wydłużyła. Wypadkowo zoczył on, że tym

towarem. dla którego używał swego pośrednictwa. była bibuła. Słyszał on o ruchu rewolucyjnym w Rosyi, dochodziły doń przesadne wieści o okrutnych prześladowaniach, torturach i męczarniach. jakim podlegają wrogowie „porządku politycznego i społecznego“ w Rosyi, a zarazem miał on wysokie pojęcie o potędze cara, który zdaniem jego mógł marnego oberżystę nadgranicznego zupełnie łatwo chwycić z obcego państwa, by wyrzucić na nim zemstę za knowania przeciwpaństwowe. W ogromnym więc strachu zrobił gorzką wymówkę naszemu towarzyszowi za takie narażanie „przyjaciela“ i stanowczo odmówił pomocy swej nadal.

Towarzysz nasz nie dał się jednak zbić z tropu. Stosunek jego z oberżystą, gospodarzem miejsca na wpół publicznego, wydawał mu się bardzo wygodnym, bardziej zabezpieczającym transporty, niż jaki inny, tem bardziej, że handlowe interesy „ofiary“ dawały doskonały pozór dla wielkiej ilości posyłek, nadchodzących do oberży. Postanowił więc wykorzystać strach swej „ofiary“, by ją przykuć do taczki na dłużej.

Przedstawił więc mu, że jego częste stosunki z „przyjacielem“ nie są tajemnicą dla nikogo, że w razie odmowy jego, będzie zmuszony urządzić interes inaczej, mniej pewnie, mniej bezpiecznie i prawdopodobnie się wsypie, a wówczas naturalnie stosunki dwóch „przyjaciół“ nabiorą w oczach żandarmów rosyjskich innego znaczenia, wówczas dopiero grozić mu będzie prawdziwe niebezpieczeństwo.

Po długich targach biedna „ofiara“ dała się przekonać, tem bardziej, że na poparcie tych argumentów otrzymała w prezencie piękny zegarek. Prosił tylko, by posyłki były mniej częste. Odtąd co miesiąc lub częściej biedny oberżysta ponawiał usiłowania wyrwania się z sieci i za każdym razem cofał się. Żył w wiecznym strachu, osobliwie, gdy leżało u niego więcej bibuły, lub na granicy było nieco niespokojnie, drżał, gdy do jego oberży wsuwał się który z zielonych lub innych urzędników rosyjskich. Dla uspokojenia „przyjaciela“ towarzysz nasz musiał znosić najrozmaitsze jego kaprysy — musiał się zgadzać na różne głupie kombinacye, które biedny oberżysta starał się zabezpieczyć sobie i „przyjaciela“. Miał więc określone godziny, kiedy się mógł zgłaszać do oberży, musiał często zmieniać sposób opakowania bibuły, sprawić jakąś nadzwyczajną szafę z podwójnymi ściankami jako schowanka bibuły itd.

Pomiędzy innemi oberżysta ogromnie się wystrzegał, by ktokolwiek nie zobaczył naszego towarzysza w prywatnem jego mieszkaniu. Razu pewnego wynikła z tego powodu zabawna scena. Po milionach ostrożności, przysłanianiu okien, wciskaniu towarzysza X. do kąta w każdej chwili, gdy kto przechodził przed oknami mieszkania, oberżysta pozwolił wreszcie zajrzeć do tajemniczej szafy, gdzie był wpakowany świeży transport bibuły. Niestety chciało, że gdy towarzysz nasz był zajęty segregowaniem bi-

buły i pakowaniem jej w odpowiedni dla przeniesienia przez granicę sposób, a oberżysta biegał po pokoju, na palcach podchodząc od jednego okna do drugiego, przy drzwiach rozległy się kroki i skrzypnęła klamka. Nim się nasz towarzysz obejrzał, barczysty oberżysta schwycił go za kołnierz, położył go na podłodze, przykrył go jakimś ubraniem i zatrzasnął szafę.

Jak się okazało, do pokoju weszła bratowa oberżysty, która miała jakiś interes do niego. Wystraszony mimowolny rewolucjonista nie mógł odrazu zrozumieć, o co bratowej chodzi, i czynił rozpaczliwe wysiłki, by zasłonić swem ciałem miejsce, gdzie leżał nasz towarzysz, którego nieprzykryta noga sterczała z pod płachty. Wreszcie, widząc, że wszelkie usiłowania są daremnymi i że bratowa uparcie patrzy na ową nieszczęśliwą nogę, podskoczył do zdziwionej kobiety i wyrzucił ją za drzwi. Po tym wypadku oberżysta był w rozpacz, tembardziej, że nasz towarzysz zgromił go ostro za takie zachowanie się, które więcej, niż co innego, zwrócić może uwagę otoczenia na ich stosunek. Lecz oberżysta uspokoił się nieco dopiero wtedy, gdy jakąś dziwaczną kotarą odgrodził kąt w pokoju i umieścił w nim szafę z bibułą. Nasz towarzysz natychmiast po wejściu do pokoju był wpychany za kotarę, gdzie w mroku i ciasnocie mógł już gospodarzyć swobodnie.

Po dwóch latach takiej niewoli oberżysta nie wytrzymał tej katorgi i porzucił swą

oberżę. Wyniósł się do spokojniejszych stron. w głąb kraju, lecz przez cały ten czas oddał nieobliczone usługi wrogom caratu.

Inna „ofiara“ naszego towarzysza, już więcej świadoma i zdająca sobie sprawę z tego, co czyni, była żona jednego z urzędników komorowych w tej okolicy.

Pani Z* pochodziła z niemieckiej, spolszczonej już rodziny i jako guwernantka w bogatym urzędniczym domu, wyszła za mąż za krewnego swego pryncypała, Rosyanina i urzędnika celnego. Pan Z*, gdy go los zetknął na polskiej ziemi z naszym towarzyszem, był już zupełną ruiną człowieka. Wyniszczyły go zupełnie choroby — skutki hulaszczego życia w młodości. Może był niegdyś niegłupim, lecz w owym czasie był to zidyociały szkielet człowieka, który z ludzkich funkcij zachował bodaj tylko zdolność trawienia i leniwego poruszania się z miejsca na miejsce. Trzymano go na urzędzie jedynie dlatego, że ze względu na krewnego, wysokiego urzędnika w Petersburgu, chciano mu pozwolić na wysłużenie emerytury. Małżeństwo miało córkę kilkunastoletnią, która się kształciła w jakimś zakładzie naukowym w Warszawie.

Pani Z*, związana z człowiekiem pół-trupem, zdala od córki, do której była przywiązana całym sercem, nie znajdowała w swem otoczeniu, składającym się z nieokrzesanych, często pijanych urzędników, nic takiego, coby mogło zapełnić jako tako jej życie. W tym czasie przybył w owe okolice towarzysz X. Znajomość zawiązała się wypadkowo. Towa-

rzysz X. wyjeżdżał w interesie fabryki do Warszawy i był proszony o dostarczenie córce państwa Z* prezenciku od rodziców. Wrócił z listem córki i znajomość została zawarta. Po pewnym czasie nasz towarzysz zdecydował się na zużytkowanie dla sprawy tej nowej znajomości.

Na razie powiedział pani Z*, że jakiś znajomy z Warszawy prosił go o dostarczenie mu kilku książek niecenzuralnych, a że w jego kawalerskiem mieszkaniu mogły wpaść one w oko komuś ze służby, prosił o przechowanie książek do czasu oddania ich w należyte ręce. Gdy pani Z* się zgodziła, przyniósł jej kilka specjalnie w tym celu wypisanych tomików poezyj polskich i parę książek historycznych. Było to zrobione, naturalnie, w celu oswojenia „ofiary“ z nielegalną książką i wysondowania, czy nie wywoła to strachu. Pani Z* okazała się odważną i nie tylko przechowywała książki, lecz i przeczytała je. Wkrótce, jak u owego oberżysty, liczba książek, przechowywanych u pani Z*, zaczęła wzrastać, treść ich zaczęła nabierać określeńszej barwy, a gdy to nie zrażało pani Z*, towarzysz nasz nareszcie zwierzył się jej, że należy do organizacyi, walczącej z rządem carskim i proponował jej od czasu do czasu pomagać mu w robocie.

Dla pani Z* znajomość z naszym towarzyszem, oraz interesy z bibułą były zapelnieniem przerażającej pustki życiowej, a zresztą czuła ona pewnego rodzaju litość dla sympatycznego chłopca, który dla idei narażał

się na widoczne niebezpieczeństwo. Zgodziła się więc na propozycję i oddała swe mieszkanie, oraz swoje siły na usługi naszemu towarzyszowi. Dla niego pomoc ta była bardzo cenna. Mieszkanie państwa Z* znajdowało się w dużym murowanym domu, gdzie się mieściło kilka rodzin urzędniczych, więc samo miejsce było swego rodzaju „tabu“ dla zielonych, a w dodatku towarzysz X. mógł używać nieraz pomocy pani Z*, a przez nią i jej męża, dla osłony poważniejszych transportów w głąb kraju.

Jeden z towarzyszków, który brał udział w przewiezieniu takiego poważniejszego transportu, opisywał swoje przeżycia w tym wypadku w następujący sposób.

* * *

— Miałem przywieźć do Warszawy świeży numer „Przedświtu“, mniej więcej dwa pudy bibuły. W tym celu musiałem jechać do miasteczka, oddalonego od granicy o kilka mil, gdzie towarzysz X. miał mi oddać już przetransportowany „Przedświt“. Randka miała nastąpić u jakiegoś znajomego X. Przyjechałem szczęśliwie, zastałem X, lecz bibuły nie było.

— Nie przywiozłem nic — oświadczył mi X — bo mam na myśli coś większego. Dziś rano pod wieczór oczekuję czcionek dla naszej drukarni, więc dobrze byłoby, gdybyś zabrał wszystko odrazu — czcionki i „Przedświt“.

— Ależ do diabła — zaprotestowałem —

cóż ty mnie chcesz obładować, jak osła. Dwa pudy bibuły, a tego metalu tyleż, czy więcej. Jak, u licha, ja to powiozę.

— Już ty się nie bój — śmiał się X. — już ja ci to urządzę, obmyśliłem już wszystko. Tylko spieszmy. Mamy kilka godzin czasu do przyścia transportu, a wtedy muszę być w domu. Jazda, brachu!

Jak jazda, to jazda! Ruszyliśmy, konie były już przygotowane. W drodze X. zasypywał mnie pytaniami o znajomych towarzyszach, o robocie partyjnej.

— Ach, mój drogi — powtarzał raz po raz — dla mnie przyjazd każdego z was to bał prawdziwy. Siedzę tutaj jak na wyspie bezludnej, ani do kogo porządnie przemówić, ani wiem, co się tam u was dzieje. Licho bierz takie życie!

I z wielkiego rozczerwienia ścisnął mi ręką kolano.

— Wam tam wesoło — prawili — macie życie, ruch, a tu br... wiecznie albo kłamiesz, albo kogoś na coś naciągasz. Nie masz wyobrażenia — ciągnął dalej, zapalając się w skardze — ile ja tu o każdego z was się niepokoję. Wciąż myślę — a może tego lub owego już nie ma. Wy tam z ludźmi macie do czynienia, to tego nie rozumiecie. Oj! byłby każdy z was na mojem miejscu, był. Bibuła, nuda i wieczna komedia! Ale, pal licha — otrząsał się z melancholii — cóż tam słyszać z „Robotnikiem“? Przywiozłeś mi może świeży numer?

I znowu, przeskakując z przedmiotu na

przedmiot, z imienia na imię, wyciągał ze mnie wszystkie nowiny partyjne. Przytem od czasu do czasu, wyjmując z kieszeni zegarek, mruzczał: „Hm. hm., czy zdążę?”

Wreszcie zdala zabielały mury kościoła w miasteczku pogranicznym, a w pobliżu przy skrócie drogi ukazały się czarne ściany kordonu z zielonym wojakiem na warcie. Trochę w bok od miasteczka ukazał się malutki komin fabryczny, oddzielony od zabudowań miejskich wąskim strumieniem. Była to siedziba towarzysza X.

— Słuchaj! — zawołał nagle X. — przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, gdy nas razem nie będą widzieć w miasteczku. Kto wie, co będzie, może transport z czcionkami nie przejdzie szczęśliwie, może przemysłnika złapią, może wyśpiewa odrazu, że niósł do mnie, po co i ty masz być w to zamieszany. Nie, nie chcę tego! Urządzimy tak. Ja jadę do miasteczka... Nie, lepiej ty jedź do miasteczka, zapłać woźnicy zaraz w początku zabudowań, tam będzie uliczka na lewo, raczej droga... o widzisz, stąd ją widać, prowadzi do fabryki. A może jeszcze lepiej jedź odrazu do pani Z., to dla ciebie najbezpieczniej. Co? Ale dla niej niewygodnie, będzie potem musiała kłamać przed ludźmi i ja jej nie uprzedzałem, że ktoś u niej być może...

I kręcił się niespokojnie na wozie, mrużąc: „może lepiej nie zaczepiać? co?” — pytał sam siebie. Widocznie tłoczyły mu się w głowie kombinacje w takiej ilości, że nie mógł się zatrzymać na żadnej z nich.

— Jak myślisz? — pytał. — Najlepiej chyba będzie jechać razem, jeszcze nie dasz sobie rady, zabłądzisz..

— Ależ daj spokój — przerwałem — widzę przecie tę drogę, o której mówisz, opowiedz więc, co mam dalej robić. Do pani Z. w istocie zajeżdżać niezręcznie.

— Tak mówisz! — uspakajał się X., który poczuwał się widocznie do obowiązku opiekowania się przyjezdnymi towarzyszami. — Tak mówisz! no, to dobrze. Jedziesz do miasteczka, płacisz woźnicy, a nie dawaj mu tylko dużego napiwku, tak 10 kopiejek, to dosyć. Jeszcze gotów pomyśleć, że jakaś sprawa nieczysta! Idź tą drogą na lewo. trafisz wprost do fabryki. Tam wal przez bramę na podwórze, nikt cię zatrzymywać nie będzie. a i robota dziś w sobotę już się skończyła. Na lewo będą dwa domki, jeden piętrowy, drugi z facyatką, więc do tego z facyatką, na schody i na strychu na lewo, tam mieszka N. N., idź do niego.

— Nie do ciebie? Czema?

— Już ty mnie słuchaj! — mówił prosząco — tak lepiej, bo widzisz, a nuż co się zdarzy. Tam dadzą ci herbaty i zjeść cokolwiek, już go uprzedziłem.

— Cóż-to za mała ten N. N.? Jak z nim mam mówić?

— Mała głupia, jak stołowe nogi, ale poczciwa. Gadaaj najlepiej o płci pięknej. Pytać cię o nic nie będzie. No, więc trafisz? Co? Pamiętaj zaraz w miasteczku droga na lewo do fabryki, tam drugi dom z facyatą.

— Dobrze, dobrze, rozumiem — uspaka-
jałem go. — A ty tam przyjdiesz? Kiedy?

— Już cię nie opuszczę, nie zje cię małpa.
Aha, N. N. wie o mnie, ale to nic, on złoty
chłopiec. No, na mnie pora, stąd dojdę pie-
szo. Stój! — zawołał na woźnicę.

Konie stanęły, X. wysiadł, ścisnąwszy mi
czule rękę i patrząc mi w oczy tak, jak
gdyby za chwilę jeden z nas miał być po-
wieszony. Gdy odjechałem parę kroków, usły-
szałem wołanie: „Zaczekaj, stój!“. X. znowu
dopadł do wozu i szeptał mi do ucha:

— Ale słuchaj. w razie, gdyby cię jaki
strażnik lub żandarm zapytał, kto ty i po
co — to się zdarza — powiedz odrazu, że
do mnie. Dobrze! Bo widzisz, najlepiej by-
łoby, najbezpieczniej dla ciebie powiedzieć,
że do pani Z., to dobra marka. Ale kto wie,
jak dalej będzie? Po co mamy bez potrzeby
wciągać panią Z.? Co?

Zgodziłem się i na to, jeszcze raz uściska-
liśmy się i ruszyliśmy w różne strony. Przy
wjeździe do miasteczka, zatrzymałem woźnicę,
opłaciłem go i poszedłem według wskazówek
X. do fabryki. Nikt mnie nie zatrzymywał,
spotkałem na drodze tylko konnego zielonego,
który nie zwrócił nawet na mnie uwagi. Po
chwili byłem już koło domu z facyatką.
W dosyć ciemnej sieni znalazłem schody.
prowadzące na strych. Schody były strome.
karkołomne. bez poręczy. Wdrapałem się na
strych i po omacku już idąc, na lewo zna-
lażłem jakieś drzwi. Zapukałem. Otworzyła
mi drzwi jakaś senna, pulchna figura, która

na zapytanie, czy z panem N. N. mam do czynienia, zaprosiła mnie do pokoiku.

— Proszę, proszę, panie dobrodzieju — flegmatycznie cedziła figura. — Pan X. mię uprzedzał, a jakże. Proszę, czekam z herbatką, niech pan siada.

Usiadłem. W pokoju było duszno, w nosie nieprzyjemnie łechtano od zapachu jakiejś strasznie taniej i strasznie obskurnej perfumy. Na ścianach były poprzybijane korespondentki i obrazki, przedstawiające przeważnie na pół lub zupełnie rozebrane niewiasty w różnych pozach. Na komodzie rozłożony był cały arsenał grzebyków, szczoteczek, mydełek i flakoników. Sam zaś gospodarz, był to wyblakły, pucułowaty blondynek, o sennych oczach i flegmatycznych ruchach, z głupkowatym, nieco zażenowanym uśmieszkiem.

— Co, u dyabła, za konspiracyę może mieć X. z taką małpą? — myślałem.

N. N. nalał mi herbaty, podał mi chleb, masło i jakąś przestarzałą wędlinę i czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozmowy, nie pytając mię o nic.

Próbowałem nawiązać rozmowę z różnych beczek; rozpytałem dokładnie mego gospodarza o warunkach pracy na fabryce, o cenach na produkty spożywcze, o przestrzeni dzielącej fabrykę od granicy i od różnych miejsc zamieszkałych w okolicy. Na wszystkie pytania otrzymywałem jednosylabowe, monotonnym głosem wyrzeczone odpowiedzi. Wreszcie zabrakło mi tematu. Zamilkłem. Milczał i go-

spodarz. Na szczęście przypomniałem sobie radę X. — gadaj o płci pięknej.

— Pan był w Warszawie? Nieprawdaż? Zauważył pan zapewne, że w Warszawie dużo ładnych niewiast?

Gospodarz ożywił się nieco. Westchnął jak wieloryb, a na twarzy zakwitł uśmiech błogi.

— Co pan mówi — ładne; co to jest ładne? Piękne, powiadam panu, piękne. Przecie to nasza sława!

Rozmowa odtąd nie urywała się. N. N. mówił dużo i z zapalem. Słuchałem pół-uchem, wciąż pytając siebie, jak ten wioskowy Don Juan mógł się stać pomocnikiem naszej sprawy. Wreszcie nie wytrzymałem i spytałem, przerywając jego dowodzenie o wyższości Warszawianek nad Krakowiankami.

— Pan dawno zna pana X.?

— Ja? — odpowiedział pytaniem. — Czy dawno? Nie, pół roku temu. O! to bardzo porządny, bardzo dobry człowiek! — mówił z przekonaniem. — Takich ludzi niewiele na świecie. Pan może sądzi, że ja nie czuję. Nie, ja czuję!

Co właściwie czuł pan N. N., tego mi nie wyjaśnił, widocznem jednak było, że czuł w istocie, bo twarz mu się zmieniła i jak gdyby nabrała pewnego wyrazu.

Nagle do pokoju wpadł sam X. Rzucił kapelusz na łóżko, zajrzał, nie wiem już po co, do kątów i wreszcie siadł koło mnie.

— Pijesz herbatę — mówił wesoło, kładąc mi rękę na ramieniu. — Cóż zmęczony jesteś?

Możebyś zdrzemnął? Czekają nas jeszcze dziś wieczorem praca.

Wstał znowu, przewrócił parę gratów na stole i klepiąc dobrotliwie po ramieniu gospodarza, mówił:

— Pewnie o kobietach rozprawialiście. co? Oj! panie N. N., zgubią pana kiedyś te kobiety! A co słyhać tu u nas?

— Stare dzieje, panie dobrodzieju. stare! — mówił znowu flegmatycznie gospodarz. — Pan wie, przyjechał znowu brat pana dyrektora.

— Nie wie pan, po co? — zapytał żywo X.

— Ma jakoby jechać na kilka dni do Krakowa, a potem wraca do Warszawy.

X. zamyślił się, parę razy przeszedł wzdłuż pokoju i wreszcie rzekł:

— Może mu co wsunąć, gdy będzie wracał. Powiem mu, że to prezent dla córeczki pani Z. — szeptał mi do ucha. — Ty zajdziesz do niego, mieszka na Marszałkowskiej, przedstawisz się jako krewny pani Z. i odbierzesz. Co? On człowiek dyskretny, nie otworzy pakunku... Nie, nie, to na nic! Ty możesz nie być w tym czasie w Warszawie, posyłka będzie u niego leżała długo. Jeszcze gotów sam zanieść na pensję. Ładny byłby obrazek, zamiast prezentu, bibuła! To na nic!

Zamyślił się znowu.

— Ale prawda, zapomniałem, żeś mi przywiózł „Robotnika“ i listy zagraniczne. Po co będę tem obciążał swego pośrednika. Ten pan jedzie do Krakowa, niech zawiezie tam.

Dam mu adres. Jak sądzisz — zwrócił się do mnie — czy można mu dać adres? — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszków krakowskich. — Znajdzie może „Naprzód“ u niego na stole i gotów posądzić kogo z nas o socjalizm. Lepiej zapytam, gdzie się zatrzyma w Krakowa i napiszę do faceta, by zaszedł i odebrał. Tak będzie nawet grzeczniej, nie będę go fatygował. Tak zrobię! Ot, jeszcze jeden interes będzie załatwiony!

Gospodarz, widząc, że X. coś mi szeptem do ucha, dyskretnie się usunął na bok.

— Ja mam malutki interes do załatwienia — mówił, biorąc czapkę. — Zostawię tu panów. Do widzenia!

— Nie, nie, panie. Niech pan zaczeka — zaprotestował X. — Jeszcze pół godzinki i ja pana uwolnię. Już wieczór się zbliża.

Odciągnął mnie w kąt i zniżonym głosem mówił:

— Widziałem swego przemytnika, przeniósł już w nocy czcionki, lecz zdawało mu się, że jest za nim pogoń, zakopał więc pudełka w krzakach. Dzisiaj o zmroku ma to mi przynieść. Muszę czekać na niego, ale na wszelki wypadek ty posiedź tu chwilę jeszcze, a w razie, gdybym za godzinę nie wrócił, idź z N. N. do miasteczka i już bez ceremonii wal do pani Z. Każdy w miasteczku wskaże, gdzie ona. Z nią się już umawiaj o dalsze sprawy, tylko tu nie wracaj, bo w razie mojej wsypy, mogą zaczepić i N. N. No, bywaj!

Scisnął mi mocno rękę, patrząc na mnie

znowu tak, jak gdybyśmy się rozstawali na zawsze, albo na bardzo długo.

Wyszedł, a N. N., odprowadziwszy go do drzwi, wrócił, mrucząc:

— Biedny człowiek, nigdy spokoju, ani chwili spokoju!

Nie chciało mi się rozpoczynać raz jeszcze „kwestyi kobiecej“, milczałem więc, patrząc w okno, przez które widać było gasnącą zwolna wieczorną zorzę.

Było mi trochę smutno. Nie dręczyły mnie, co prawda, żadne złe przeczucia. Wiedziałem dobrze, że dzielnemu X. tyle już przedsięwzięć się udało, iż nie było żadnej racyi oczekiwać, by za tym razem powinęła mu się noga. Ale... kto wie, może za chwilę, gdy ja tu będę jeszcze spokojnie siedział, tam wśród tej miłej i cichej przyrody, przy tej pogodnie gasnącej zorzy, rozegra się jeden z dramatów granicznych, które przecież kończą się nieraz śmiercią.

Czas włókł się leniwie, niecierpliwość moja wzrastała. Spojrzałem na zegarek — minęło zaledwie 20 minut od rozstania się z X. Więc jeszcze 40 minut czekania.

N. N. siedział na łóżku i zdawał się wsłuchiwać w wieczorną ciszę. Po pewnym czasie prawie wesoło zawołał:

— Idzie! panie dobrodziej, idzie!

W istocie usłyszałem pod oknem ciężkie kroki i lekkie gwizdnięcie. Później słychać było krótką, urywaną rozmowę szeptem, odmykanie i zamykanie okna, wreszcie kroki zaczęły się oddalać.

— No, gotowe! — zawołał po chwili X., wpadając do pokoju i zacierając ręce. — Teraz chodź do mnie — mówił, ciągnąc mię za rękaw. — Teraz i pan wolny — dodał, zwracając się do pana N. N.

Zeszliśmy znowu po karkołomnych schodach na dół i X. wprowadził mię do swego pokoju na parterze, pod pokoikiem N. N. na facyatce.

Pokój był nieduży, bardzo skromnie umeblowany. Stół przy oknie, na nim trochę rozrzuconych papierów i rachunków fabrycznych, łóżko po jednej stronie stołu, po drugiej kanapka, kilka krzeseł — oto całe umeblowanie.

Gdyśmy weszli, w pokoju było ciemno. X. natychmiast zamknął za sobą drzwi na klucz, spuścił gęstą roletę i zapalił lampę. Na łóżku leżały dwa drewniane pudełka.

— Spróbój, podnieś. Oj, ciężkie cukierki — żartował wesoło.

Były to czcionki, któreśmy wypisali dla dopełnienia inwentarza swej drukarni.

— Trzeba pudełka rozbić, przeniesiemy do pani Z* czcionki w kieszeni. Do pracy! A ciekaw jestem, czy przysłali ozdóbki. Prosiłem o to Londyn specjalnym listem.

Ozdóbki w pudełku się znalazły, z czego X. cieszył się, jak dziecko.

— Będzie chłopcom w drukarni niespodzianka! Ale — zachnął się nagle — przeglądałem wasze zamówienia bibuły. Nie rozumiem, czemu wypisujecie tak mało; na przykład tak poczytnej broszury, jak „Ojciec Szymon“, tylko 300. Przecie to wam wystar-

czy tylko na miesiąc, dobrze — jeśli na dwa. Nie, mój drogi, wybacz, ale ja wasz obstalunek przerobię.

— Ależ — protestowałem — nie przebie-
raj miarki, po co wypisywać za dużo, żeby
bibuła nam była kulą u nogi.

— Et, gadanie — oburzył się X. — nie
możecie jej trzymać u siebie, to niech leży
u mnie. U pani Z* mam wspaniały skład,
mógłbym tam cały londyński skład wpako-
wać. Zobaczysz! Jak sobie chcesz, a do wa-
szego obstalunku coś nie coś dopiszę. Ale my
tu gadu, gadu, a już iść trzeba, już pół do
dziesiątej. O tej porze pan Z* spać się kła-
dzie. Spieszmy!

Czcionki leżały na łóżku w kolumnach, za-
winiętych w gruby papier. Było tego na
wagę do trzech pudów. Wsuwaliśmy kolumny
do kieszeni spodni, kurtki i paltotu. Ciężar
czcionek odrazu ściągnął ubranie ku ziemi,
poczułem pewną niezręczność i brak swobody
swych członków przy takim opakowaniu
siebie.

— Czy daleko iść mamy? — zapytałem.

— A co? może ci za ciężko, daj mi jedną
kolumnę. Ja do tego rodzaju spacerów jestem
już przyzwyczajony. Będziemy szli jakie pół
wiorsty.

Nie zgodziłem się jednak na dodatkowe
obciążanie przyjaciela, który tymczasem, świe-
cąc sobie lampą, oglądał uważnie łóżko i pod-
łogę koło stołu.

— Zgubiłeś co? — pytałem. — Trudno ci

będzie nachylać się, znajdziesz potem, po powrocie.

— Nic nie zgubiłem — odparł — ale na wszelki wypadek oglądam, czy co się z pudełek nie wysypało. O! widzisz, trzeba zabrać deseczki od pudełek. U mnie one zwrócą uwagę stróża. zaniosę je pani Z., spali je w kuchni.

Rzucił raz jeszcze badawcze spojrzenie na pokój i zgasił lampę.

— Idźmy! — rzekł. — Trzymaj się mnie; na dworze ciemno, a będziemy szli wąską ścieżką i kładką nad strumykiem.

W istocie było ciemno, lecz mój przewodnik znał widocznie doskonale drogę. Szedł krokiem pewnym, od czasu do czasu ostrzegając mnie, bym nie zawadził o co. Gdyśmy wyszli z pomiędzy zabudowań fabrycznych, i zdala zamigotały światelka miasteczka, mój przyjaciel zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, tu zapal papierosa i rozmawiajmy głośno, jak ludzie, co nie mają powodu ukrywać się. Ten kawałek drogi do miasteczka niezupełnie bezpieczny. Zieloni tu się włóczą często. Mnie raz zatrzymali przy kładce, widocznie oczekiwali kontrabandy owej nocy. No, ale mnie znają tu, więc żołnierz, poznawszy mnie, puścił, a miałem przy sobie prawie pud bibuły.

Według wskazówek towarzysza szliśmy, gawędząc głośno, nawet hałaśliwie. Rozmawialiśmy naturalnie o rzeczach postronnych. Droga była uciążliwa, czcionki obciągały odzienie, szelki wpijały się w ciało, pakunki

w kieszeniach od palta biły po biodrach, na nierównej ścieżce pomimo ostrzeżeń przewodnika raz po raz wpadałem na pień lub kamień. Odetchnąłem więc lżej, gdy, zlany potem, wszedłem za moim przewodnikiem w wąską uliczkę miasteczka — byliśmy prawie u celu.*

— U pani Z. świeci się — mówił X., wskazując na okno na pierwszym piętrze, z którego płynął łagodny blask na uliczkę. Chwała Bogu, pan Z. już się położył. Bylibyśmy zmuszeni w przeciwnym razie chodzić tu i czekać. Raz tak obładowany czekałem pół godziny, myślałem, że mię dyabli wezmą.

— Czemu nie wchodzisz przy nim, przecie go znasz?

— A bibuła, która ci zewsząd sterczy, a służąca, która nim się pan nie położy, nie usunie się z mieszkania! No, teraz cicho, możliwie cicho! — szepnął mi, wchodząc na schody. — Nie stukaj butami!

To drapanie się na schody, stąpanie na palcach nóg, z ciężarem w kieszeniach i ze strachem w duszy, że się skądś wyłoni ktoś z mieszkańców domu — było chyba najprzykrzejszem przejściem, jakie miałem w życiu. Drewniane schody w dodatku skrzypiały od czasu do czasu. Człowiek-by chciał, by w tym czasie grzmiało na dworze, wyła zawierucha i zagłuszała te nieznośne skrzypnięcia.

— Za kogoby nas wzięto — myślałem — gdyby tak nas kto zoczył wkradających się, jak złodzieje, do cudzego domu. I ten człowiek przebywa tę drogę kilka razy na tydzień.

Nareszcie jesteśmy na galeryjce, wiodącej do mieszkań urzędniczych. Czyżby trzeba było po tej galeryjce pod drzwiami się przekradać?

Nie, na szczęście mój towarzysz zatrzymał się przy pierwszych drzwiach i lekko zapukał. Drzwi natychmiast się otworzyły — widocznie nas czekano. U progu stała niemłoda, szczupła blondynka ze smutnym lecz łagodnym wyrazem twarzy. Palec położyła na ustach i wskazała pokój na lewo. Jak cienie wsunęliśmy się do pokoju, gdzie mój towarzysz wziął mnie za ramię i doprowadził do jakiegoś łóżka. Siedliśmy na nie.

— Jeszcze nie zasnął — szepnął mi do ucha — może i służąca jest.

W istocie — usłyszeliśmy kobiece głosy w przedpokoju. Jak tylko drzwi za galeryjką skrzypnęły, mój towarzysz podskoczył jak piłka i na palcach nóg szybko podbiegł do drzwi pokoju — nasłuchiwał, po chwili wrócił do mnie.

— Jeszcze nie — szeptał — słyszałem, jak pani Z* mówiła, żeby służąca podrzuciła węgli do samowaru — chce gości poczęstować herbatą.

Nareszcie po kwadransie siedzenia w ciemnym pokoju ujrzeliśmy panią Z*, która z lampą w ręku weszła do nas.

— Oswobodzę już panów z niewoli — mówiła z uśmiechem, podając rękę memu przyjacielowi.

— Towarzysz z Warszawy — przedstawił mnie X.

— Proszę na herbatę, pewnieście zmęczeni.

Chcieliśmy się wymówić, lecz wreszcie ustąpiliśmy gospodyni. W następnym pokoju na stole szumiał samowar, stały szklanki, talerze i przekąska.

Jedliśmy i piliśmy w milczeniu; drzwi do dalszego pokoju były otwarte. Stamtąd od czasu do czasu dawało się słyszeć jakieś chrapanie, zgrzytanie zębami, niewyraźne mruczenie. Ani pani Z*, ani mój przyjaciel nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

Po kolacyi wróciliśmy do pokoju, do któregośmy weszli z przedpokoju. Był to, jak mi wytłumaczył mój towarzysz, pokój córki państwa Z*.

— To mój skład główny — mówił mi X. z dumą. — Spójrz!

Wyjął z kieszeni wiązkę kluczyków i otwierał szuflady komody. Były napelnione bibułą.

— No, teraz pakować! Jutro pojedziesz z panią Z. Ona jedzie do Warszawy. Ja odprowadzę was do stacyi kolejowej. Dla powagi i ochrony weźmiemy z sobą tego kiepskiego waryata, pana Z. Jego nikt nie ruszy! Tym razem pojedziesz jak wielki pan, nie jak biedny rewolucjonista, chowający się przed wzrokiem każdego ugwiażdżonego durnia moskiewskiego. Ale za to zabierzesz mało. Wpakuję ci oprócz „Przedświtu“ i czcionek, jeszcze pudzik bibuły agitacyjnej. Zgoda? Przecie tej brak wam zawsze.

Wysunął na środek kosz i parę waliz. Składaliśmy w nie książki; czcionki położyliśmy na sam spód kosza. Szuflady w komodzie powoli wypróżniały się. Mój towarzysz

zacierał ręce i mruczał, robiąc od czasu do czasu notatki.

— Sto „Ojca Szymona“. No. no! nie już u mnie nie zostało. A widzisz, że trzeba wypisać 500, nie 300, jak wy chcecie! Dwadzieścia „W kwestyi żydowskiej“. Choć Marks pisał, ale rzecz nudna — wystarczy dwadzieścia. Co?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

— Sto „Katolika“ — mruczał, biorąc do ręki związaną paczkę broszury „Czy socyalista może być katolikiem“. — Słyszałem, że w Radomskim tej broszury wiele idzie. Może dodać ci jeszcze pięćdziesiąt? Taka cieniuchna!

— Dosyć i sto, mamy tego jeszcze na składzie. Czy masz jeszcze „Pańszczyzny“? Tej nam zabrakło.

— A co! mówię wam zawsze, że za mało wypisujecie. Mam jeszcze u siebie kilkadziesiąt — mówił nieco smutnym tonem — ale czy to wystarczy?

— Wypisaliśmy już ją na granicę Y-ka. Na razie wystarczy i kilkadziesiąt. Dawaj!

— Et, kiedy to przez Y-ka przejdzie! Wiem, zjedzą tam bibułę myszy, nim stamtąd wyciągniecie. Słuchaj, dodam do obstackunku jeszcze setkę lub dwie „Pańszczyzny“. Jak sądzisz?

Nareszcie skończyliśmy. Obejrzałem się po pokoju. Wszędzie było pełno książek, małych i dużych w różnokolorowych okładkach. Na środku stał kosz do połowy naładowany temiż książkami, walizki otwarte, lecz pełne bibuły, a nad tem wszystkiem schylony czło-

wiek z błogim uśmiechem na ustach. Drzwi do sąsiedniego pokoju były wpół-otwarte i tamta dolatywały ciche, lekkie kroki pani Z., która chodziła po pokoju, i chrapliwe mrużenie śpiącego gospodarza domu. Do tego ja sam, bezimienny towarzysz z Warszawy, gospodarzący w pokoju kilkunastoletniej panny, nieznanej mu wcale.

Dziwaczny ten obrazek z życia ludzi, których związał los i idea, zostanie w mej pamięci na zawsze.

Pożegnaliśmy panią Z. po uprzątnięciu z pokoju rozrzuconych książek. Nazajutrz rano mieliśmy przyjść do niej na śniadanie i zaraz po śniadaniu ruszać w drogę.

Znowu te przekłete schody, po których schodziliśmy tak samo ostrożnie, jak przed paru godzinami wchodziliśmy na nie. Wyszliśmy na uliczkę i skierowaliśmy się ku fabryce.

— Słuchaj — rzekłem — ciebie tu prawdopodobnie podejrzewają o romans z panią Z.? Bo jak ludzie sobie wytłómaczyć mogą te częste stosunki twoje z nią, a nie bez tego, żeby cię kto nie widział wkradającego się do niej wieczorami.

— Nie wiem — odpowiedział zażenowany — może. Ale cóż ja na to poradzę. U siebie przechowywać bibuły nie mogę. W razie złego wypadku ze mną, zostanie przynajmniej bibuła, już przeciągnięta na tę stronę. Nic na to nie poradzę — powtórzył. — Pocięszam siebie tem, że za rok najdalej to się skończy, mąż jej otrzyma już emeryturę, no

i naturalnie wyjadą stąd. Jak ja wówczas urządzę się ze składem, doprawdy nie wiem. Z pewnością nie będzie tak wygodnie.

— Wygodnie! Ależ niech cię pioruny biją, człowieku! Co ty nazywasz wygodnem? Czy nie to skrzypiące schody do pani Z.

— Schody, jak schody — odpowiedział z rezygnacją mój towarzysz — ale bezpieczeństwo bibuły zupełne i względna łatwość wywiezienia jej stąd. Ja nie mogę sobie pozwalać na częste wyjazdy — zwraca to uwagę, i mam zresztą służbę. Pani Z. łatwiej to uskutecznia. A oprócz tego pani Z. nie tchórzy i to moja największa wygrana. Wolę iść nocą na trzecie piętro po takich schodach do człowieka, który się nie boi, niż mieć do czynienia z bałwanem, opanowanym drżączką. Miałem tu takiego idyotę!

— Wyobraź sobie — mówił z wzrastającym oburzeniem — co ten bałwan mi urządził!? Trzymam się tej zasady, żeby u siebie bibuły nie mieć. Praca w fabryce i służba w P. P. S. zmusza mnie do częstego wychodzenia z mieszkania, nieraz muszę kogokolwiek z interesantów zostawić u siebie w pokoju. Nawet porządniejszych ksiązek legalnych u siebie nie trzymam, a coś dopiero bibułę! Nim więc nie urządziłem składu u pani Z., musiałem rozsyłać pakunki do różnych znajomych. A ten idyota — był to mój krewniaczek, sprowadziłem go nawet umyślnie na praktykanta do fabryki, no i do P. P. S. Wiedział o mojej robocie, okazywał współczucie. Dałem mu dwa czy trzy pa-

kunki do przechowania. Akurat nie było mnie w domu — wyjeżdżałem wówczas do Warszawy — przyjechał tu do miasteczka prokurator z żandarmem. Jak się potem okazało, przyjechali zrobić rewizję u chłopca okolicznego, który gdzieś po pijanemu wyłajał cara. A u mego krewniaczka odrazu wszystkie pchły pozdychały ze strachu. Miał u siebie bibułę, więc był przekonany, że to właśnie dla niego przyjechał żandarm. Opowiadała go taka idyotyczna drżączka, że pod wieczór wyniósł pakunki do lasu i zakopał, a ze strachu zapomniał potem, w którym miejscu. Teraz wciąż się boję, że ktokolwiek wypadkiem na bibułę zakopaną natrafi, dojdzie to do władzy i zwróci uwagę na nasz kąt.

— I wiesz — dodał ze złością — ta logika tchórzów! Pytam go, czemu lepiej nie spalił bibuły? Powiada, że był przekonany, iż przyjechali do niego, więc się bał palić, by dym z komina go nie zdradził. Idyota — bał się dymu, a nie bał się wieczorem włóczyć z pakunkami tam, gdzie go jako kontrabandzistę złapaćby mogli.

— Idyota! — powtórzył raz jeszcze X., widocznie nie mogący strawić zawodu, doznanego z powodu krewniaka.

— Myślałem, gdyś zaczynał — mówiłem mu — że będziesz mówił o N. N...

— Głupi jest, ale nie tchórz — żywo prze-rwał mi mój towarzysz. — Nie, nie tchórz.

— Ale powiedz mi, jak się dostałeś do serca tego śmierdzącego perfumą ananasa? Nie przez kobietę przecie?

— Przez kobietę? Nie! — śmiał się X. — ale to jest zacny chłop. Wy tam w stolicy przyzwyczajeni jesteście do ludzi mądrych. Jak wam który nie będzie za panią matką, Marksem, powtarzał pacierza o walce klas i materyalistycznym pojmowaniu dziejów, to już dla was jest do niczego. Ja tu przebierać nie mogę. N. N. o materyalizmie historycznym nie słyszał nigdy, a gdyby i usłyszał, to go nie zrozumie. Ale wie, że na świecie jest źle, że ludziom krzywda się dzieje. Sam się czuje również pokrzywdzony: raz jako Polak, dwa jako najemnik w fabryce. Ojciec jego zginął w powstaniu. A i te kobiety! Sądzisz, że którąkolwiek skrzywdził, uwiódł? Broń Boże! Zabawny człowiek! Tego jestem zupełnie pewny. Względem mnie ma pewne obowiązki. Mnie pan dyrektor trochę ceni i szanuje, a tego biedaka maltretuje; bronie więc go jak mogę.

Podchodziliśmy już do fabryki. Mój towarzysz był zmęczony i wyczerpany, lecz widocznie był stęskniony do pogawędki z człowiekiem bliskim mu idea, związanym z nim wspólnością pracy — nie chciał się ze mną rozstać.

— Może jesteś zmęczony? — pytał trochę niespokojnie — jeśli chcesz się wyspać, idź na górę, do N. N. Może nawet będzie to bezpieczniejsze. Co? Ja przeczytam jeszcze „Robotnika“, jeszcze nie zasnę!

— Nie — odparłem — wolę nocować u ciebie. Pogadamy jeszcze.

— Jak chcesz, jak chcesz — mówił ura-

dowany — przyznam ci się, że i ja wolę być z tobą. Ale pamiętaj — przestrzegał — jutro obudzę cię rano, przed przyjściem stróża, który sprząta u mnie. Wyprawię cię na górę do N. N. na herbatę. Lepiej będzie, gdy ciebie razem ze mną nie będą widzieć.

Prawie do świtu trwała cicha nasza rozmowa o sprawach partyjnych. Mój towarzysz interesował się każdym szczegółem pracy, wymuszał na mnie opowiadania, rozpytywał o każdą osobę, biorącą udział w ruchu i raz po raz powtarzał:

— Pamiętaj, gdy kto się tam u was skompromituje i będzie musiał uciekać za granicę, przysyłajcie go do mnie. Już ja go przeprawię szczęśliwie na tamtą stronę. Nazajutrz po przyjeździe do mnie będzie już w Krakowie. A może kto z was tam za nadto jest zmęczony, mogę urządzić tu wakacje. Mam tu znajomego szlagona. Dawno myślę, by u niego urządzić przytułek letni dla naszych. Odpoczną sobie chłopcy na trawce. Mówisz, że M. — wymienił mi nazwisko jednego z towarzyszków — jest zdenerwowany i przemęczony. Przysyłajcie go, odpocznie tutaj.

Wreszcie zmęczeni zasnęliśmy. Lecz już koło siódmej obudziło mnie wołanie X.

— Wstawaj prędzej, za chwilę przyjdzie stróż. Już cię pewno N. N. czeka z herbatą. Umyjesz się u niego. No, ruszaj się, śpiochu!

Po chwili byłem już u N. N. i wdychałem mdły zapach tanich perfum. N. N. był już na nogach i flegmatycznie przyrządzał herbatę.

— Mało pan spał! nie wyspany pan jest? panie dobrodziej — cedził zwolna. — Ja to wiem, ja to rozumiem. Wielkie rzeczy państwo robicie, wielkie, panie dobrodziej! Tyle książek, a każdą ktokolwiek przeczyta, z każdej coś będzie, panie dobrodziej. Ja to rozumiem.

Wydał mi się nawet sympatycznym ten pulchny blondynek, nie zdający sobie sprawy z materyalistycznego pojmowania dziejów, a narażający siebie i swą swobodę dla niejasnego, niewyraźnego: „Ja to rozumiem“. Uścisnąłem mu serdecznie rękę na powitanie po umyciu się i zacząłem odczuwać pewnego rodzaju przywiązanie, jakie miał X. dla swych „ofiar“-pomocników.

— Więc wszystko dobrze — prawil N. N. — słyszałem, jakeście państwo wracali z miasteczka wczoraj wieczorem. Pan X. stanowczo zanadto się naraża, panie dobrodziej. Niech pan zwróci jego uwagę. Pan jego przyjaciel i potrafi to zrobić. O nim już tu w okolicy gadają.

— Co gadają? — pytałem zaniepokojony.

— Za dużo się kręci, panie dobrodziej, za dużo! To sam wyjeżdża, to ktoś do niego — ot, jak pan — przyjedzie. O! i pan dyrektor wczoraj wieczorem mnie pytał: „Kto to ten pan, co do X. przyjechał?“.

— Cóż pan na to? przecie przyjechałem niby do pana.

— Toż to właśnie! I ja to dyrektorowi mówiłem. Kuzyn, panie dobrodziej, mówię, kuzyn z Częstochowy. Ale czy uwierzył i cze-

mu odrazu pana X. posadzał? Ciekawi tu u nas ludzie, panie dobrodzieju, ciekawi. Radzi by sąsiadowi do garnka zajrzeć, co je. A cóż dopiero nowy, nieznajomy człowiek. Zaraz: skąd? po co? do kogo? A pan X. gorączka, byle więcej, byle prędzej! Niech pan z nim pomówi. niech pan wpłynie. Zgubi siebie ten człowiek!

N. N. ani razu nie wspomniał o sobie i o niebezpieczeństwie, które mu grozić mogło z powodu stosunków z X. i jego przyjezdnymi towarzyszami. Widocznie nie bał się w istocie. Obiecałem mu solennie, że się z X. rozmówię.

— Jak skończymy herbatę, pójdziemy. Pan X. mi mówił rano, że bym pana odprowadził do miasteczka, żebyśmy razem koło okien pana dyrektora przeszli. Już mu opowiadałem, że pan dyrektor pytał o pana. U dyrektora dzisiaj rano wstają, brat wyjeżdża do Krakowa. Pan X. pewno tam jest.

Po herbacie wyszliśmy i według rozkazu X. przechodziliśmy koło okien dyrektora. Zatrzymaliśmy się nawet przy nich, żeby pan dyrektor zdążył obejrzeć nas, idących razem i rozmawiających jak dobrzy i dawni znajomi.

O dziewiątej stanąłem przed domem, gdzie mieszkała pani Z. Przekłète schody już mnie nie straszyły, szedłem po nich śmiało. nie zważając na to, czy deski skrzypią pod memi stopami. W przedpokoju spotkała mnie pani Z.

— Witamy pana. czekamy na pana ze śniadaniem, pan X. już jest. Proszę!

Wszedłem do następnego pokoju, gdzieśm poprzedniego dnia pili herbatę. Przy stole siedzieli: mój towarzysz, X. i pan Z., szczupły, wymizerowany mężczyzna z osowiałym, prawie nieprzytomnym wzrokiem.

— Mój mąż, pan S...ski — naprędce skomponowała mi nazwisko pani Z.

Podaliśmy sobie ręce. Pan Z. nie zapytał mnie o nic, nawet nie spojrzał. Oczy jego pożądliwie spoglądały na stół, zastawiony różnego rodzaju jadłem.

— Niech pan siada! — zapraszała pani Z. — Zaraz po śniadaniu jedziemy, by zdążyć na pociąg. Obiadu pewnie jeść nie będziemy. niech więc pan się posila.

W ogólnej rozmowie, którą prowadziliśmy przy stole, pan Z. nie brał udziału wcale. Od czasu do czasu, gdy usłyszał jaką nazwę miasta lub miasteczka, przerywał jedzenie, głupkowato oglądał obecnych, namyślał się widocznie nad czemś i nagle wypalał:

— Libawa — kurlandzkiej gubernii. Wiem, morze jest...

— Łódź — pietrkowskiej gubernii. Wiem... fabryki jest.

Była to zdaje się jedyna dziedzina, w której umysł pana Z. był czynnym. Spostrzegłem, że mu sprawiał przyjemność taki udział w gawędzie, starałem się więc w rozmowie używać możliwie wiele nazw miejscowości. Pani Z. spostrzegła to i obdarzyła mnie wdzięcznem spojrzeniem.

Nareszcie śniadanie zostało skończone, usłyszałem turkot powozu przed domem. Do pokoju wszedł woźnica, który zniósł, stękając, ciężki kosz i walizki na dół. Po chwili i my byliśmy gotowi. Pan Z. jak manekin dał się pokornie ubrać we wszystkie urzędowe godła i sprowadzić do powozu; nie pytał o nic, zdawał się nie zwracać uwagi na otoczenie. Siedliśmy do powozu, konie rącho unosiły nas w głąb kraju, oddalając od granicy.

Jechaliśmy w istocie, jak przepowiadał X., jak panowie. Zieloni i strażnicy przy spotkaniu powozu, widząc w nim pana Z., o którym powszechnie wiadano, że jest krewnym niedawnie ministra w Petersburgu, oddawali nam honory, nie domyślając się wcale, iż w powozie ukrytych jest mnóstwo rewolucyjnych wydawnictw. A mimowolny sprawca tych honorów, gwarantujący bezpieczeństwo naszej wyprawie, kiwał się bezmyślnie w powozie, wyrzucając niekiedy z siebie:

— Busk? Kieleckoj gubernii.. Tam wody jest...

— Czenstochow? Pietrokowskoj gubernii... Tam monastyr jest!

* *

Tak mniej więcej wyglądają partyjne biura transportowe. Widocznem jest dla każdego, że kierowanie takim biurem polega przede wszystkim na ciągłym wyzyskiwaniu każdej nadarzającej się okoliczności, na łączeniu różnych okazji w pewien system, na misternej

robocie kombinowania drobiazgów i szczegółów z życia całego otoczenia.

Tylko przy takich warunkach i przy uzdolnieniu do takiej właśnie roboty można produktywność granicy doprowadzić do wyższych rozmiarów i zabezpieczyć przetransportowaną już bibułę od wpadnięcia w ręce żandarmów i zielonych. Zapomniana na stole broszura, źle wybrana pora wyjazdu, niedostrzeżenie jakiegokolwiek zmiany w systemie strzeżenia granicy przez zielonych, nieprzyjęcie pod uwagę osobistych zalet lub wad ludzi, wchodzących w grę przy transportach — wszystkie te drobnostki stanowić mogą o powodzeniu roboty, wszystkie doprowadzić są w stanie do zwrócenia uwagi na człowieka lub rzeczy z nim związane, a każda z nich spowodować może wyspę granicy i aresztowanie jej kierownika.

Jeżeli do tego dodamy, że warunki życia osobistego są zazwyczaj wcale nieszczegółne, albowiem większa część granicy państwa, to wiejska lub małomiasteczkowa pustynia kulturalna, połączona z najgłupszemi plotkami, z niskim poziomem oświaty i życia towarzyskiego — zrozumiemy, jak trudnem jest stanowisko towarzyszków, którzy tej pracy się poświęcają. Wieczna czujność i zwracanie uwagi na najmniejsze drobiazgi jest ich obowiązkiem, ciągłe granie komedyi i udawanie jest ich cnotą, a nudy, brak towarzystwa i rozrywki jest najczęściej ich udziałem.

Nic dziwnego, że praca taka nuży ludzi śmiertelnie, wyczerpuje szybko ich siły ner-

wowe. Zdaniem mojem, na idealnego transporciarza trzeba się urodzić. Nie dosyć bowiem poznać dokładnie stosunki pograniczne wogóle i warunki lokalne w szczegółach, nie dosyć mieć wytrzymałe nerwy i zdolność do zachowania spokoju wobec nieraz pozornego, lecz zupełnie widocznego niebezpieczeństwa, trzeba jeszcze posiadać specjalne dane, specjalne odpowiedniki w duszy, by umieć zlewać się niejako z otoczeniem, lecz zlewać się świadomie, trzymając wiecznie rękę na pulsie, słabo, co prawda, tętniącego, ale na swój sposób złożonego życia na pograniczu. Rzecz prosta, o takich ludzi nie łatwo, nie łatwo tembardziej, że tacy szwarcownicy z urodzenia wychodzą najczęściej ze środowiska odpowiedniego, z pogranicza, a jak już nieraz wskazywa'em, pogranicze z wyjątkiem kilku punktów należy do miejscowości najbardziej głuchych i zatem najmniej przystępnych dla propagandy i organizacyi rewolucyjnej.

Ze wszystkich zadań, które ma na swej głowie transporciarz, najtrudniejszym do systematycznego zorganizowania jest wywiezienie bibuły, już przetransportowanej przez granicę, dalej — w głąb kraju. Gdyby chodziło jedynie o przeniesienie bibuły przez granicę i ukrycie jej na czas pewien w bezpiecznem względnie miejscu, to prawdopodobnie przyływ bibuły z krajów swobodnych do Polski byłby kilka razy większym, niż obecnie. Lecz bibułę nie po to się sprowadza, by leżała w składzie nadgranicznym. Trzeba

ją stamtąd wywieźć, by doszła ona do rąk jej konsumentów.

Nie będę tu wchodził w szczegóły co do przeszkód, jakie bibuła i ludzie ją przewożący mają do zwalczenia na tej drodze — będzie to treścią następnego rozdziału. Zatrzymać się jednak muszę na stosunku biur transportowych ze światem partyjnym, bo te właśnie stosunki ogromnie utrudniają ich robotę. Sam transporciarz lub jego pomocnicy są przywiązani do miejsca. Będąc zmuszeni zachowywać wszelkie pozory, nie mogą oni poruszać się swobodnie i ich rzadkie wyjazdy nie są w stanie zapewnić większej produkcyjności granicy partyjnej. Koniecznymi więc są przyjazdy postronnych ludzi dla zabrania nagromadzonej bibuły. Rzecz prosta, że zwraca to uwagę otoczenia i nasuwać może myśl o kontrabandzie, fachowo przez przejezdnych uprawianej. Naturalnie, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności, gdy łatwo upozorować częstsze zjawianie i znikanie obcych ludzi, granica może przetrwać długo. Najczęściej jednak tak nie bywa i granice zużywają się: zużywają się i przez wyczerpanie sił towarzyszków-transporciarzy i przez obawę nadużycia jej.

Stąd pochodzi wieczna pogoń za granicą, wieczne wyszukiwania nowych dziur w chińskim murze, opasującym imperyum cara; stąd konieczność użytkowania z granic źle urządzonych lub działających tylko sporadycznie; stąd wreszcie często odczuwany głód bibułasty — brak jej w tem lub owem miejscu,

w tym lub owym czasie. Granica, dobrze urządzona, dokładnie funkcyonująca, jest tym ideałem, do którego się wiecznie dąży i który ustawicznie z rąk się wymyka, a staranie się o nią i jej urządzenie stanowi jedną z najpoważniejszych trosk partyjnych.



Trzecia linia graniczna.

Trzecia linia graniczna jest jedną z oryginalnych, najzupełniej swoistych instytucyj rosyjskich — instytucyj, wprawiających każdego Europejczyka w poniżające dla Rosyi zdumienie; zdumienie jak dla pomysłowości i bezwzględności rządu rosyjskiego, tak zarówno dla uległości ludzi, pozwalających czynić nad sobą najdziwaczniejsze w świecie eksperymenty. Opisywałem w poprzednim rozdziale urządzenie i działalność straży pogranicznej na pierwszych dwóch liniach. Druga linia, linia kordonów, odgranicza neutralny, że tak nazwę, pas ziemi, stanowiący właściwe pogranicze. Już nawet ta druga linia, przesiewająca raz jeszcze to, co przeszła linia pierwsza, stanowi pewną anomalię i świadczy o nieufności rządu względem ludności pogranicznej, tak zarówno i o sprawności tej pierwszej linii. Lecz w każdym razie ta druga linia ma jakieś logiczne i zrozumiałe usprawiedliwienie.

W istocie mieszkańcy pogranicza są pod niektórymi względami uprzywilejowani w porównaniu do reszty ludności państwa. Stosunki z zagranicą mają ułatwione w ogromnym stopniu. Mieszkańcy pogranicza mają prawo na tak zwane pół-paski lub przepustki.

Wydawane są one na osiem dni, a nawet na szereg tygodni bezpłatnie. Służą one jako le-

gitymacya, nie na wielką, co prawda, przestrzeń, bo zaledwie na trzy mile w głąb obcego państwa. Lecz, że najczęściej ani austriacy ani prusacy nie obciążają siebie zbyt dużą dla nich kontrolą pod tym względem, można uważać pół-paski, jako istotne paszporty zagraniczne. Oprócz tego, pół-paski mają tę zaletę, że szczęśliwy posiadacz takiego dokumentu może przechodzić granicę tam i z powrotem niezliczoną ilość razy w ciągu trwania przepustki bez zmiany jej za każdym przejściem granicy.

Przeciwnie, paszporty zagraniczne dalszych okolic żadnych z wyliczonych zalet nie mają. Są drogie i służyć mogą tylko na jednorazowy przejazd granicy tam i z powrotem. Mając takie przywileje, mieszkańcy pogranicza są związani z zagranicą znacznie ściślej, znacznie więcej mają z nią stosunków, niż ludzie odsunięci geograficznie od niej. Więc wobec tego zrozumieć jeszcze można, że rząd strzegąc tak pilnie swej granicy, mógł oddać pod specjalny niejako dozór tę właśnie uprzywilejowaną część swych poddanych, mógł skreślać takim lub innym ograniczeniem ich wolności, w zamian za przywileje im nadane. Dla trzeciej linii żadnego usprawiedliwienia znaleźć nie można.

Na czem jednak polega ona i w jaki sposób spełnia swą rolę stróżów państwa od inwazyj niepożądanych dla tych czy innych powodów produktów zagranicy?

Na trzeciej linii służbę carską pełnią, tak samo jak na drugiej, wojskowi i cywilni zie-

loni. Specyjalną ich funkcją jest śledzenie ruchu publiczności i towarów po drogach, kolejach i szosach w pasie ziemi, oddanym im pod dozór. Ten pas ziemi sięga głęboko wewnątrz państwa i u nas obejmuje całe prawie Królestwo Polskie i ogromną część Litwy. Wszystkie bez wyjątku stacje i przystanki kolejowe, wszystkie stacje poczty konnej na szosach w tym pasie są udekorowane zielonymi wojakami i cywilami.

Obowiązki ich są dosyć liczne i skomplikowane. Przyjeżdżający na stację są przez nich bacznie obserwowani; muszą oni intuicyjnie odgadnąć, czy w bagażu takiego pasażera nie ma czasem czegoś zakazanego, jakiejś kontrabandy. Naturalnie, na stacjach bliższych do granicy państwowej baczność ta jest zdwojona. Więcej nawet, bo posterunki te stanowią w tych punktach zazwyczaj nowy kordon, przetrzasający bez ceremonii bagaże tychże pasażerów bez względu na to, czy jadą od samej granicy, czy też z najbliższych do tej stacji lub przystanku okolic. Im dalej jest stacja od granicy, tem dozór ten jest słabszy, tem więcej się robi wyjątków wśród przejezdnych. Chociaż nawet o sto i więcej kilometrów od granicy, nigdy nie można być pewnym, czy „zielonemu“ twarz lub pakunek pasażera nie wyda się podejrzanym i czy nie poprosi on lub brutalnie nie każe otworzyć pakunku dla rewizyi.

I nie trzeba sądzić, że tylko linie kolejowe, biegnące wprost od granicy, są poddane takiemu dozorowi. Oto na przykład, linia nad-

wiślańska, łącząca Wołyń i Ukrainę z Warszawą, nigdzie w swym biegu nie dotyka granicy, a jednak cała oddana jest pod opiekę zielonych. Oto linia, łącząca Warszawę z Wilnem, która najbliżej podchodzi do granicy pod Białymstokiem, gdzie granica jest oddalona 90 kilka kilometrów, cała jest udekorowana w zielony, celny kolor. Linie, idące wprost od granicy, są tylko pilniej strzeżone, lepiej obsadzone.

Drugim obowiązkiem zielonych jest włóczenie się po wagonach pociągów w biegu i wybieranie ofiary dla przejrzenia u niej rzeczy. Zresztą, należy być sprawiedliwym: ten proceder praktykowanym jest jedynie w najbliższych granicy okolicach i w pociągach, idących wyraźnie od granicy. Taki zielony żołdak wchodzi do wagonu trzeciej klasy, rzuca okiem na każdego pasażera, na rzeczy ustawione na półkach, zagląda pod ławki, szpera po kątach i od czasu do czasu pyta:

— Czyje to rzeczy?

— Moje — odzywa się ktoś z pasażerów.

— Proszę otworzyć! — brzmi dalszy rozkaz i brutalna łapa żołdaka przerzuca po chwili zapakowane w walizce lub koszyku rzeczy.

W wagonach drugiej i pierwszej klasy robi to nieraz oficer straży pogranicznej, albo wezwany przez zielonego żołnierza żandarm kolejowy.

Lecz najbardziej rażącym, najbardziej brutalnym jest ten dozór na stacjach kolejowych.

wych w większych miastach — Częstochowie, Piotrkowie, Warszawie, Białymstoku, Grodnie, Wilnie i Kownie. Tutaj oprócz zwyczajnych stupajek, zielonych żołnierzy, stoją i dozoruja specyjalni dozorczy celni. Tutaj przy ogromnym ruchu pasażerskim niepodobna rewidować wszystkich, niepodobna robić wyjątków, zrozumiałych dla otoczenia całego. I te nagłe napaści na wybraną z mnóstwa przechodzących ofiarę, to szybkie przerzucanie wobec całej publiczności rzeczy podróznego, to czyhanie z kątów i skośne spojrzenia, rzucane na pakunki i podróжных, sprawiają dziwnie dzikie wrażenie, rumieńcem wstydu oblewają twarze rewidowanych, wywołują zdziwienie u wszystkich nieprzygotowanych do tej napaści.

I wszystko to się robi na chybił trafił, bez żadnego pytania, czy kto jedzie od granicy, czy też z okolic, o setki mil nieraz od granic państwowych położonych. Wszystko to się dzieje o kilkanaście mil od granicy, gdzie olbrzymia większość ludzi, stosunków i interesów nic wspólnego z granicą nie ma. Więcej nawet, wszystko to się dzieje nie na podstawie jakiegoś ogólnie znanego prawa, lecz na mocy zwyczajnego rozkazu gabinetowego ministra. I jeszcze bardziej, bo wbrew prawu, które o takich rewizjach mówi, że muszą one być usprawiedliwione jakimś rzeczowem podejrzeniem co do wyraźnej osoby.

Tymczasem tutaj to podejrzenie powstaje w danej chwili w głowie głupiego żołdaka, podejrzenie względem osoby, o której on nic

nie wie, nigdy przedtem jej nie widział i o niej nie słyszał.

W tych warunkach można sobie wyobrazić podróż jakiegoś „pechowca“ z Zagłębia Dąbrowskiego do Warszawy w sposób następujący.

Wyjeżdża on z Dąbrowy, miasteczka o ośm kilometrów od granicy. Przychodzi na stację i już wiedząc zawczasu, że tu jest kordon celny, tak, jak gdyby przekraczał on granicę państwa, otwiera walizę, w której mu dobrotliwie, lecz pospiesznie, rozrzuca rzeczy ręka zielonego żołdaka. No, nareszcie pociąg jest. formalność celna odbyta, jazda!

Pociąg ruszył, nasz „pechowiec“ zadrzemał błogo, lecz ma pecha, twarz jego nie spodobała się kontrolującemu pociąg zielonemu.

— Czji wieszczy? — rozlega się brutalny okrzyk nad jego uchem.

— Gdzie? co? — zrywa się biedny pasażer. — Aha, moje, przecie nie ukradłem, a co?

— Otwaricie! — rozkazuje lakonicznie zielony.

Niema rady. Postawa i mina zielonego nie wróży nic dobrego, lecz pasażer nic w rzeczach nie ma, więc myśli — et, co tam szkodzi otworzyć, trochę fatygi, a lepiej z temi draniami nie zadzierać, jeszcze do kozy wpakują.

Znowu rzeczy, ledwie ułożone po dąbrowskiej rewizyi, są rozrzucone w walizce.

Lecz nasz pasażer ma po drodze zatrzy-

mać się dla interesów w Częstochowie i Piotrkowie.

— Częstochowa! dziesięć minut. bufet! — krzyczy konduktor pod oknem.

Nasz pasażer wysiada. Czasu ma mało, bo wieczór się zbliża, biegnie z walizką w rękę.

— Ej, gaspadin. stojcie, wieszczy! — słyszy krzyk za sobą.

Lecz rzeczy ma w rękę, więc nie sądzi, by się to jego tyczyło. Idzie szybko dalej. Podejrzenie zielonego naturalnie wzrasta. Już przy wyjściu z dworca łapie on brutalnie pasażera za ramię.

— Stoj! czort! — łaje — otwaritje! Nieboś, kontrabanda jest — mówi zielony, robiąc złośliwą minę.

Pasażer próbuje się bronić, ale groźna i stanowcza mina zielonego odbiera mu odwagę. Walizka otwarta, rzeczy przerzucone raz jeszcze.

Wyjeżdża z Częstochowy. Inny zielony stoi mu na drodze.

— Halt! znowu „wieszczy“.

To samo akurat spotyka go w Piotrkowie przy wjeździe i wyjeździe.

Nareszcie — Warszawa. Lecz i tu z kąta wysuwa się figura i bardzo grzecznie, jak na stolicę przystało, prosi zrozpaczonego „pechowca“ o łaskawe pozwolenie na zajrzenie z obowiązku służby do rzeczy.

Piękna podróż! nieprawdaż? Piękna i zupełnie możliwa do sprawdzenia i wypróbowania na własnej skórze.

To przeglądanie i rozrzucanie rzeczy wy-

jeżdżających i przyjeżdżających podróźnych nie daje się porównywać z mytem, pobieraniem w wielu miastach — pomiędzy innymi i w Galicyi. Tutaj celnicy miejscy pobierają opłatę od produktów spożywczych, które zresztą każdy ma prawo przywieźć z sobą. Określonym jest i produkt obłożony mytem i rozmiar opłaty. Każdy o tem wie, bo prawo jest wyraźne, więc pomimo uciążliwości takich celnych granic wewnątrz państwa, niema w nich nic przypadkowego, nic samowolnego i nic hańbiącego. Zieloni rosyjscy o setkę i więcej kilometrów od granicy podejrzewają człowieka o zbrodnię kontrabandy i na podstawie podejrzenia o postępek, karany więzieniem, napastują mnóstwo ludzi, nie mogących mieć nic wspólnego z kontrabandą, chociażby dlatego, że są oddzieleni od granicy państwowej ogromną przestrzenią. Jest to to samo, gdyby naprzykład w Galicyi, w Nowym Sączu, Jasle, Lwowie, Stryju i Stanisławowie, nie mówiąc już o pogranicznym Krakowie, zaczęto przetrząsać na chybił trafił przez dziesiątego rzeczy podróźnym w celu wynalezienia pruskiego cygara lub herbaty rosyjskiej, z groźbą osadzenia w więzieniu tego, u kogo ten zagraniczny produkt się znajdzie.

I czy sądzicie może, szanowni czytelnicy, że tak delikatny interes jest poruczony specjalistom wykwalifikowanym? Nie! w ogromnej większości takim psychologiem, mającym z pomiędzy setek ludzi, wysiadających z wagonu, wyczuć tych dwóch lub jednego,

który przybywa z nadgranicznej miejscowości — jest najzwyczajniejszy chłop rosyjski, żołnierz, przywieziony z głębi Rosyi, który w życiu swoim nigdy nie widział pruskiego cygara, lub sukna, czy płótna, który najczęściej czytać w swoim ojczystym języku nie umie, a którego tembardziej posądzać nie można o trafność obserwacyi tłumy, złożonego z zupełnie nieznanomych i obcych mu ludzi.

Rozmawiałem razu pewnego z takim żołnierzem. Jechałem z Wilna do Warszawy i wypadkowo naprzeciw mnie usiadł młody żołnierz. Jego szeroka, z wydatnemi kośćciami policzkowemi twarz, jego małe, nieco skośne oczy, jego niekulturalne, z grubą wyciosane rysy twarzy zdradzały wyraźnie jego pochodzenie. Był to chłop, wyrwany nie więcej, jak rok temu, z dalekiej, głębokiej Rosyi, z okolic, gdzie sąsiedztwo Baszkirów, Kałmuków lub innych mało kulturalnych ludów wycisnęło swe piętno nie tylko na twarzy mego towarzysza podróży, lecz i na zdolnościach do zrozumienia złożonego, pstrego pod względem narodowościowym środowiska, w którym się znalazł. Żołnierz nucił pod nosem jakąś wielkorosyjską piosnkę.

Zagadnąłem go pytaniem, skąd pochodzi, z jakiej gubernii.

— Ufimskoj, barin — odpowiedział ze szczerem, szerokim uśmiechem.

Zacząłem go szczegółowo rozpytywać o rodzinę jego, stan materyalny, urodzaje i tem podobne rzeczy. Żołnierz coraz bardziej się

rozczułał wspomnieniami o dalekiej, zaural-
skiej wiosce. Wreszcie zapytałem go o służbę.
Okazało się, że mój zielony wojak skończył
swe godziny służbowe na stacyi wileńskiej
i jedzie na odpoczynek zasłużony do koszar,
zbudowanych przy następnej stacyi.

— Cóż ty robisz na stacyi wileńskiej —
pytałem. Pilnujesz czego, czy pracujesz tam?

— Jaka tam praca! — odparł pogadliwie
żołnierz — stoję jak głupi, nuda śmiertelna,
oczy wybałuszysz na tłum, że spać się chce.

— A pocóż ciebie tam stawia? przecie nie
po to, byś na ludzi patrzył.

Żołnierz śmiał się i robił do mnie filuterne
oczy.

— Nie, nie patrzeć! Kontrabandę łowim,
ot co. Kontrabandę, panie. — My — straż
pograniczna.

— Jaką kontrabandę? Skąd się ona tu
weźmie, kiedy granica daleko.

— Widocznie jest — odparł z filozoficznym
spokojem żołnierz — jest, kiedy nas naczal-
stwo stawi, żeby ją łapać.

— Jakżeż ty, chłopcze, poznasz, kto tę
kontrabandę wiezie, czy wam może dają znać
o tem, że kontrabanda idzie.

— Nie, my nic nie wiemy! Ot, stoisz, stoisz
i z nudów do kogokolwiek przystąpisz — po-
każ pan rzeczy. Do pana jakiego, naturalnie,
wstyd i podejść, ale do żyda, czy tam na-
szego brata, chłopca, to czemu nie. Ale na-
czalstwu tego mało. Oj! źle bywa, gdy nasz
komendant na stacyę przyjdzie. Stanie sobie
w kącie, a oczami tak świdruje, ciągle mruga

do nas, by do kogo się zbliżyć, a zawsze czort wybierze jakiego pana, do którego nam, chłopom, straszno i zagadać. Po co to, nie wiem. Pewnie potrzeba, kiedy naczałstwo tak każe — uspakajał się po chwilowym gniewie na narażającego go widocznie na przykrość komendanta.

— A czy ty wiesz, co to jest kontra-banda? — pytałem.

— Co z zagranicy bez prawa wiozą, wiem — odpowiedział z dumą żołnierz.

— A jak ty odróżniasz rzeczy zagraniczne od krajowych? — pytałem dalej.

— No! Jak bez plomby co jest, albo napis nie rosyjski, albo dużo książek — płatał zakłopotany żołnierz, najwidoczniej w świecie nie zdający sobie sprawy z tak mądrych rzeczy.

— A czytać przynajmniej umiesz? — pytałem rozśmieszony naiwnością syna pól i stepów zauralskich.

— Nie bardzo! Uczą nas, ale to trudna sprawa. U nas we wsi w naszej gubernii szkół mało. Od naszej wsi szkoła o dziesięć wiorst (wiorsta trochę więcej, niż kilometr).

— Więc jakże? — pytałem. — Otworzą ci walizkę, spojrzysz i co?

— Jak co nowego i bez plomby, albo butelka bez napisu, książki, tak ja do naczałstwa. Książki — tak żandarm, na to on uczo-ny! Inne rzeczy — tak nasze naczałstwo. To już ich sprawa. Mnie co! kazano, ja patrzę — mówił, spostrzegając mój uśmiech.

— I złapałeś co kiedykolwiek? — pytałem niezrażony.

— Nie! rok już minął, jak służyć. nic mi się nie trafiło. Ot tak, to się zarobić zdarza.

— Jakto, tak?

— A ot i dzisiaj. Stoję i patrzę — po po-
ciagu zagranicznym, żyd wlecze jakiś worek.
Ciężki, bo aż się pochylił na bok. No, ja do
niego: co tam masz, rozwiąż! Rozwiązuje.
Szukam, jakaś butelka. Co to jest? — pytam.
On ni to, ni sio. Ocet — mówi. Ja na niego.
Ocet! ot naczałstwo zobaczy, jaki to ocet!
Dał dwadzieścia kopiejek, puściłem go, blisko
nikogo z naczałstwa nie było.

— Może i ocet był — dodał po chwili namysłu — kto go wie. Napisu nie było.

Oto, z jakich ludzi składa się przeważnie
instytucya rządowa, z iście moskiewską bez-
względnością gospodarująca na naszych ko-
lejach i drogach.

Dozorcy celni, o których mówiłem. stojący
na dworcach kolejowych w znaczniejszych
miastach Polski i Litwy, są naturalnie nieco
bardziej wykształceni i nie tak naiwni, jak
mój zielony towarzysz podróży. Przeważnie
są oni dobrani z szeregów tejże straży po-
granicznej, z liczby podoficerów wysłużonych
i bardziej sprytnych. Ci bez wątpienia są
bardziej niebezpieczni i zarazem bardziej wy-
kwalifikowani jako detektywi kontrabandy.
Chociaż i oni z istoty swej dzikiej służby
kierować się muszą nie jakimś rzeczowem
podejrzeniem, lecz zewnętrznemi, zawsze zwo-
dniczemi cechami twarzy, ruchów i pakun-

ków u przejezdnych. To też rzecz można z zupełną pewnością, że na sto, a może i więcej zaczepiek z ich strony zaledwie jedna okaże się skuteczną — taka lub inna kontrabanda będzie złapana. Ja przynajmniej z obserwacji własnej i innych tak wnoszę. Widziałem mnóstwo wypadków i przechodziłem sam parę razy przez łapy szanownych dozorców, lecz nigdy nie spostrzegłem, by ta brutalna i niczem, oprócz dzikiej samowoli, nie usprawiedliwiona napaść doprowadziła do przyłapania czegoś zakazanego. Słyszałem jednak o wypadkach, gdy w ten sposób właśnie łapano i kontrabandę zwyczajną i bibułę.

Z powodu tej trzeciej linii miałem niegdyś rozmowę z niemieckim kupcem, rozmowę, która mi utkwiała w pamięci.

Jechałem ze Żmudzi przez Kowno do Wilna. W Kownie wsiadłem do nocnego pociągu pospiesznego, nie mającego trzeciej klasy, a więc pociągu możnych i bogatych. Pasażerów było niewielu, los jako sąsiada dał mi niemieckiego kupca z Królewca, który po raz pierwszy przekroczył granicę posiadłości wschodniego despoty-cara. Ćmiąc ustawicznie cygaro, opowiadał mi o grzeczności komorowych urzędników rosyjskich, którzy przed paru godzinami przeglądali mu rzeczy na pogranicznej stacyi — Wierzbołowo. Rozpytywał mnie o Wilno, do któregośmy się zbliżali i do którego po drodze do Rygi miał wstąpić.

Nareszcie stanęliśmy w Wilnie coś koło 5 godziny rano, gdy zaledwie poczynąło szarzeć na niebie. Oprócz nas — mnie i kupca

z Królewca — wyszło z pociągu jeszcze dwóch pasażerów, za którymi, jak i za nami tragarze nieśli nasze ręczne bagaże. Mego Niemca nie opuszczały wesołość i zachwyt nad porządkami w państwie cara. Przypuszczam, że wyjeżdżał do Rosyi ze zwykłym u Europejczyków przekonaniem o barbarzyństwach moskiewskich. Był nieco w strachu, gdy się zetknął z tą carską Rosyą i nie mógł dotąd przetrwać przyjemnej niespodzianki, jaką mu przez swą grzeczność sprawili urzędnicy w Wierzbołowie. Nastąpiła jednak inna niespodzianka, mniej przyjemna, co prawda, lecz bardziej zgodna z istotą rządów carskich.

Zaledwieśmy, gawędząc, otworzyli drzwi stacyjne i weszli do korytarza, prowadzącego do restauracyi kolejowej, gdy zagroziła nam drogę banda zielonych. Było ich sześciu tęgich drabów — dozorców celnych. Rozdrażnieni widocznie nocnem czuwaniem i chłodem porannym, rzucili się jak głodne wilki na nasze rzeczy.

— Otworit! Otworit! — brzmiały pospiesznie rzucane rozkazy, a jeden z dozorców brutalnie schwycił niewielki neceserek podróżny, który był w ręku mego Niemca.

Napaść była tak gwałtowna, ruchy dozorców tak drapieżne, a oczy tak wymowne, że mój Niemiec wypuścił z ust cygaro i bezradny, oślepiały kręcił się na miejscu.

— Was ist das? Was wünschen Sie? — pytał raz po raz, zwracając się to do mnie, to do zielonych.

Tłumaczyłem nieszczęsnemu kupcykowi,

że ci panowie poszukują u niego szwarcowanych rzeczy, a jeden z dozorców, widocznie nieco umiejący po niemiecku, potakiwał mi.

— Ja, ja! kontrabandu iszczem — powtarzał na pół po niemiecku, na pół po rosyjsku.

Przetrząsnęto rzeczy wszystkich przyjezdnych, nic nie znaleziono i nareszcie wyszliśmy z rąk oprawców.

Mój Niemiec po tej operacyi był zgębiony i przybity. Pił zamyślony piwo w restauracyi i widocznie nie mógł spokojnie myśleć o tem, że jego, poważnego kupca z Królewca, można było posądzać o tak zdrożne rzeczy, jak szwarcowanie towarów.

Zniżonym głosem — bo stracił swą pewność siebie — zaczął się tłumaczyć przedemną, pytając o wyjaśnienia. Przecie przyjechał z za granicy, rzeczy oglądano mu na komorze, dano mu nawet jakiś znaczek, czemu więc go tu napastują? Może była jaka kradzież znaczna w pociągu — ale i w tym wypadku bez poważnych podejrzeń nie można przecie narażać człowieka spokojnego na przykrość i rewidować go, jak złodzieja.

Wyjaśniłem mu raz jeszcze cel rewizyi i powiedziałem, że tak się u nas zawsze dzieje, że nie jest to ani specjalnie dla nas zrobiona niespodzianka, ani nawet specjalne względem nas podejrzenie.

Niemiec nie przestawał się dziwić, milczał, widocznie żuł myśl jakąś. Wreszcie z pewnym tryumfem uderzył mnie po kolanie.

— Tak! U nasby tego ludzie nie ścierpieli! Nie, u nas to byłoby niepodobieństwem.

Czułem, że się rumienię ze wstydu. Niemiec miał rację — jedynie niewola, jedynie codzienne przyzwyczajanie do znoszenia wszelkich kaprysów władzy może utrzymywać przy życiu takie wybryki i pomysły carskich urzędników, jak trzecia linia pograniczna.

Przypatrywałem się potem nieraz działalności trzeciej linii pogranicznej w różnych miejscach i na różnych pograniczach państwa cara. Nie istnieje ona wcale koło Petersburga, istnieje, ale działa bardzo słabo, jakby od niechcienia, na morskiej granicy, gdzie mieszkają Niemcy i Łotysze, również nieznaczną jest jej działalność na pograniczu podolskiem i wołyńskiem, gdzie rząd i Rosyanie czują się prawie zupełnie u siebie, w domu. Lecz w Polsce i na Litwie trzecia linia szaleje. Tu w tym domu niewoli *par excellence* nigdy rząd i jego poszczególny agent nie liczy się ani z wygodą, ani z potrzebą mieszkańców. Żle to zarazem świadczy o odporności naszego społeczeństwa.

Jestem przekonany, że gdyby każde wkroczenie zielonego, wkroczenie, które, jak mówiłem, jest bezprawne nawet wobec praw rosyjskich, spotykało się z protestem, nawet zupełnie legalnym, z żądaniem protokołu oględzin rzeczy, ze skargą sądową w razie niezalezienia w rzeczach poszukiwanej kontrabandy — gdyby, jednym słowem, nasza publiczność była nieco odważniejsza, nieco więcej dbała o swą godność, trzecia linia pogra-

niczna istniećby długo nie mogła. Lecz tak nie jest. Każdy zaczepiony spieszy otworzyć swe bagaże, boi się narazić na gniew najmarniejszego stupajki. Nie należy więc się dziwić, że wobec tego to barbarzyństwo istnieje.

Rzecz prosta, że trzecia linia pograniczna działa w kierunku najmniejszego oporu. Oszczędza dobrze ubraną publiczność, zaczepia średniaków, napastuje chłopów i biednych, a rzuca się jak głodne zwierzę na żydów. Ci są główną jej ofiarą, głównym obiektem prześladowań.

Towarzysze nasi, chcąc się zorientować w sytuacji, badali nieraz kwestyę: jakie właściwie cechy człowieka lub pakunku ściągają na się uwagę dozorców. Naturalnie więc przedewszystkiem wynikające z powyższego. Lecz poza tem trudno coś określonego powiedzieć. Zdaje się jednak, że ciężkie pakunki i rzeczy, zawinięte w papier, szczególnie irytują zielonych. Lecz poza tem zwracają oni uwagę na wyraz twarzy, na poruszenia człowieka, gdyż te ostatnie mogą zdradzić przenoszących taką lub inną kontrabandę na sobie pod odzieniem. Wogóle zaś napaściami zielonych rządzi taka przypadkowość, że niepodobna je przewidzieć i jedynem bodaj ogólnem prawem, mało zresztą mówiącem, jest: chcąc uniknąć zaczepki zielonych, trzeba się starać o możliwe niewyróżnianie się z otoczenia.

Zatrzymałem się tak długo na opisie trzeciej linii, bo stanowi ona przeszkodę dla bi-

buły, nie tylko dla przychodzącej z nad granicy, lecz i dla wędrującej z miejsca na miejsce, dla cyrkulacji jej w kraju. Bo wobec tego, że dozór zielonych obejmuje kraj cały, cały prawie teren działalności polskich rewolucjonistów, bibuła wszędzie, bez względu na to, czy idzie z granicy, czy też nawet odwrotnie, spotkać się może z napaścią i zaczepką zielonych. Dosyć sobie przedstawić, że na każdej stacyi kolejowej w Polsce i Litwie każdy pakunek może być obejrzanym przez dozorcę celnego, a zrozumiałem się stanie, jakie stałe niebezpieczeństwo wisi nad głową towarzyszków, rozwożących bibułę, jak w każdym miejscu można się wsypać, t. j. być aresztowanym. A zważywszy wszystko, com powiedział wyżej o działalności trzeciej linii, łatwo pojąć, że często prosty wypadek, zupełnie niemożliwa do przewidzenia okoliczność ściągnąć może uwagę i napaść zielonego.

Widzimy więc, że bibuła po przejściu przez pierwsze dwie sieci pograniczne nie jest jeszcze bezpieczną. Musi się prześlizgnąć przez третią. Zwykle nie używa się żadnych nadzwyczajnych środków dla uniknięcia niebezpieczeństwa. Bibułę pakuje się do walizki lub kosza, naturalnie tak, by pakunek nie był zbyt ciężkim, a przy spotkaniach z zielonymi przechodzi się koło nich spokojnym krokiem, z podniesioną głową. Najczęściej to wystarcza. Zdarzały się jednak wypadki przeciwnie.

Jeden ze znajomych towarzyszków opowiadał mi, jak go zatrzymano w N. N. na dwor-

cu kolejowym, gdy przywiózł tam dwie ciężkie walizy bibuły.

— Wsiadałem już do dorożki — mówił mi — gdy nagle podszedł do mnie dozorca celny i grzecznie poprosił mię o otworzenie walizek, musi bowiem obejrzeć moje rzeczy. Zapytałem go, z jakiej racji to robi. Mówiłem dość grzecznie, lecz nieco wyniosłym tonem i po rosyjsku. Zielony, który był w cywilnem ubraniu, oświadczył mi, że jest dozorcą celnym i ma podejrzenie, że w mych walizkach ukryta jest kontrabanda.

Oburzyłem się na to ogromnie i krzyknąłem nań z góry, że to jest obraza, że nie ma on prawa mnie napastować, że oskarżę go przed jego władzą.

Zielony nie odczepiał się i coraz natarczywiej domagał się otworzenia walizek. Spostrzegłem, że żandarm kolejowy, który usłyszał widocznie hałas, zbliżał się do nas.

— Jestem urzędnikiem — zawołałem na zielonego — i ty, durniu, nie masz prawa mnie rewidować. Siadaj zaraz ze mną i jedź do urzędu celnego.

Dozorca posłusznie siadł obok mnie i ruszyliśmy w kierunku komory.

W drodze zacząłem straszyć dozorcę, że tej sprawy nie puszcę płazem. Przy rewizji nic się u mnie nie okaże i będę go skarżył. Wypadkowo przypomniałem sobie jedno nazwisko wyższego urzędnika celnego w Warszawie i wskazałem dozorczy na niego, jako swego znajomego. Dozorca, usłyszawszy z ust

moich nazwisko swego naczelnika. struchlał i zaczął mnie przeproszać.

Udawałem jednak zagniewanego i dalej wymagałem, by jechał ze mną do komory. Dozorca coraz bardziej tracił rezon, coraz bardziej zdradzał chęć wycofania się z interesu. Przeproszał mnie coraz goręcej i skarżył się na ciężki obowiązek zaczepiania publiczności.

Wreszcie zapytałem go, czy jest żonaty. Okazało się, że ma żonę i dzieci. Ma się rozumieć, że skorzystałem z tej szczęśliwej okoliczności, by okazać wystraszonemu dozorcę swą wspaniałomyślność.

— No — rzekłem — niech tak będzie, nie chcę gubić twej rodziny. Ruszaj sobie!

Dozorca nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zatrzymał dorożkę, wyskoczył z niej i pożegnał mnie wojskowym ukłonem.

Odetchnąłem lżej. Widocznie dorożkarz moje westchnienie usłyszał. Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Ależ udało się panu — rzekł do mnie — przeląkł się głupi!

Innym razem, jak mi opowiadano, wpadł w ręce zielonego opryszka żyd, robotnik, którego nieopatrznie, wobec specjalnych względów zielonych dla żydów, wysłano z bibułą do sąsiedniego miasta. Nasz towarzysz bibułę zapakował do starej walizki bez zamku i obwiązał ją sznurami w bardzo gruntownie zaplątany sposób. To właśnie zbawiło go.

Przy wyjściu z wagonu na dworcu miejskim zatrzymał go zielony i kazał otworzyć

walizkę. Towarzysz powoli zaczął rozplątywać węzły i węzélki na sznurach. Zielony — widocznie był to zwyczajny stupajka, typu opisanego przezemnie wyżej — znudzony tem długiem rozwiązywaniem, obejrzał naszego towarzysza i widocznie z ubrania osądził, że nawet dwudziestu kopiejek zeń nie wydusi.

— Nu, czort z tobój — zawołał — idi, żydok! Stupaj!

Niekiedy jednak oczka sieci pogranicznych z powodów rozmaitych zaciskają się gwałtownie. Zieloni stają się nerwowi, baczność się zwiększa. Wówczas uciekać się trzeba do najuciąźliwszego i najbardziej kosztownego sposobu — do przewożenia bibuły na ludziach. Są najrozmaitsze sposoby opakowywania człowieka i technika transportowa wynalazła wiele środków do zwiększania zdolności transportowej żywej tary dla bibuły. Najidealniejszą pod tym względem jest silna, dobrze zbudowana kobieta. Wyzyskawszy wszystkie skrytki damskiej garderoby, obłożywszy siebie najstaranniej bibułą, kobieta, gdy ma do tego odpowiednią siłę fizyczną, może unieść na sobie, bez zwracania na się uwagi, trudną do uwierzenia ilość bibuły. Opowiadano mi pod tym względem o fakcie następującym.

Partya musiała likwidować jedną ze swych granic, była bowiem obawa, że nastąpić może wyspa z powodu napreżonych w tem miejscu stosunków granicznych, oraz wypadkowego podejrzenia, jakiemu uległ w oczach zielonych towarzysz, prowadzący granicę.

Niebezpieczeństwo wydało się tak groźnem,

że z likwidacją spieszono. A na składzie nad granicą leżało moc bibuły, której główną częścią było kilka setek książki Bebla „Kobieta“. Książka to gruba, ważąca prawie funt i jako taka należy do najtrudniejszych dla techniki transportowej. Wobec wzmocnionego dozoru nie można było wywieźć bibuły wozkami, zwyczajną drogą. A że granicę likwidowano i już nie bardzo się liczone z wymaganiem konspiracji granicznej, by zbyt często nie zjawiać się na pograniczu, postanowiono raz po razie wysyłać towarzyszek dla zabrania bibuły na siebie.

W tych wyprawach brało udział pięć towarzyszek, pomiędzy którymi wobec pośpiechu, jakiego wymagała sprawa, rozwinęło się współzawodnictwo. Kto więcej przyniesie? — oto było pytanie. Swego rodzaju rekord w tym oryginalnym sporcie rewolucyjnym został ustanowiony przez pewną towarzyszkę, która na sobie przywiozła siedmdziesiąt pięć egzemplarzy „Kobiety“.

Siedmdziesiąt pięć! wynosi to na wagę prawie 2 pudy papieru, ułożonego w dodatku pod ubraniem, więc w sposób ogromnie kępujący i męczący. Nigdy nie miałem na sobie tyle bibuły; zdarzyło mi się jednak parę razy nieść jakieś marne 15—20 funtów i muszę wyznać, że mię to wcale nie zachwyciło. Bibuła ze wsząd mnie dusiła, gniotła, łaskotała; czułem, że muszę przybierać nie zupełnie naturalne pozy, które mię męczyły ogromnie. A przecie od moich 20 funtów daleko do dwóch pu-

dów — stanowi to cztery razy większą wagę i objętość.

Mąż owej dzielnej towarzyszki, który razem z nią odbył tę wyprawę, opowiadał mi, że będąc tak opakowana, żona jego przejść musiała pieszo trochę więcej niż kilometr, przetrząść się w wagonie kilka godzin i wreszcie jechać doróżką nie mniej niż pół godziny.

— Gdyśmy wsiadli już do wagonu — mówił on — zająłem czempredzej dwie króciutkie ławki, aby nikt nie siedział obok nas. Bałem się, by wypadkowe dotknięcie nie zdradziło bibuły, będącej pod ubraniem. Pociąg był nocny i gdy ruszył, moja żona, zmęczona podróżą, wrażeniami i spacerem kilometrowym z takim ciężarem na sobie, zadrzemała. Nagle usłyszałem cichy jej jęk.

— Co ci jest? — spytałem, nachylając się nad nią. — Boli cię co?

Odpowiedzi nie otrzymałem. Żona spała, oparta głową o ścianę wagonu i od czasu do czasu jęczała zcicha. Byłem przekonany, że to skutek zmęczenia lub niewygodnego siedzenia przy takim niesłychanym wypchaniu siebie książkami. Zadrzemałem wreszcie i sam.

Przed samym celem podróży, gdy pociąg już zwalniał biegu, obudziła mnie żona — była blada i łzy się jej kręciły w oczach. Widocznie coś jej mocno dolegało.

— Złamał mi się gorset — mówiła, zaciśkając zęby od bólu — brykle wjadają mi się w ciało. Wiesz, może nie potrafię przejść przez dworzec.

Lecz obawy były płonne. Opierając się o moje ramię i sycząc nieledwie z bólu, żona moja doszła do dorożki. Gdyśmy nareszcie znaleźli się w domu i żona się rozebrała, okazało się, że ma pokrwawione i poszarpane bryklami boki. Ze dwa tygodnie po tej wyprawie żona moja gorsetu nie mogła włożyć.

Jakim jest rekord męski pod tym względem, nie wiem dokładnie. Słyszałem jednak o charakterystycznej przeróbce znanej pieśni filareckiej, którą ułożono w kółku towarzyszków, uprawiających *con amore* walkę z caratem na polach nadgranicznych. Przytaczam ją tu:

Gdy pakowność cnota znana,
Pakowniejszy kto nad Jana?
Więc panowie, jego zdrowie:
Wiwat tegi Jan!

Naturalnie, jak to już powiedziałem, przemienianie towarzyszków i towarzyszek w walizki czy kosze nie może być stałem zjawiskiem. Pociągałoby to za sobą zbyt dużo kosztów, pochłaniałoby zbyt dużo sił, zużywałoby ludzi zbyt prędko. Od czasu do czasu jest ono jednak konieczne. A wobec tego z prawdziwem uznaniem podnieść należy zasługi dzielnych towarzyszek, które dla walki z caratem ofiarowują swe wątłe nieraz siły fizyczne dla pełnienia uciążliwej funkcji, zwanej żartobliwie w żargonie rewolucyjnym dromaderowaniem.

Wspomniałem poprzednio, że rząd do niedawna nie przedsięwierał żadnych specyal-

nych środków dla walki z wrastającym z rokiem każdym dopływem bibuły. Walka z kontrabandą polityczną była tylko częścią walki z kontrabandą ogólną, ze szwarcowaniem korenek, zegarków, spirytusu, herbaty itd. Jak mnie zapewniano z kompetentnych źródeł, rząd w wielkim stopniu dopiął swego: szwarcowanie towarów zwykłych, nie politycznych, jakoby znacznie się zmniejszyło.

Jeśli tak jest w istocie, to zostało to osiągnięciem przez stałe pogarszanie warunków życia ogromnej ilości ludzi, nic wspólnego z kontrabandą nie mających. Z każdym rokiem sypią się nowe ograniczenia, coraz bardziej krepujące ludność, z każdym rokiem stosunki pod tym względem się pogarszają i wyznać należy, coraz jest trudniej urządzić porządnie działające biuro transportowe na granicy.

Dozór na samej granicy jest zwiększany z rokiem każdym. Stałem jest również zjawiskiem ograniczanie liczby osób, mających prawo do półpasków, przepustek. Nareszcie trzecia linia graniczna jest instytucją względnie nową, stale w dodatku wzmacnianą, jest siecią, której oczka coraz bardziej maleją. Znający stosunki zapewniali mnie, że że w ciągu ostatnich lat dziesięciu warunki transportowe tak się pogorszyły, że niepodobna porównywać obecne z dawnymi: co było łatwem wczoraj, staje się trudnem dzisiaj.

Jedynem, lecz za to poważnem ułatwieniem jest wzmożenie się ruchu rewolucyjnego, przeniknięcie ducha rewolucyi, ducha opozycji,

do szerokich mas ludowych. Tego wpływu, rozkładowego dla potęgi rządowej, nie uniknęła i ludność pograniczna. Jeśli więc trudności techniczne przy transportach wzmagają się, to natomiast ułatwionem jest wynajdywanie ludzi chętnych do tego rodzaju pracy.

Niedawno pisma doniosły, że w Petersburgu obradowała komisya w celu znalezienia środków dla zmniejszenia dopływu bibuły do Rosyi. Co tam uradzono przy udziale — jak pisano — żandarmów z Królestwa, nie wiem. Jedyne, co doszło do mnie, to wyasygnowanie środków dla żandarmeryi w celu utrzymywania agentów-szpiegów wśród ludności nadgranicznej. Bez wątpienia, szpicle nad granicami mogą utrudnić znacznie robotę, osobiwie, gdy będą sprytnie dobrani z pomiędzy ludności rzeczywiście miejscowej. Lecz niebezpieczeństwo to nie wydaje mi się tak groźnem.

Główną podstawą dla działania rewolucjonistów na granicy państwa, jak to przedstawiałem, jest podmycie tej granicy przez ludność pograniczną, zanik jej dla niej. Do wytworzenia mętnej wody na pograniczu w ogromnym stopniu przyczyniają się właśnie ci, co mają granicy pilnować, ci, co najbardziej są względem całego otoczenia uprzywilejowani. Do takich uprzywilejowanych będą naturalnie należeć i nowi dygnitarze państwowi na granicy — owi agenci żandarmeryi. Lecz gdy dotychczasowi dygnitarze najczęściej są zupełnie obcy, są przybyszami,

którzy po pewnym tylko czasie stają się zależnymi w mniejszym lub większym stopniu od otoczenia, to projektowani agenci żandar-mów, pochodząc z ludności miejscowej, tę krępującą zależność odczuwać będą znacznie silniej. Więc własne ich grzechy graniczne — szwarcowanie na własny użytek towarów zagranicznych — przyczynią się do zwiększenia metów i w wielu wypadkach zwiążą im ręce. Tem bardziej, gdy się zważy, że szpieg, pomimo wielkiego jego znaczenia dla rządu, tak jest pogardzanym przez ludzi, że szeregi ich mogą być rekrutowane jedynie z pomiędzy najbardziej nisko pod względem moralnym stojących ludzi.

Drugą podstawą dla kontrabandy rewolucyjnej w Polsce jest silne, chociaż często nie bardzo świadome poczucie niechęci wszystkich ludzi w stosunku do rządu. Niechęć ta, tak ułatwiająca agitację rewolucyjną w Polsce, na pograniczu wzmaga się jeszcze bardziej przez solidarność fachową — solidarność szwarcowników, którymi, jak to wykazałem, są w pewnym stopniu wszyscy absolutnie mieszkańcy pogranicza. Czy więc rząd przez ustanowienie agentów żandarm-skich potrafi już nie rozbić, lecz choćby poważnie zachwiać tą podwójną solidarnością? Co do mnie, znając kraj i stosunki pograniczne, innej odpowiedzi na to pytanie, jak negatywnej, daćbym nie mógł.

TAJNE DRUKARNIE.

Mniejszą, lecz bodaj z każdym rokiem wzrastającą częścią bibuły, kursującej w Polsce, stanowi bibuła w samym kraju wytworzona, wyprodukowana pod okiem wiecznie niespokojnej i trapiącej buntowników policyi carskiej. Bibuła taka w postaci ulotnego pisemka czy odezwy, albo też mniej więcej peryodycznie się ukazującego pisma partyjnego, ma ogromne znaczenie dla każdej organizacji rewolucyjnej, chcącej szerszy wpływ na ludzi wywierać. Bibuła zagraniczna, wyprodukowana za żelaznym pierścieniem bagnetów, opasującym państwo cara, ma w wielu wypadkach tę niedogodność, że się opóźnia, że wobec kapryśnych warunków nadgranicznych nie daje się całkowicie opanować przez organizacje. Ten brak precyzji, brak, że tak powiem, elastyczności bibuły zagranicznej, rozpatrywanej jako narzędzie rewolucyjne w rękach organizacji, zmuszał nieledwie każdą grupę rewolucyjną w państwie cara do prób tworzenia bibuły krajowej, produkowania jej na miejscu.

Najbardziej pierwotnym, studenckim, że go tak określe, sposobem jest hektograf. Urządzić go łatwo, zajmuje on bardzo mało miejsca, zniszczyć lub usunąć go z widoku nie trudno, do pracy z nim nie trzeba prawie żadnych kwalifikacyj — jednym słowem, był-

by on wspaniałym i niekłopotliwym sposobem, gdyby nie małe „ale“ — wytwórczość hektografu jest bardzo niewielką, mogącą zadowolić najwyżej 30—40 osób, a produkty jego są nieczytelne. A jednak dzikie kagańce nałożone przez rząd carski na wszystko, co ze świetnym wynalazkiem Gutenberga jest związane, tak są krępujące, że umożliwiają dotąd konkurencyę marnego hektografu z drukiem.

Spotykałem wydawnictwa w Rosyi, wydawnictwa hektografowane w języku rosyjskim ogromnej objętości, że wymienię tu na przykład „Tkaczów“ Hauptmana, albo „Spowiedź“ Tołstoja. Ile szalonej, żmudnej pracy w taki tom zostało włożone przez wydawców, ile oczu popsutych i zażawionych u czytelników tych wydawnictw! Byłem, doprawdy, zdumiony tą cyklopową pracą.

Lecz takie większe rzeczy, odbite na hektografie, są rzadkością, białymi krukami bibliograficznymi, które kiedyś w muzeach świadczyć będą o dzikim okrucieństwie caratu. Częstemi jednak są dotąd krótkie hektografowane odezwy rewolucyjne i pisma ulotne. Nawet w Polsce, nieco kapryśnej pod tym względem w porównaniu z rdzenną Rosyą i przyzwyczajonej do bardziej europejskiego i cywilizowanego druku, zdarzają się często wypadki używania hektografu dla celów rewolucyjnych. Osobliwie często ucieka się do tego środka młodzież szkolna; dlatego też nazwałem ten sposób — studenckim. Najtrudniej zaś daje się hektograf zastosować

do ludu pracującego. Tutaj, gdzie nieraz samo czytanie stanowi poważną pracę, błękitne rozlane literki hektografu często są zupełnie bezużytecznymi.

W ostatnich czasach zaczęto ulepszać ten studencki sposób tworzenia bibuły krajowej. Przystosowano do hektografu maszyny piszące, wprowadzono mimeagrafy, cyklostyle i t. d. Lecz pomimo tych ulepszeń, zwiększających produktyjność pracy, oraz zmieniających na lepsze czytelność bibuły, niepodobna porównywać tych sposobów z drukiem. Zbyt dużo zajmują one czasu, zbyt dużo zużywają papieru, by można było zadowolić szersze wymagania przez takie środki. Dobremi być one mogą dla produkcji, jak ją nazywamy żartobliwie, rzemieślniczej w rewolucyi. — Dla wielkiego przemysłu rewolucyjnego nie druku zastąpić nie zdoła.

Wobec tego nie jest wcale dziwnem, że dla każdej poważniejszej organizacyi rewolucyjnej ideałem jest posiadanie tajnej drukarni. Dwie najsilniejsze organizacje w przeszłości — rosyjska „Narodna Wola“ i polski „Proletaryat“ były uzbrojone w tę broń nowoczesną. Pierwsza za czas swego istnienia w kilku drukarniach, raz po raz wykrywanych przez policję, wydała kilka odezów, oraz 10 numerów swego pisma. Druga oprócz odezów i paru broszur wydała pięć numerów „Proletaryatu“.

Po rozbiciu tych organizacyj w 1884 i 1885 latach nastąpiła w państwie cara cisza rewolucyjna. Robota rewolucyjna szła dalej nie-

przerwanie, lecz przeważnie była to robota „rzemieślnicza“, dłubanie, najczęściej nieskoordynowane, po różnych kątach. W ogromnej większości umysłów rewolucyjnych wytworzył się nawet pewnego rodzaju nastrój, który tu nazwę przeciwr romantycznym, nastrój, dający się streścić w słowach: „nasze czasy, to nie czasy szerokich planów i zadań“.

Drukarnia tajna, pismo partyjne — należały do tych szerokich „romantycznych“ planów i zadań rewolucyjnych, względem których szanujących się „pozytywnych“ rewolucjonistów obowiązywał pewnego rodzaju sceptycyzm i uśmiech niedowierzania. Lecz jeśli w stosunku do planów „szerokich“ przeważał w owych czasach nastrój „pozytywny“, to w stosunku do środków dla wykonania tych planów powszechnym był nastrój „romantyczny“, powiedzmy raczej — dziecinny.

Nastrój ten da się scharakteryzować przez zabawną anegdotę, którą słyszałem o kijowskich rewolucjonistach z końca ósmego dziesiątka lat zeszłego stulecia.

Do Kijowa przyszedł transport bibuły — kilka pudów — który na razie został umieszczony gdzieś na przedmieściu. Chodziło o przeniesienie bibuły do miasta samego. Interes ten poruczono trzem towarzyszom z organizacyi ówczesnej. Oto, jakim było ich rozumowanie:

Nieść bibułę we dnie — niedobrze, zbyt jest to widoczne — lepiej w nocy. Brać dorożkę niebezpiecznie — dorożkarz będzie wi-

dział — lepiej iść pieszo. Po drodze nie jest dobrze — lepiej tyłami zabudowań.

I oto nasi „romantycy“ ruszyli w nocy po ową bibułę, wpakowali ją w worki i z tajemniczemi, odpowiednio do chwili, minami ruszyli nie drogą, lecz przez płoty i ogrodzenia. Naturalnie skutek był żałosny — psy, zbudzone z drzemki, zaczęły gwałtownie ujadąć, ludzie z domów przedmieścia wypadli i zabrali biednych towarzyszków jak złodziei do cyrkułu. Tam sprawę wyjaśniono, lecz, rzecz prosta, osadzono niefortunnych romantyków w więzieniu.

Ta tradycja „romantycznych“ środeczków rewolucyjnych, zostawiona w spuściźnie głównie przez „Narodną Wolę“, ciążyła w owe czasy nad ludźmi równie silnie, jak „pozytywny“ nastrój umysłów. Pozytywiści, gdy krytykowali „romantyczne“ plany, krytykowali je nie „pozytywnie“, lecz „romantycznie“, biorąc z ubogiej skarbnicy doświadczenia rewolucyjnego różne dziwactwa i śmieszności, jako dowody contra temu lub owe mu „szerokiemu“ planowi, a więc pomiędzy innemi i contra planom drukarnianym.

Dla rozbicia tej tradycji, dla przezwyciężenia tego nastroju potrzebni byli nowi ludzie — romantycy co do planów, pozytywiści co do środków. Takimi okazali się założyciele Polskiej Partii Socjalistycznej, których działalność dla krajowej produkcji bibuły, stanowi epokę równie dobrze, jak i dla rozpowszechnienia bibuły zagranicznej.

W lipcu (dnia 12) 1894 roku z tajnej dru-

karni P. P. S. ukazał się pierwszy numer „Robotnika“, którego dotąd wyszło 52 numery, t. j. pięć razy więcej w porównaniu z „Narodną Wolą“, organem najsilniejszej z doby powstaniowej organizacyi rewolucyjnej w państwie cara do niedawnych czasów. Dotąd jedynie organizacya żydowska „Bund“ poszła w ślady P. P. S. i potrafiła urządzić tajną produkcję bibuły w kraju. Inne organizacje tak polskie, jak rosyjskie, od czasu do czasu robią próby w tym kierunku, próby rzadkie z efektem krótkotrwałym. Do takich prób należy „Pochodnia“ narodowo-demokratyczna, kilka rosyjskich piemek rewolucyjnych, wysypujących się zwykle przy trzecim, czy czwartym numerze. Druki pochodzenia krajowego dotąd są prawie monopolem P. P. S.

Stąd właśnie pochodzi fakt, że przy wypadkach, obchodzących ogół opinii publicznej, jak przyjazd cara, odsłonięcie tego lub owego pomnika, większe strejki lub poruszenia ludowe — najczęściej daje się słyszeć jedynie głos P. P. S. Inne organizacje oprócz, jak powiedziałem, „Bundu“ wśród żydów — nie są w stanie sprostać temu zadaniu, nie są w stanie wypowiedzieć się publicznie z powodu tego lub owego zdarzenia w tym właśnie czasie, gdy zajmuje ono umysły ludzkie.

Fakt istnienia drukarni w kraju, stałe ukazywanie się różnych wydawnictw — „Robotnika“ i odezów — wywarł w swym czasie głębokie i silne wrażenie na wszystkich, co

czuli jakakolwiek chęć do walki z uciskiem rządowym.

Wśród sceptyków i „pozytywistów“ pano-
wało pewnego rodzaju zdumienie i oczeki-
wano z dnia na dzień wpadnięcia drukarni
w ręce żandarmów. Wśród samych założy-
cieli drukarni i „Robotnika“ panował taki
nastrój, że, jak opowiadał mi jeden z nich,
nie oczekiwano, by można było bez wyspy
dojść do 12 numeru pisma. Lecz bodaj nie
omyle się, gdy powiem, że najpowszechniej-
szem uczuciem był pewnego rodzaju entu-
zjazm i uznanie dla śmiałego przedsięwzięcia.

Opowiadano mi, że organizacya zecerów
w Warszawie proponowała w razie braku
sił technicznych wybrać z pomiędzy nich lu-
dzi. Dodano przytem, że każdy z nich zgä-
dza się, by mu zawiązano oczy, wsadzono do
powozu i odwiązano dopiero w drukarni, skąd
każdy z nich obowiązywał się nie wychodzić
ani na chwilę i nie patrzeć przez okno dla
zachowania konspiracyi zupełnej. W Dąbro-
wie, w Hucie Bankowej, robotnicy propono-
wali złożyć w drukarni zaoszczędzone przez
siebie dla przyszłego strejku fundusze. Sam
na własne uszy słyszałem propozycye towa-
rzyszek, by je wzięto do drukarni, chociażby
dla najzwyczajszych posług. Nawet mernerzy
narodowej demokracji, tak wrogo obecnie
względem socjalizmu usposobieni, byli nieco
podnieceni nadzwyczajnem powodzeniem „Ro-
botnika“. Jeden z nich przy rozmowie ze-
mną w 1896 roku mówił, że „drukarnia wa-
sza i „Robotnik“ to nadzwyczajny fakt, wspa-

niałe zjawisko, którego waszej partii powin-
szować można“. Naturalnie zapatrywał się on
na znaczenie tego faktu w specjalny sposób:
„jak to żandarmów wściekać musi!“

W istocie żandarmi wściekali się ze zło-
ści i urządzali formalne polowania na nieu-
chwytnego „Robotnika“. Sądząc z ciekawych
pamiętników znanego szpiega Wiśniewskiego,
wydanych przez P. P. S., żandarmi warszaw-
scy próbowali okłamywać siebie i wyższą
władzę twierdzeniem, że „Robotnik“ jest wy-
dawany za granicą, a druki, rzekomo krajo-
wego pochodzenia, są przeszwarcowane z za-
kordonu. Mądry pułkownik Utgoff znalazł
nawet, że papier, na którym wydrukowany
jest „Robotnik“, zdumiewająco jest podobny
do londyńskiego papieru, używanego do za-
granicznych wydawnictw P. P. S. Lecz wre-
szcie musiano się pożegnać z tą iluzją, raz
po raz bowiem w numerach „Robotnika“
znajdowały się nowiny z dnia wczorajszego,
które fizycznie nie mogły tak prędko prze-
biedz granicę i wrócić stamtąd w postaci za-
drukowanego papieru.

Wówczas drukarnia „Robotnika“ stała się
głównym celem nagonek żandarmskich. —
W przyszłości zapewne będzie znanem, jak
mądre plany budowano w zarządach żandar-
meryi dla wykrycia drukarni. Obecnie jednak,
sądząc tylko z przejawów tych polowań, trze-
ba przyznać, że polowania te mocno przypo-
minały rozjuszonego byka, rzucającego się
na czerwoną płachtę i spotykającego pod ro-
gami pustą przestrzeń. Tą płachtą dla żan-

đarmów były odezwy. Pojawiły się w Radomiu — jazda do Radomia w poszukiwaniu drukarni; były w Białymstoku — marsz na Białystok, tam bowiem ukrywa się drukarnia; są w Dąbrowie i oto w głupich głowach żandarmów kręci się myśl, że drukarnia musi być ukryta gdzieś w zarzuconym szybie. Przed samem zaareztowaniem drukarni w Łodzi żandarmerya warszawska była już na „pewnym“ tropie. Drukarnia miała być ukryta u jakichś bardzo bogatych i możnych ludzi i żandarmi poszukiwali ich śladów przez... modne i drogo sprzedające siebie kokoty.

Jeśli żandarmi suszyli sobie nieraz mózgi nad tem zagadnieniem z obowiązku, to mnóstwo ludzi łamało sobie głowy nad niem z prostej i zrozumiałej ciekawości. Koło tej niepochwytnej drukarni tworzyły się legendy i hipotezy. Jedni umieszczali ją w piwnicach, inni na strychach, wielu słyszało w zamieszkanym przez siebie kamienicach szmery, mające świadczyć o istnieniu drukarni itd. — wszyscy zaś osłaniali tę tajemniczą drukarnię różnymi romantycznymi szczegółami.

Wreszcie w lutym 1900 roku pieczęć absolutnej tajemnicy, która gęstą mgłą otaczała drukarnię, została zdjęta. Żandarmerya łódzka, dzięki prostemu przypadkowi, wykryła ową drukarnię w Łodzi, przy Wschodniej ulicy, na pierwszym piętrze domu pod numerem 19.

Tryumf żandarmeryi był ogromny. Zdawało się im, że raz nareszcie opanowano ruch, który im tyle kłopotów sprawiał, a przynaj-

mniej, że zmuszono ten ruch do milczenia. Jeden z żandarmów, który piszącego te słowa właśnie w sprawie drukarni badał, szeroko tłómaczył, jak wielki cios został zadany partyi przez aresztowanie drukarni.

— Nie łatwo — mówił mi p. rotmistrz — zdobyć się raz jeszcze na taki wysiłek, nie łatwo zorganizować podobną rzecz na nowo.

— Ależ panie rotmistrzu — zawołałem na to z uśmiechem — jestem przekonany, że w tej może chwili już się drukuje następny numer „Robotnika“. Niech mi pan wierzy, że dla P. P. S. nie stanowi to nic tak bardzo trudnego.

Nie wiedziałem wówczas, zamknięty w murach cytadeli warszawskiej, że moje słowa odpowiadały rzeczywistości. W kilka dni po tej rozmowie ukazał się 36 numer „Robotnika“ z nowej drukarni, założonej przez partyę.

Odkryta w Łodzi drukarnia nie mieściła się ani w piwnicy, ani na strychu, ani była otoczona jakąś nadzwyczajną tajemniczością. Redakcyja i drukarnia znajdowała się w zwykłym mieszkaniu, takim, jakich tysiące jest w każdym większym mieście. Jak wspomniałem, była ona na pierwszym piętrze. Była to, jak mi mówiono, inowacya. Dotąd bowiem wystrzegano się umieszczania drukarni na piętrze. Obawiano się, by pewien szum, sprawiany przez maszynę drukarską, nie był słyszany przez mieszkańców parteru.

Co do mnie, gdy mnie poruczono redakcyę

„Robotnika“ i urządzenie drukarni w Łodzi, nie znalazłem na parterze mieszkania.

Zaryzykowałem wziąć mieszkanie na piętrze, tem bardziej, że w tym domu parter był zajęty przez skład bawełny i pończoch. Mieszkanie nasze składało się z czterech pokoi i kuchni. Z frontowych schodów wchodziło się do korytarza, z którego na prawo drzwi prowadziły do pokoiku niewielkiego, w tym jadaliliśmy obiad. Na lewo z korytarza było dwoje drzwi — jedno najbliższe od wejścia do pokoju sypialnego, drugie do saloniku. Wprost z korytarza były drzwi do kuchni i z kuchni wreszcie na tylne schody. Za salonikiem był pokój duży, w którym postanowiliśmy umieścić drukarnię, a który był zarazem dla ludzi postronnych gabinetem moim dla pracy.

Jaką była ta praca, nie mówiłem nikomu, pozostawiając otoczeniu tworzenie takiej lub innej hipotezy co do rodzaju mego zajęcia. Liczyłem na to, że w Łodzi, mieście przemysłowem i handlowem, musi być mnóstwo osób, żyjących przy tym przemyśle i handlu, a nie mających ścisłych godzin pracy pozadomowej, ani zupełnie wyraźnego zajęcia dla otoczenia. Chciałem jednak imitować zajęcie techniczne, które, jak mi się zdawało, więcej odpowiadało charakterowi miasta. Tymczasem, jak się potem okazało, stróż i służba uważali mnie za prawnika, prowadzącego jakieś interesy. Zdaje się pogląd ten wyrobił się z tego, że często widziano mnie piszącego.

Podpułkownik Gnoiński, który nas areszto-

wał, również był tego zdania, że jestem adwokatem, bo przy rewizyi jednym z pierwszych pytań jego było: „Pan jest prawnikiem?” Zresztą co do stróża, to jego pojęcie o adwokaturze było dosyć zabawne. Żona moja rozpytywała stróżową o lokatorów domu, w którym mieszkaliśmy. Otóż stróżowa twierdziła, że nad nami mieszka adwokat.

— Adwokat? — pytała żona.

— A tak, proszę pani, on całymi dniami w domu siedzi, a na noc wychodzi — odpowiedziała stróżowa.

Różnica więc pomiędzy mną a moim sąsiadem z góry była tylko ta, że ja na noc nie wychodziłem. Różnica ta nie przeszkodziła stróżowej uważać i mnie za adwokata.

Lecz wracam do urządzenia drukarni. Umeblowanie gabinetu-drukarni składało się z biurka redakcyjnego, w którego szufladach złożone były rękopisy i różne wydawnictwa, potrzebne do redakcyi; z otomany, w którą chowaliśmy papier; kosza, do którego słyły różne odpadki produkeyi, stopniowo potem spalane w piecach mieszkania; szafki składanej, w której się mieściła w górnej części maszynka drukarska, a w dolnych jej szufladkach kaszty z czcionkami i wreszcie z kilku krzeseł. Oprócz tego stały dwie lampy. jedna z nich wysoka, japońska, druga na biurku. Oświeślały one nam pokój przy wieczornej robocie.

Praca zaczynała się o 9-ej rano, gdy przychodził do nas towarzysz Rożnowski, były student uniwersytetu moskiewskiego, a wówczas nasz technik drukarski i mój wobec słu-

żacej i stróża pomocnik. W saloniku stał pod oknem mały stolik japoński, a na nim bożek buriacki, któregom wywiózł z Syberyi. Podstawa bożka była wydrażona i tam z wieczora po skończonej robocie kładliśmy klucz od drukarni. Rożnowski brał rano klucz i przyprowadzał do porządku zewnętrznego pokój, tak, by służąca sprzątać go mogła.

W tym czasie, gdyśmy z Rożnowskim pili herbatę, żona pod pozorem, że ja nikomu oprócz niej nie pozwalam dotykać się papierów na biurku, pomagała służącej sprzątać w gabinecie. Służąca nie widziała w gabinecie nic prócz mebli, a przy żonie naturalnie nie ośmielała się badać ich zawartości. Zresztą rozrzucone na biurku papiery i książki świadczyły o jakiejś inteligentnej pracy, niezrozumiałej dla niej.

Służąca w mieszkaniu, przeznaczonem na drukarnię, była to również inowacya, dotąd w tajnych drukarniach nieznana. Tradycya rosyjska w tych wypadkach nakazywała brać jako służącą towarzyszkę, wtajemniczoną we wszystkie szczegóły interesu. Tradycya polska wskazywała na służące przychodnie, jako na wyjście należyte. Co do mnie, postanowiłem wziąć służącą na stałe. Było to bez wątpienia bardzo uciążliwe i wymagało wielkiej baczości, lecz miało i dobre strony.

Przedewszystkiem dziwnem byłoby, gdyby w porządnem burżuazyjnym mieszkaniu nie było stałej sługi, osobliwie, gdy praca ich tak marnie jest opłacana, jak w Łodzi. Następnie towarzyszka, jako służąca, nie uśmie-

chała mi się wcale. Sługi w domach miejskich stanowią swego rodzaju klub czy stowarzyszenie, znają się wzajemnie i utrzymują stały stosunek ze stróżami. Bałem się jakiegokolwiek niezręczności ze strony towarzyszki, której zadaniem byłoby udawać sługę, niezręczności, która mogłaby zwrócić na nasze mieszkanie uwagę, zrobić je przedmiotem gawęd i podpatrywań. Natomiast byłem zupełnie przekonany, że pierwsza lepsza służąca, wzięta z biura, zawsze może być utrzymana przez gospodarzy w przyzwoitem oddaleniu od tego lub owego punktu mieszkania.

Tak się też stało u nas w Łodzi. Odrazu zapowiadało się służącej, że miejsce jej jest w kuchni, że „pan“ nie lubi, gdy służąca bez potrzeby wchodzi do pokoiów „pańskich“. Przytem dawało się im dużą swobodę — chętnie udzielaliśmy naszym sługom urlopów na wieczory.

Przez pół roku mieliśmy dwie sługi. Jedna z nich — sprytna, nieco zepsuta przez miasto Józia. Tej musieliśmy się strzedz ciągle — miała jednak tę dobrą stronę, że lubiła korzystać i nawet nadużywać urlopów. Pomimo swego sprytu nie domyśliła się niczego, nawet stosunku serdecznego, jaki nas łączył z towarzyszem Rożnowskim, do którego przy służbie zawsze mówiłem nieco protekcyjnie. Wobec tego Józia uważała go za równego sobie.

Pewnego razu, gdyśmy z żoną wyjechali do Warszawy, zostawiliśmy Rożnowskiego w mieszkaniu na gospodarce, Józi zaś dali-

śmy pieniądze na obiady dla niej i Rożnowskiego — czyli pana Karola, jak się tam nazywał — na czas naszej nieobecności.

Sądziliśmy, że Józia skorzysta z tego czasu, by wylatać się po mieście, że więc Rożnowski będzie miał możność pracować. Okazało się jednak, że sprytna Józia zagięła parol na pana Karola i rozpoczęła z nim flirt.

Gdy dała mu obiad, przyszła do pokoju, usiadła przy nim, odgrywając rolę gospodyni. Żartowała z pana Karola, który jej się wydał nieśmiałym.

— Pan zapewne przy nich — mówiła do niego — z wielkiej nieśmiałości nie dojada przy obiadach. Niechże pan teraz je dobrze. Nie trzeba ich żałować, mają dosyć — uświadamiała pana Karola, który się wściekał z takiego obrotu sprawy.

Znacznie mniej uświadomioną była druga nasza służąca Władzia, która zastąpiła Józię. Ta była cicha, spokojna dziewczyna, zahukana i nieśmiała. Gdy spotkała tu raz ludzkie i łagodne obejście, przywiązała się ogromnie do mojej żony. Natomiast miała złe strony — umiała czytać i nie chciała, pomimo propozycji jej czynionych, korzystać z urlopów. Przy Władzi chowaliśmy skrzętnie wszystkie nielegalne druki. Przy niej aresztowano nas. Biedna dziewczyna zanosila się od płaczu. W głowie jej nie mogło się pomieścić, że mogą zabrać i panią domu.

— Pana, jak pana — powtarzała z płaczem — ale po co panią zabierać?

Swoją drogą muszę przyznać, że służąca,

nie wtajemniczona w interes, jest ogromnym ciężarem w drukarni. Okoliczność ta wymagała ustawicznej czujności, ciągłego pilnowania każdego poruszenia sługi. Cały ten ciężar spadał na barki gospodyni domu — mojej żony, która od chwili, gdy służąca wchodziła do „pokoju“, nie odstępowała jej ani na krok. W rzadkich chwilach, gdy żona wychodziła z domu, zastępowałem ją w tym obowiązku i przenosiłem swą pisaninę lub siadałem z książką w rękę w pokoju stołowym.

Zaraz po rannej herbacie ja z Karolem wynosiliśmy się do gabinetu, do roboty. Robota nasza polegała na pisaniu, składaniu i odbijaniu na maszynie. Pierwsze należało do mnie, drugie do Rożnowskiego, trzecie było naszą wspólną funkcją. Urządzaliśmy się w ten sposób, że od chwili, gdy robota nad numerem „Robotnika“ została rozpoczęta, nie przerywaliśmy już jej, dopóki nie została skończoną. Dwunasto-stronicowy numer kosztował nas zwykle 15—16 dni pracy, pracy dosyć uciążliwej, trwającej przeciętnie 9—11 godzin dziennie.

Środki nasze techniczne składały się z pewnej ilości czcionek. Petitu mieliśmy na dwie i coś stronicę i garmondu na sześć. Oprócz tego pewną ilość liter tytułowych, oraz tłustego petitu i garmondu. Mieściło się to w kasztach i w związanych stronicach, pozostałych z dawniejszej roboty — kaszty i stronice leżały w szafce i otomanie.

Poza tem w szafce stała maszyna drukarska angielskiego systemu Model-Press.

Maszynka niewielka, ważąca coś około 7 pudów, z ramą małą, mieszczącą zaledwie jedną stronicę „Robotnika“. I taka właśnie maszynka, używana za granicą, w krajach z cywilizowanymi prawami dla słowa drukowanego, jedynie do odbijania niewielkich ogłoszeń i biletów wizytowych — taka maszynka stanowiła nadzwyczajny postęp w porównaniu z przed P. P. S-ową techniką drukarską w organizacjach rewolucyjnych pod caratem.

Na maszynce, jak powiedziałem, można było odbijać odrazu tylko jedną stronicę naszego pisma i dopiero po odbiciu jednej można było przystąpić do następnej. W ciągu jednej godziny odbijaliśmy od 300 do 400 egzemplarzy. Szybkość zależała głównie od tego, czy można było w danej chwili sprawić więcej hałasu, czy nie. W celu zmniejszenia hałasu maszynka była wszędzie, gdzie się różne jej części stykały przy pracy, oklejona gumą, rzemykami i suknem. I raz po raz trzeba było przerywać robotę, by to lub owo w niej naprawić — przykręcić śrubkę, dolać oliwy na osie, przykleić pasek jakiegokolwiek materiału, zamiast tego, który odleciał przy robocie. Co pięćdziesiąt egzemplarzy trzeba było rozsmarować farbę na talerzu i baczyć przytem, by farby nie było za dużo, bo w tym wypadku arkusiki papieru, złożone po odbiciu jeden na drugim, ogromnie się brudziły i druk stawał się nieczytelny. Gdy przeciwnie brało się farby za mało, to przy małej presyi, jaką rozwinać

można było przy tym systemie drukarskim, druk wychodził błado, co na petitowych osobliwie stronicach czyniło druk równie niedogodnym do czytania i niewyraźnym, szczególnie dla ludzi, nieprzyzwyczajonych do czytania, a ci przecie stanowili większość czytelników naszego pisma.

Licząc więc wszystkie przerwy w produkcji, na każdą godzinę pracy wypadało przeciętnie 250—280 egzemplarzy. A że biliśmy wówczas 1900 egzemplarzy pisma, więc samo odbijanie jednej stronicy zajmowało nam 8 godzin pracy. Gdy się zaś doliczy czas, zużyty na przygotowanie do pracy, zabijanie stronicy w ramę, zrobienie korekty i wreszcie usunięcie śladów roboty, będziemy mieli 9 co najmniej godzin tańca koło maszynki dla odbicia jednej stronicy „Robotnika“. Była to nasza dzienna produkcya.

Co się tyczy hałasu, sprawianego przez robotę, to przy ostrożnem odbijaniu, gdy się niejako trzymało w garści całą maszynkę i zwracało uwagę na najmniejsze jej kaprysy, największy hałas sprawiała czynność brania z kupy papieru jednego arkusika w celu położenia go na maszynkę. Szelest papieru — oto najgłośniejsza procedura! Nic dziwnego, że w czasie samej roboty służąca z nieodstępną od niej moją żoną mogły sprzątać w sąsiednim pokoju, nie słysząc z gabinetu-drukarni żadnego podejrzanego szmeru.

Muszę jednak przyznać, że odbijanie należało do najprzykrzejszych, najnudniejszych robót, jakie znam.

Chwytasz arkusik papieru, przymierzasz go tak, by upadł akurat w odpowiedniem miejscu naprzeciw czcionek; przyciskasz rączkę maszynki — klap! Paszcza się zamknęła, papier dotknął się do czcionek, wałki pobiegły na talerz; podejmujesz rączkę do góry — paszcza się otworzyła, odkładasz zadrukowaną stronę na lewo i znowu dalej w kółko. I gdyby nie było żadnych przeszkód, gdyby można było nie zwracać uwagi ani na hałas, sprawiany przez maszynę, ani na to, co się w sąsiednich pokojach dzieje, gdyby można było złać się niejako z tą maszynką, zastosować się zupełnie do jej poruszeń i klapać sobie spokojnie, myślą o czem innem. Ba! zapomniałeś się, a już słyszysz okrzyk towarzysza pracy, który dłubie przy kaszcie.

— Cholera! Maszyna zanadto huczy! Może podlać oliwy?

Albo słyszysz ostrzegawcze nucenie żony, co oznaczało, że służąca jest w pokojach, że należy bić ciszej, ostrożniej obchodzić się z kapryśną maszyną.

Karolek, gdy pracował przy maszynie, lubił pogawędzić, pożartować, co do mnie zawsze byłem zły i milczący, gdy dotykałem żelaznej, chłodnej rączki maszyny. Niecierpliwem okiem rzucałem spojrzenia na powoli zmniejszającą się kupę papieru po prawej stronie — papieru, który jeszcze przez maszynę tego dnia przejść musiał, złościłem się na każdą przeszkodę, co mnie zmuszała do uważniejszego traktowania klekoczącej maszynki.

Maszynka wysoka była dwie trzecie metra, szerokość jej była znacznie mniejszą — nie więcej nad trzecią część metra. Z łatwością więc wchodziła do niskiej szafki, której ścianki mogły być wyjmowane przy robocie i wkładane po skończeniu pracy. Jeden człowiek nie mógł podnieść maszynki i w razie konieczności przenoszenia jej z miejsca na miejsce, trzeba było do niej dwóch ludzi. Gdy zaś był przy niej tylko jeden człowiek, musiał ją przesuwac, podnosząc z kolei to jeden, to drugi koniec maszynki. Przy przenosinach i przewożeniu z mieszkania do mieszkania, lub zmiany miasta, maszynkę rozbiierano na części, różnej wielkości — największą była podstawa, ważąca połowę wagi całej maszynki — pakowano do koszu, zapelniano puste miejsca sianem lub pościelą i jazda w świat.

Maszynka, która ze swej paszczy wyrzuciła przed aresztowaniem setki tysięcy różnych wydawnictw, która przez dłuższy czas stanowiła cel poszukiwań ogromnej zgrai szpiegów i żandarmów, której dłuższe istnienie było naigrawaniem się z potęgi rządu carskiego — maszynka stała zupełnie odkryta na swej zwykłej podstawie, z pierwszą stroną 36-go numeru w swej ramie, gdy w noc lutową wpadli do nas żandarmi. Oglądano ją z pewnem podziwem i szacunkiem. Szpicle z ciekawością dotykali się żelaza, dziwiąc się, że taka drobnostka tak duże znaczenie mieć może. Odbito na papierze stronę zabita w ramy. Podpułkownik Gnoiński

przeczytał półgłosem, dyktując protokół rewizyi.

— Trzydziesty szósty numer „Robotnika“, data dwudziesty piąty luty. Artykuł wstępny „Tryumf swobody słowa“.

„Orłow, szef żandarmów „żandarma Euro-py“, Mikołaja I, odprowadzając razu pewnego swego znajomego, odjeżdżającego za granicę, prosił go o załatwienie tam małego intresu. Gdy będziesz pan w Norymberdze — mówił mu — zajdź pan pod pomnik Gutenberga, wynalazcy druku, i pluń mu pan odemnie w oczy. Od niego całe zło na świecie pochodzi!“

— Wot wam i Gutienberg! — zwrócił się do mnie podpułkownik z sarkastycznym uśmiechem, wskazując na otaczających mnie i żonę policyantów. — Da, kak widitie, ot niewo wsio zło!

Artykuł wstępny traktował o zniesieniu w Austrii stempla dziennikarskiego i o zamiarze naszych towarzyszków w Galicyi wydawania codziennego pisma „Naprzód“. Tam był tryumf, tu porażka swobody słowa, po-hańbienie wielkiego wynalazku Gutenberga.

Przyznam się, że pomimo wielu nieweso-łych chwil, spędzonych przy maszynce, po-mimo, iż nieraz wściekałem się na nią przy robocie, wymyślając jej od „starego klekota“, „głupiego bydlęcia“ i „cholery“, ścisnęło mi się serce, gdy m tę „cholere“ zobaczył w plu-gawych łapach szpicli w chwili przenoszenia jej z szafy do kosza. Gdy na kosz Gnoński kładł pieczęcie, stałem zgryziony, jak gdyby

zapadało wieko trumny nad kimś blizkim, serdecznie kochanym. Tyle nadziei, tyle miłości, tyle poświęcenia było związane z tym kawałkiem żelaza, skazanym oto na milczenie i bezczynność!

Wybaczą mi czytelnicy liryczne odstępianie od rzeczy. Jestem przekonany, że wyraziłem w niem nie swoje jedynie uczucie, uczucie człowieka, który z tą maszynką splótł swe losu. Takimi uczuciami był przejęty i niejeden ze stałych czytelników „Robotnika“, gdy go doszła wieść o wzięciu przez żandarmów drukarni. Opowiadano mi, że niektórzy robotnicy rzewnemi łzami oplakiwali stratę partyjną, że powszechnie wiadomość o łódzkiej katastrofie sprawiała wstrząsające wrażenie.

Oprócz składania i odbijania druków na maszynie, mieliśmy jeszcze jedną techniczną robotę — obcinanie papieru. Arkusik papieru zwykłego jest za długim dla formatu „Robotnika“. Trzeba go skrócić. Przy biciu odezwy trzeba również dopasować papier do wielkości odezwy. Robota to przykra, gdy się ją wykonywa zwykłym nożem. Karolek po niej zawsze miał spuchniętą rękę i pokaleczone palce. W dodatku jako odpadek od tej roboty pozostawały obrzynki papieru w ogromnej ilości. Chowaliśmy je na razie do kosza. Następnie zaś korzystaliśmy z każdej okazji, by je zniszczyć — spalić w piecu. Specjalnie w tym celu kazaliśmy palić w piecach wieczorami, gdy łatwiej było uniknąć oka służącej.

Wówczas z kosza wyciągało się kupe obrzynków i pakowało się je do pieca. Naturalnie, korekty, rękopisy zużytkowane i wszelkie niepotrzebne papierki niszczyliśmy natychmiast. Codzień wieczorem przed zejściem z roboty i rano przed jej rozpoczęciem oglądaliśmy wszystkie kąty drukarni, czy niema gdzie zapomnianego papieru lub czcionki, czy nie została gdzie plama od farby lub oliwy.

Przechodząc teraz do roboty redaktorskiej, zauważę przedewszystkiem, że wątpię, by był jakikolwiek redaktor na świecie, który w takiej jest zależności od zecera i techniki, jak redaktor „Robotnika“. Robota nad numerem zaczyna się od środka — zwykle od działu: korespondencye. Nie można inaczej postąpić, bo przecie robota ma trwać parę tygodni, mogą zajść różne wypadki, wymagające wypowiedzenia się pisma albo w artykułach, albo w kronice, kończącej numer. Odbija się stronę jedną w ciągu dnia i, rzecz prosta, z tego, co już jest wydrukowane, nie podobna nic wyrzucić, choćby nadeszły świeże, większego znaczenia dane. Następnie wobec braku czcionek i sił technicznych wciąż trzeba się liczyć z czasem zecera, pisać to, co on w obecnej chwili składać może.

Wreszcie przekłeta robota dopasowywania swej myśli do tej lub owej szpalty, do tej lub owej przestrzeni na papierze, pozostawionej do druku. Oto napisałem wstępny artykuł, do którego od środka zbliżyła się robota. Napisałem go, wkładając weń wszystko, co leżało na dnie duszy, myśląc wobec braku

miejsca nad każdym słowem, dopasowując je do duszy i myśli przyszłego czytelnika. Następne artykuły już są wydrukowane, zecer składa i oblicza. Już złożył trzy czwarte wstępnego, gdy po obliczeniu wypada, że artykuł jest o ośm lub dziesięć wierszy za długi. Kładź go na łożo Prokrusta, doszukuj się słów zbytecznych, możliwych do wyrzucenia bez zmiany sensu, bez nadwreżenia treści.

Albo na przykład, co się nieraz przy petitowych stronicach zdarzało. Jedna strona petitowa odbija się, drugą Karolek składa. Pod wieczór oświadcza mi, że mu zabrakło litery „r“.

— Wiecie — odzywa się do mnie — możebyście mi z parę tych „r“ wyrzucili z rękopisu, będzie z tem mniej kłopotu, niż przy jutrzejszej korekcie.

Materyału do teki redaktora napływa dosyć dużo, lecz przeważnie jest to materyał do działu: korespondencye. Tych jest mnóstwo. Można by niemi cztery takie numery zapełnić i jeszcze zostałyby trochę do piątego. Pisane ręką najczęściej niewprawną, nieraz bez ładu i składu, przeważnie rozwlekle, zawierają one skargi i bóle tysięcy ludzi, którzy szukają dla nich ujścia w swem skromnem piśmie. Szare to, monotonne, jak nędma ludzka; gdzieniegdzie przebija szczery humor, wzrok się zatrzyma na dosadnem, ludowem określeniu, które skwapliwie redaktor podkreśla czerwonym ołówkiem, by je zachować, jak perłę, w piśmie. Znowu notatka,

spieszną, wprawną ręką skreślona, na marginesie:

Proszę o zamieszczenie, potrzebna w robocie!

To któryś z menerów, prowadzących robotę, notuje tak korespondencję. Widocznie świeży stosunek lub ma tam nastąpić strejk, czy inne wystąpienie. Odkładasz tę korespondencję na stronę.

Gdzieindziej znowu naiwne zakończenie korespondencji: „Przepraszam redakcję za styl, ale proszę wydrukować, dużo u nas ciemnych, może ich oświeci“. To agitator fabryczny lub warsztatowy, biedzący się gdzieś wśród otoczenia biernych, mało mu współczujących ludzi, prosi o pomoc słowa drukowanego.

Przeczytujesz te dokumenty, wsłuchujesz się w to pasmo jęków i skarg. Umieścić wszystkiego nie można. Wiesz dobrze, że korespondencya, o ile jest czytana chciwie przez robotników fabryki, która tam jest opisana, o tyle nie wzbudza żadnej prawie ciekawości w reszcie czytelników. Wybierając z pomiędzy mnóstwa korespondencji część — resztę usuwasz na bok. Teraz trzeba te korespondencje przerobić, skrócić, lecz skrócić tak, by zachować w jakikolwiek sposób piękno duchowe, wyciśnięte na niej przez autora. Doszukujesz zsię więc w korespondencji jakichkolwiek określeń, frazesów, słów charakterystycznych, by je zachować w druku.

Wreszcie dział „korespondencje“ skończony. Nowy kłopot z kroniką i artykułami.

Pismo ma charakter pisma codziennego, a zarazem wychodzi rzadko, raz na miesiąc, albo i rzadziej. Proszę w dziesięciu stronicach zmieścić miesięczne albo dwu-miesięczne wypadki, proszę wśród tej mnogości zatrzymać się na jednych, odrzucić inne, proszę wynaleźć tematy dla artykułów, tematy o tyle żywotne, o tyle będące na czasie, by z pisma, a raczej numeru, zrobiły organ żywy, odpowiadający nastrojowi i potrzebom chwili. Nie wiem, jak inni redaktorowie, lecz ja nieraz suszyłem sobie głowę nad tem wszystkim, nieraz z jednego kłopotu, polegającego na tem, że niema o czem pisać, niema tematów, przechodziłem do drugiego — *embaras de richesse* tematów i zagadnień. W dodatku cała robota redaktorska prowadzona jest urywkami, obok codziennej, cztero- lub pięcio-godzinnej pracy przy maszynie, która to robota z powodów konspiracyjnych i technicznych jest główną, dominującą przy rozkładzie pracy.

Lecz wreszcie robota nad numerem ma się ku końcowi. Znamionuje ten upragniony koniec przybycie tak zwanych „ostatnich wiadomości“, dla których pozostawia się dwie stronice pisma, lub nawet, jeśli w czasie pracy nad numerem był jaki przypływ danych ze świata partyjnego, jedna ostatnia stronica. Dla dostarczenia ostatnich wiadomości posyła się któregoś z towarzyszków do drukarni, albo też jeden z pracujących w niej wyruszyć musi po nie. Następuje uroczysta chwila, gdy ostatnia strona idzie pod prasę.

Wyteżona kilkotygodniowa praca skończona. Za kilka godzin świeży pocisk rewolucyjny wyruszy w świat, by poruszyć żywiej serca tysięcy wiernych towarzyszków pracy, budzić śpiących, pokrzepiać strudzonych, złożyć raz jeszcze świadectwo niespożytej energii ruchu, uragającego w żywe oczy piekielnej potędze cara i sług jego.

Nastrój wśród pracowników jest dobroduszny, nieco podniecony i gorączkowy. Zmęczenie i kłopoty są zapomniane. W pokoju brzmi śmiech, padają z ust żarty i dowcipy. Ile to razy chciało mi się sfotografować pracowników drukarnianych właśnie w tej radosnej chwili, gdy robota jest na ukończeniu.

Na biurku, z którego usunięto wszystko, leżą dwie duże kupy zadrukowanego papieru. Są to arkusiki, zawierające po cztery stronicie „Robotnika“. Trzecia kupa leży na stole obok maszynki, świeci ona jedną białą stronicą — ostatnią, mającą pójść w tym numerze pod prasę. Jeden z nas staje do bicia. Oto rozlega się suchy szelest papieru, lekkie skrzypnięcie maszynki, arkusik wyskoczył z paszczy. Drugi z nas ze złożonemi już dwoma innymi arkusikami czeka. Oto ostatni arkusik już dopasowany i pierwszy egzemplarz nowego numeru gotów. Takim pójdzie w świat.

Robota na chwilę się przerywa. Oglądamy numer tak, jak gdybyśmy nie widzieli już dziesięć razy każdej literki, z których on się składa. W całości jednak to inaczej wygląda. Zapalamy papierosa, przerzucamy stronicę,

dyskutujemy nad wrażeniem, jakie ta lub owa część numeru wywołać może, omawiamy techniczne braki.

— Cholera! — wołam, spostrzegając błąd korektorski — że też wy, Karolku, tak często te „e“ do góry nogami przewracacie. Żleście studyowali zecerkę, moi drodzy! Jeżeli tak było z waszemi studyami nad przyrodą, to dyabła warta wasza nauka.

— No, no! — śmieje się basem Karolek — to już rzecz korektora, pewnieście to „e“ przegapili. To się wam zdarza! Wogóle fu-szer z was — odcina się — o! patrzcie na siódmej stronicy, jak rozlany jest petit, pewnieście według swego zwyczaju machnęli za dużo farby!

Oglądamy ową nieszczęsną siódmą stronicę. W istocie, za dużo było farby. Pocieszamy siebie tem, że te braki techniczne są niezbitym dowodem produkcyi krajowej, która przecie zawsze jest niższą od zagranicznej pod względem wykonania.

— Oddamy te pięćdziesiąt egzemplarzy z powalaną stronicą do Warszawy — proponuje Karol — tam ludzie są wprawniejsi do czytania, niż na prowincyi.

— Albo — dodaję — wyszlemy te egzemplarze za granicę. Niech zagraniczni studenci psują sobie oczy.

— Ale my tu gadu, gadu — woła Karol — a pociąg na nas czekać nie będzie. Data już wydrukowana, cofać się niepodobna.

Po chwili słyhać znowu miarowy szelest

papiern i lekki zgrzyt żelaza, kupka papieru po lewej stronie maszyny, papieru w całości już pokrytego czarnymi, świecącymi jeszcze od farby punkcikami, zwiększa się coraz bardziej.

— Można już falcować! — mówi Karolek — nadążę z biciem.

Z biurka biorę notatki, porównywan z innymi. W notatkach jest oznaczona ilość egzemplarzy, wymaganych przez poszczególne organizacje lokalne. Lwią część, bo więcej niż trzecią, zabiera Warszawa, serce i przódłownik kraju. Dalej idzie Łódź, Zagłębie, Wilno i inne punkty, objęte ruchem, gdzie dziesiątki i setki ludzi z niecierpliwością wygląda świeżego zwiastuna uporczywej walki o swobodę i szczęście. Kładę skorygowaną ostatecznie notatkę przed sobą, zabieram kupkę odbitego ostatniego arkusika i zaczynam falcować.

Raz, dwa, trzy — trzy arkusiki trzymam w rękę, wstrząsam nimi, równam i wreszcie załamuję przez pół, przyciskam palcem; rozczłonkowany dotąd numer, zbity w jedną całość, pada na podłogę. Za nim drugi, trzeci. Kupa na podłodze rośnie z każdą chwilą. Pracujemy jednak nie w milczeniu. Radość z powodu zakończenia pracy nie pozwala milczeć. Raz po raz zagląda do pokoju żona i paru urywanymi słowami bierze udział w naszej uroczystości. I dla niej praca, wyczerpująca jej nerwy, praca pilnowania służącej kończy się dzisiaj. Wszyscy promieniejemy z radości.

Mąci nieco radość konieczność pośpiechu.

Trzeba zdążyć na pociąg, na określoną godzinę, bo już wszystko w Warszawie jest umówione. W oznaczonym z góry terminie „Robotnik“ musi być dostarczony na umówione miejsce, skąd w tej samej chwili częściami będzie wyniesiony do ludzi już przygotowanych do tej chwili, ludzi, którzy tegoż dnia rozdadzą go pierwszym odbiorcom pisma. Opóźniać się więc nie można bez naruszenia sprawności całej maszyneryi kolporterskiej.

Raz po raz któryś z nas spogląda na zegarek, mrużąc: „Czy zdążymy?“

— Dla Warszawy egzemplarze już gotowe — odzywam się, oglądając ogromną kupę papieru, leżącą obok krzesła. — Czy nie za ciężka będzie walizka z tą masą bibuły? Trzeba spróbować.

Walizka, wyciągnięta na środek pokoju, otwarta. Układam po 50 egzemplarzy, oddzielając jedną kupkę od drugiej wąskim paskiem papieru. Tam przy podziale bibuły ludzie muszą się śpieszyć, trzeba im ułatwić robotę. Podnosimy wreszcie walizkę, oceniając jej wagę. Prowadzimy spór o to, czy można jeszcze cokolwiek dołożyć do niej.

Przy obiedzie umawiamy się o przyzwoite obstawienie wyjazdu. Służąca musi być usunięta z mieszkania na tę chwilę, lub też żona musi pójść do kuchni i zająć ją przez czas wynoszenia pakunków. Mówiliśmy o sprawach, które wyjeżdżający załatwić musi. Wyjeżdżającego ogarnia stopniowo Reisefieber, odczuwa on obok pewnego niepokoju o po-

wodzenie zbliżającej się podróży, przyjemność wyjścia na świeże powietrze, pozbycia się na czas pewien kłopotu i obowiązków, związanych z drukarnią.

Wreszcie wszystko zapakowane, ułożone. Ubieramy się szybko, bierzemy w ręce pakunki i świeży numer „Robotnika“ opuszcza drukarnię, puszczając się na niepewną podróż do rąk stałych odbiorców pisma. Chwila pożegnania, zaturkotały koła dorożki. Jeden z nas powraca do domu z lekkim niepokojem w sercu, drugi trochę wzruszony dumą w dorożce nad przejściem przez dworzec wiedeński w Warszawie, dworzec mocno obsadzony szpiclami i „zielonymi“ dozorcami.

* * *

Oto, jak wyglądała nasza drukarnia w Łodzi. Tak samo mniej więcej muszą i musiały wyglądać drukarnie z czasów przed-łódzkich i po niej. Główna różnica polega nie na zewnętrznym wyglądzie, lecz na osobach. W łódzkiej pracował Józef i Karol (który zresztą na chrzcie świętym otrzymał imię Kazimierza), w innej jacyś iksy i igreki, z innemi nieco zaletami i wadami, którzy zależnie od swej psychiki, oraz warunków mieszkania i miasta potworzą sobie inne, odmienne prawidełka postępowania, inny rozkład pracy.

Opowiadano mi naprzykład o jednym z redaktorów „Robotnika“, który był spokojnym tylko wówczas, gdy okno parterowego mieszkania było zamknięte. Z chwilą, gdy dla

przewietrzenia lokalu otwarto okno, kręcił się niespokojnie po pokoju, przypinając opuszczone story tak, by jak najszczelniej przylegały do ramy okna. Zwykł był wówczas powtarzać:

— Jeżeli nas co zgubi, to świeże powietrze. Jestem tego pewien!

Albo też wpadał na myśl, że gdy zapałka błysnie w pokoju w czasie roboty, przechodnie z chodników mogą dojrzeć wewnątrz pokoju z maszynką drukarską, wyciągniętą do roboty z szafy. Dla zapalenia więc papierosa wychodził do drugiego pokoju lub usuwał się za szafę. Gdy zaś kto wbrew zakazowi zapalał zapałkę bez żadnej ostrożności, strofował go.

— Nie rób iluminacyi! — odzywał się ostro.

O innym towarzyszu, zajętym w drukarni, opowiadano mi, że nie znosił, by na oknie leżała jaka drukowana książka. Żartowano z niego, że gwałtownie pożąda, by go otoczenie posądziło o analfabetyzm, lecz on niezrażony usuwał starannie każdy druk z okna, mówiąc na usprawiedliwienie:

— To jest konieczne! W ten sposób przyzwyczajam siebie i innych — tym „innym“ był naturalnie jego mniej porządkny i systematyczny współpracownik — do porządku. Dziś zostawi się na oknie jakiś druk legalny, a jutro się zauważy, gdy tam leżeć będzie numer „Robotnika“ lub odezwa.

Inny znowu utworzył jakoby cały złożony system wieszania odzienia i ręczników w różnych miejscach, system, mający ubezpieczać i osłaniać maszynkę i zecera od możliwych

spojrzeń z ulicy do pokoju. System polegał na tem, że wzrok przechodnia, rzucony wypadkowo na mieszkanie, zajęte na drukarnię, spotykał wszędzie jakąś naturalną i niewracającą uwagi zaporę.

Co do mnie osobiście, to wyznam, że wątpię, by te prawidełka miały rację bytu, by się przyczyniały do zabezpieczenia drukarni. Widzę w nich jedynie zupełnie zrozumiały wytwór niepokoju tego lub owego towarzysza, niepokoju, który szuka jakiegoś ujścia, jakiejś roboty w celu usunięcia jego. Walka z „iluminacją“, lub coś podobnego, jest tem ujściem, tą robotą — uspokaja nerwy, daje pozór czynnego usuwania niebezpieczeństwa, wiszącego ustawicznie nad głową towarzyszy, pracujących w drukarni.

Ta świadomość niebezpieczeństwa, wraz z bezsilnością wobec niego, oraz poczuciem odpowiedzialności, leżącej na towarzyszach, pracujących przy drukarni, stanowi ogromnie ciężką, wyczerpującą nerwy, stronę życia drukarnianego. Przy opisie biur transportowych zauważyłem, że stanowisko to należy do najtrudniejszych i najbardziej męczących w partyi. Uogólniając to założenie, zastosować je należy do wszystkich „interesów“ partyjnych: biur transportowych, druków, składów.

Wtedy gdy towarzysze, zajęci agitacją i robotą organizatorską, tworzą w wielkim stopniu te warunki, wśród których pracują, biorą żywy udział w życiu, mają wrażenia i przyjemność czynnego życia — towarzysze, zajęci w „interesach“ partyjnych, zależni są od

pracy tamtych, przygwożdżeni są do tego lub owego miejsca, lub mieszkania, skazani na brak wrażeń i towarzystwa, na monotonne życie i bezsilne oczekiwanie mogącego spaść na ich głowy piorunu w postaci najścia żandarmów. Spróbowałem tego życia i muszę wyznać, że nie uśmiechałoby mi się wcale przykucie siebie do taczki tego lub owego „technicznego interesu“ P. P. S.

Z powyższego opisu drukarni łódzkiej widocznem jest, jak mało samo urządzenie drukarni ma „romantycznych“ szczegółów, jak prostem i zwyczajnem jest ono. Każde nledwie mieszkanie, trochę zabezpieczone od ciekawości otoczenia, może służyć jako lokal dla drukarni. Trochę pozorów, przystosowanych do miejsca, wybranego jako locum dla drukarni, wystarcza, by wśród ludzi, zajętych przeważnie swoimi interesami, ukryć istotny cel zamieszkania tego lub owego towarzysza. Jak najmniej tajemniczości, jak najwięcej pozorów zwykłego filisterskiego życia — oto zasada konspiracyjna, najbardziej zabezpieczająca drukarnię.

W tak zabezpieczonem mieszkaniu, mając odpowiednią maszynkę, możnaby wydrukować całe mnóstwo rzeczy, całe góry bibuły. Ograniczenia wytwórczości pochodzą przeważnie nie z wewnętrznych przyczyn, lecz z zewnętrznych — z konieczności ograniczania stosunków ze światem po za drukarnią. Te właśnie stosunki, o których przeważnie ludzie, starający się wyobrazić sobie tajną drukarnię, nie myślą wcale, te stosunki są najpo-

ważniejszą przeszkodą produkcji i najbardziej zarazem niebezpieczną rzeczą dla wydawniczego „interesu“ partyi.

Niektóre stosunki są integralną częścią samej produkcji — jak na przykład dostarczenie papieru i farby drukarskiej. Inne zaś są koniecznem dopełnieniem drukarni, stanowiącem o celowości jej istnienia — są niemi stosunki ze światem partyjnym, otrzymywanie materyałów, danych i wskazówek dla redaktora oraz wywóz z drukarni wyprodukowanej przez nią bibuły.

Farbę sprowadza się z zagranicy lub też zdobywa się przez stosunki partyjne w tem, czy innem miejscu. W tym więc wypadku w dostarczaniu farby drukarnia jest zależna od towarzyszków, zajętych przy innej pracy i otrzymuje ją przy okazji razem z innymi rzeczami, dostarczonymi do drukarni. Lecz papier prawie wyłącznie jest kłopotem towarzyszków drukarnianych. I kłopot to nielada.

Zdawałoby się, cóż łatwiejszego? Pójść do sklepu, zamówić potrzebną ilość, wziąć na dorózkę i dowieźć do drukarni. Ba! przede wszystkim papieru tego zużywa się w drukarni dosyć dużo. Każde większe zamówienie zwraca uwagę kupca, chociażby dla tego, że jest to interes korzystny dla kupca, chcącego naturalnie zatrzymać dla siebie nowego klienta. Stąd przy większych zakupach naturalna ciekawość kupca. Przy pierwszym kupnie papieru w Łodzi, gdyśmy z Karolkiem wybierali papier, najodpowiedniejszy ze wzglę-

du na format, grubość i cenę dla naszej produkcji, usłyszeliśmy od sprzedającego mocno przykre dla nas pytanie:

— Państwo mają drukarnię? — pytał z miłym, ujmującym uśmiechem kupiec.

Co do mnie gotów byłem za to pytanie huknąć w kark pana kupca. Bo przecie pytanie, chociażby najgłupsze, wymaga odpowiedzi.

— Drukarnię? — odparłem. — Skąd znowu! Nie stać nas na to. Mamy sklep w Tomaszowie, proszę pana.

Wątpię, by odpowiedź bardzo zadowoliła interpelanta, który prawdopodobnie lepiej, niż ja, znał okoliczne sklepy i sklepiki z papierem.

Zresztą unikałem w ten sposób innej, również krępującej propozycji, z jaką się zwykle zwracają do zakupujących większą ilość towaru.

— Gdzie pan każe odesłać? — pyta grzecznie kupiec z zadowoleniem i szacunkiem, oglądając solidnego klienta.

Niech ich dyabli porwą z tą grzecznością! Wykręcaj się znowu, znajduj jakąś głupią wymówkę.

To kupowanie papieru, to jedna z najprzykrzejszych funkcji w drukarni. Z prawdziwą rozkoszą i przyjemnością patrzy w tem położeniu człowiek na kupca obojętnego, nie nadskakującego, nawet gburowatego.

I oto zbieraj papier, potrzebny dla produkcji, stopniowo, częściami, kalkuluj, czy niezbyt często się zachodziło do tego lub

owego sklepu, zbieraj dane o sprzedaży papieru w mieście, ściągaj nawet papier z miast innych. Licz się następnie z tem, że częste przywożenie pakunków do mieszkania nie należy również do rzeczy konspiracyjnych, że zwrócić to może uwagę otoczenia, zmusić do myślenia stróża, stójkowego, stojącego w pobliżu, służącej z sąsiedniego mieszkania, ciekawszego lokatora itd.

Znacznie przyjemniejsze są stosunki drukarnianych towarzyszków ze światem partyjnym. Stojąc zdaleka od wiru życia partyjnego, będąc przykuci do monotonnej, nużącej pracy, tęsknią oni zawsze do jakiejkolwiek wiadomości o ludziach im blizkich, walczących pod jednym z nimi sztandarem. Każde zetknięcie się z tym światem partyjnym, czy to będzie przyjazd którego z towarzyszków do drukarni, czy też odwrotnie wyjazd którego z więźniów drukarnianych w świat — stanowi swego rodzaju uroczystość. Informacje otrzymane zawsze wydają się zbyt skąpe, rozmowy zbyt urwanemi, dane zbyt niedostatecznymi — tak mało odpowiadają one długim oczekiwaniom.

Głównie zżyma się przy tych zetknięciach się z ludźmi partyi — redaktor. Miał on tyśiące wątpliwości przy pisaniu i teraz wymaga rozstrzygnięcia ich.

— Wydaliście odezwę do robotników takiej i takiej fabryki — mówi — dobrze, ja o tem muszę napisać. Lecz, u licha, nic nie wiem dotąd, jaki był skutek odezwy!

Albo też przerzucając dostarczone mu wydawnictwa, ze złością mówi:

— Znowu niema niemieckich wydawnictw. Chcecie, żebym zidyociał w tej dziurze. Nie wymagajcie odemnie mądrych artykułów, jeśli nie umiecie dbać o moją mądrość.

Zarzuca pytaniami, jakie wrażenie ta lub owa część numeru wywarła, co o numerze mówili itd.

Niestety, pretensye redaktora są zbyt często zupełnie uzasadnione. Przekłete warunki życia pod batem moskiewskim nie pozwalają na urządzenie porządnego informowania redaktora pisma partyjnego, a niepodobieństwo utrzymywania częstych stosunków z drukarnią uniemożliwia ściśle pożycie jego z ruchem partyjnym.

Te stosunki ze światem partyjnym, chociaż z natury rzeczy rzadkie, stanowią zarazem najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla drukarni. Każdy z ludzi partyjnych może przyjść do drukarni, nie będąc „czystym“ — jak określa techniczne słowo ludzi, nie mających za sobą ogona w postaci szpiega. Również i towarzysze drukarniani mogą przy wyjazdach „zabrudzić się“. ocierając się o „brudne“ stosunki i „nieczystych“ towarzyszków.

Naturalnie niebezpieczeństwo stosunków drukarni ze światem partyjnym stawia poważną tamę produktyjności drukarni. Niema sensu produkować, gdy towar z fabryki nie może być zabrany. I w tym właśnie kierunku jest zwrócony cały wysiłek maszyneryi

organizacyi, chcącej zwiększyć produkcję swej fabryki bibuły krajowej.

Oprócz większych drukarni bywają urządzane mniejsze, podręczne, przeznaczone dla załatwiania spraw, wymagających szybkości. Do takich właśnie należała odkryta w tym roku drukarenka w Brześciu. Pod względem technicznym stoją one na poziomie przed P. P. S-owego okresu, chociaż przy energii techników rozwijają niekiedy zdumiewającą czynność.

Jak mnie zapewniano, jedna z nich w przeciągu dwóch miesięcy wydała 29.000 egzemplarzy odezw rozmaitych.

Z jakimi trudnościami mają nieraz do walczenia towarzysze, pracujący w takich drukarniach, sądzić można z faktu następującego.

Gdy partya postanowiła wydawać odezwy żydowskie, sprowadzono trochę czcionek odpowiednich. Na razie jednak nie miano zecera, znającego żargon, a akurat wypadła potrzeba wydania odezwy żargonowej. Myślano długo, jak załatwić ten interes. Wreszcie jeden z towarzyszków wpadł na taki pomysł.

Kupiono alfabet żargonowy i pod każdą literą postawiono odpowiednią literę łacińską. Autor odezwy, napisawszy ją w żargonie, przepisał ją literami łacińskimi, zgodnemi z powyższym alfabetem. Biedny zecer, który nigdy dotąd nie widział dziwacznych literk żargonowych, nie przyzwyczajony do odwrotnego składania, kładł do winkła literkę obok literki, nie rozumiejąc zupełnie, co robi. Na-

gle ku wielkiemu zdumieniu zabrakło mu litery „e”. Zdawało mu się, że cała sprawa jest na nic. Na szczęście, miano do czynienia z tak dziwnym językiem, jak żargon. Gdy w kłopotcie zwrócono się znowu do autora odezwy, ten przejrzał raz jeszcze rękopis, wykreślił w niektórych miejscach nieszczęsną literę „e”, zastępując ją jakąś inną i ułożył odezwę tak, by tego „e” wystarczyło na całość.

Z polskimi odezwaniami, naturalnie, tak gładko załatwić się nie można. Trzeba nieraz uciekać się do różnych środeczków zecerskich: przerabiać „é”, „ñ” na „e” i „n”, fuszerować, dobierając litery z innego pisma. Widziałem nawet odezwę, z której połowa była złożona jednym pismem, druga zaś część innem. Wielu z czytelników sfuszerowanej odezwy wzrusza zapewne ramionami z powodu takiej drobnostki. Lecz ja pomimo woli obok jakiejś skaleczonej litery, obok fuszerki, dostrzegam zakłopotaną, zbiedzoną twarz towarzysza, pracującego z mieczem damoklesowym nad głową w jakiejś izdebce, gdy sięgając po czcionkę do którejkolwiek przedziałki naprędce skleconej kaszty, wyczuje pod palcami pustkę. Trzeba przerwać robotę, obmyśleć sposób wyjścia, zaradzić brakowi. A tu z robotą spieszyć należy, bo odezwa spóźnić się nie może, termin odebrania jej z drukarni już jest umówiony, na określony już czas przygotowani są towarzysze, którzy odezwę rozpowszechnią.

Kończąc rozdział o drukarniach, chcę z pra-

wdziwą przyjemnością zaznaczyć, że od czasu Łodzi technika drukarska zrobiła krok naprzód. Gdy przeglądam obecne numery „Robotnika“, widzę, że znacznie mniej w nim cech „krajowej“ produkcji, niż dawniej. Mniej jest zabrudzonych i bladych, jak twarz suchotnika, stronic, mniej fuszerek w odbijaniu. Jak mnie zapewniano, pochodzi to głównie z tej przyczyny, że obecnie użyta jest do roboty maszynka innego systemu, pozwalająca na zastosowanie większej presyi. Oprócz tego, od jubileuszowego — 50-tego — numeru „Robotnika“ zwiększył znacznie swój format. Do każdego numeru dodano nieledwie cztery strony dawnego formatu, więc zwiększono go o trzecią część.

W tym czasie zaszła też inna, głębszego znaczenia, zmiana w sprawie drukarni tajnych. Dopóki drukarnia nie przeszła przez próbę ogniową aresztowania, dopóty była ona centralnym punktem życia partyjnego, dopóty istniała wieczna wątpliwość, czy w razie nieszczęścia partya będzie w stanie zapełnić lukę, dopóty wreszcie była ona szczególnym celem dla żandarmeryi i jej agentów. Do katastrofy łódzkiej drukarnia, gęstymi zasłonami tajemnicy otoczona, była dla ludzi rewolucyjnie usposobionych czemś cudownem, czemś romantycznem, nimbem okolonem, wyglądała jak mityczna forteca, znikająca z oczu szturmującego do niej wroga.

Lecz oto przyszła lutowa katastrofa — drukarnię aresztowano, wstępnym bojem zdobyto tajemniczą fortecę. Nie minęło jednak i dwóch

miesiące, a partya z podziwu godną energią puściła w obieg świeży numer, a po pewnym czasie, koniecznym dla dopasowania maszyneryi organizacyjnej do nowych warunków, „Robotnik“ zaczął się okazywać równie perydycznie i spokojnie, jak dawniej. To, co przed ośmiu laty uznanem było jako nadzwyczaj śmiałe, „romantyczne“ przedsięwzięcie, to czego się obawiały „pozytywne“ umysły, okazało się wcale nie tak trudnem i nie tak straszem. Partya, pod względem drukarnianym, przeszła względnie łatwo przez chrzest ogniowy.

Fakt ten wpłynął na spowszednienie wyjątkowego, podziwianego niegdyś zjawiska. Ludzie się doń przyzwyczaili, uważając za zupełnie normalną rzecz, by od czasu do czasu widziano numer „Robotnika“ z nieobeschłą jeszcze farbą drukarską, by w chwili odpowiedniej pojawiały się odezwy z podpisami centralnego lub lokalnego robotniczego komitetu. Ba! dają się coraz częściej słyszeć pretensye i skargi na to, iż „Robotnik“ za rzadko się ukazuje, a wymagania wydawania odezww mnożą się stale. To, co niedawno jeszcze było bohaterstwem „romantyków“ stało się zwyczajnym, szarym obowiązkiem, uznanym przez „najpozytywniejsze“ głowy.

Bez wątpienia przyzwyczaili się do produktów krajowej fabryki bibuły i żandarmi. Zwycięstwo, odniesione w lutym 1900 roku musiało grubo zmaleć w ich oczach, gdy skutki tego zwycięstwa okazały się tak dyabło małe. Sądząc z rozmów, które miałem

z panami rotmistrzami i podpułkownikami w cytadeli i więzieniu łódzkim, żandarmi mieli wysokie wyobrażenie o ciosie, przez nich partyi zadany. Sądząc zaś z zaprzestania taktyki dziwaczych polowań na drukarnię, jakie dawniej były na porządku dziennym, przypuścić należy, iż żandarmi w stosunku do drukarni przeszli również od „romantyzmu“ genialnych kombinacyj do szarej, pozytywnej pracy łapaczów.

Po sprawie łódzkiej tak wrogowie wolnego słowa i myśli, jak zarówno i przyjaciele, musieli się przekonać, że produkcyja krajowa bibuły nie jest wytworem fantazyi rewolucyjnej kilku jednostek, lecz głęboką potrzebą całego mnóstwa ludzi, potrzebą wymagającą zadowolenia. A wobec tego drukarnia ze sfery fantastycznych projektów narwańców rewolucyjnych przeszła w krainę szarej rzeczywistości, stała się jednym z kół szerokiego mechanizmu rewolucyjnego, kołem, mającym istotny sens jedynie wtedy, gdy swemi zębami zaczepiać może inne koła, stanowiąc część ogólnego systemu.



Cyrkulacya bibuły. Składy.

Bibuła, przetransportowana przez granicę, oraz wyprodukowana w drukarniach krajowych, musi być rozpowszechniona, w przeciwnym razie byłaby nieużytecznym balastem i ciężarem. Porównałem wyżej drukarnię do koła — części ogólnej maszyneryi organizacyjnej. To samo jest i z bibułą, sprowadzaną z za granicy. Żeby jedno i drugie miało sens, żeby nie było czemś w rodzaju sztuki dla sztuki, trzeba, by te koła były dopasowane do innych części maszyneryi, poruszały się zgodnie i harmonijnie. Tą resztą maszyneryi dla bibuły jest służba rozwozowa i kolporterka.

Kolporterka jest ostatnim aktem partyjnym w stosunku do tego lub owego egzemplarza bibuły. Jest ona częścią integralną agitacyi i czynności organizatorskich. Natomiast służba rozwozowa, dostarczanie większej ilości bibuły do tego lub owego centra organizacyi, stanowić musi część techniki, że się tak wyrażę, partyjnej.

Proszę sobie wyobrazić te stosy zadrukowanego papieru, wynoszącego rocznie do stu pudów wagi, proszę przedstawić sobie, że ten cały papier trzeba posegregować na gatunki i w rozmaitych ilościach każdego gatunku dostarczyć do dziesiątków punktów, posiadających rozmaite warunki komunikacyjne, ży-

ciowe i policyjne — a łatwo zrozumieć, że bez jakiegoś systemu, bez cieuią chociażby planu w robocie niepodobna spełnić takiej roboty. Dodajmy jeszcze, że organizacya dążyć musi do tego, by oręż agitacyjny, jakim jest bibuła wszelkiego rodzaju, był równomiernie w stosunkach partyjnych rozpowszechniony, by w dostarczaniu bibuły nie było przypadkowości, lecz przeciwnie panowała możliwa regularność maszynowa.

W europejskich stosunkach interes ten ułatwia się w sposób nadzwyczaj prosty. Pisma mają adresy swych abonentów lub kolporterów, istnieją księgarnie, należące do tej lub owej organizacyi i ułatwiające nabycie i rozpowszechnienie tego lub owego wydawnictwa. Do usług pism i księgarni otworem stoi poczta i instytucye przewozowe, jak koleje. Tam w zaborze rosyjskim ludzie bez tych rzeczy, do których każdy Europejczyk jest przyzwyczajony, obchodzić się muszą. Adresy przyjaciół, poczta, przesyłki kolejowe — to luksus, zbytek dla nich; więcej, to jest niebezpieczeństwo, okoliczność, ułatwiająca czynność barbarzyńskich prześladowców, ściągająca gromy na głowy tak nadawców, jak zarówno i odbiorców rzeczy, posyłanych legalną drogą.

Te braki kulturalne, z którymi organizacye rewolucyjne liczyć się muszą, wpływać muszą, rzecz prosta, na ogromne zmniejszenie ilości bibuły, kursującej w kraju, szczególnie zaś bibuły peryodycznie się ukazującej, która z natury rzeczy wymaga jakiej

takiej organizacji dla jej rozpowszechnienia. Przez granicę możnaby przetransportować mnóstwo książek, w tajnej drukarni możnaby odbić góry bibuły, lecz z chwilą, gdy w maszyneryi organizacyjnej, rozprzestrzeniającej bibułę w kraju, są braki, gdy nie jest ona dopasowaną do ilości wyprodukowanej bibuły, nie będzie ona spożyta, skonsumowana, gdyż najczęściej nie dojdzie do rąk tych, dla których jest przeznaczona.

Przedewszystkiem bibuła, jako rzecz martwa, lecz będąca ciałem fizycznym, posiadającym wagę i objętość, musi z centralnych punktów produkeyi — granic i drukarni — być przyniesioną lub przywiezioną do jakiegoś również materialnego punktu — mieszkania ludzkiego, mieszkania, z którem konsumenci bibuły w jakiś sposób muszą być związani. Te mieszkania w języku technicznym zowią się zajazdami i łatwo zrozumieć, że w każdym miejscu, w którym bibuła się rozchodzi, musi istnieć ten pierwszy punkt — zajazd, gdzie bibuła wraz z człowiekiem się zjawia. Zajazdy ze względu na uczucia człowieka, opiekuna przynoszonej lub przywożonej bibuły, dadzą się podzielić na przykre i przyjemne.

Przyjemnymi są te, gdzie człowieka i bibułę spotykają z otwartemi ramionami, gdzie są oni pożądanymi gośćmi, nie wzbudzającymi obawy. Są to przeważnie zajazdy do ludzi partyjnych. Zajeżdżającemu sprawia przyjemność ta właśnie okoliczność, że gospodarz mieszkania dzieli wraz z nim odpowiedzial-

ność zupełnie świadomie i traktuje wraz z za-
jeżdżającym bibułę i sprawę zajazdu jako
swój interes, nie narzucony mu ze strony.
Przykrymi są te, które się wyróżniają prze-
ciwnymi cechami, t. j. gdy przyjmujący bi-
bułę boją się, tchórzą i człowiek, przywożący
lub przynoszący bibułę, odczuwa, że odpowie-
dzialność cała za bezpieczeństwo interesu
spada na niego samego.

Jak łatwo zrozumieć, przyjemnych zaja-
zdów jest znacznie mniej, niż przykrych.
Niestety, wraz z przyjemnością zajazdu wzra-
sta i niebezpieczeństwo z nim związane. Im
bardziej człowiek jest partyjnym, związanym
z organizacją, im więcej nici łączy go z ru-
chem, tem bardziej prawdopodobnem jest, że
obok przygotowanego na przyjęcie bibuły za-
jazdu, stoi gdzie niepożądany „anioł stróż“,
„psycholog“, t. j. szpicel żandarmeryi. Stąd
przy poszukiwaniu zajazdów organizacja naj-
częściej się udaje na najdalsze peryferya ru-
chu, stara się wynaleźć punkty jak najmniej
z czynnem życiem organizacji związane.

Naturalnie, w wypadkach, gdy z powodu
wielkiego znaczenia danego punktu oparcia
dla bibuły — znaczenia czy to z racyi więk-
szej ilości niecenzuralnych wydawnictw, prze-
zeń przechodzących, czy też absolutnej ich
konieczności przy planowym rozkładzie pracy
rozwozowej — organizacja nieraz jest zmu-
szoną odsunąć pewną jednostkę lub grupę od
wszelkiej czynnej roboty, by w ten sposób
zabezpieczyć dostarczanie bibuły.

Punkty takie stają się częścią maszyneryi

rozwozowej, kółkami w ogólnym systemie — są to zajazdy ściśle partyjne, przy których ludzie bierną rolę zajazdowiczów łączą najczęściej z czynną rolą dystrybutorów bibuły. Wobec jednak kosztowności takiego urządzi-
nia, kosztowności nie tylko ze względu na pieniądze lecz i na siły, zużyte dla zorganizowania takich punktów, organizacja najczęściej zadawała się musi nielicznymi przyjemnymi i licznymi mniej lub więcej przykrymi zajazdami.

Liczba zajazdów przyjemnych zmniejsza się jeszcze bardziej wobec tego że, taki zajazd związany jest nieraz ze stykaniem się z osobami, nic wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mającymi. Oto, na przykład, syn lub córka, mieszkający przy rodzinie, udzielają swego mieszkania na zajazd. Może on być przyjemnym ze względu na szczere przywiązanie do sprawy części gospodarzy mieszkania, lecz nieprzyjemnym z powodu podejrzliwości, a nawet wyraźnej niechęci, reszty. Jak mi opowiadano, są zajazdy, gdzie żona w sekrecie od męża przyjmuje i przechowuje bibułę.

W takich wypadkach zastosować się trzeba ściśle do wskazówek, udzielonych przez przyjmujących bibułę. Trzeba się trzymać pewnych, z góry określonych godzin, trzeba nieraz kłamać i grać narzuconą sobie rolę, trzeba często podtrzymywać rozmowę o najrozmaitszych, nieraz zupełnie sobie nieznanych rzeczach i sprawach. Że nie należy to do przyjemnych rzeczy, że, przeciwnie, musi to nieraz męczyć takiego aktora z musu — łatwo to zrozumieć.

Nieraz taki nieszczęśliwy „aktor“ jednego dnia udaje kolegę syna technika i sam, będąc na przykład lekarzem, rozprawia o szkołach technicznych i nawet w razie potrzeby o różnych technicznych sprawach. na drugi dzień przygotować się musi do rozmowy o gospodarce wiejskiej, o której, jako mieszczuch najmniejszego wyobrażenia nie ma. I dobrze jest, jeśli go przynajmniej uprzedzą i dokładnie powiedzą, co właściwie myśli o nim ten lub ów niewtajemniczony członek rodziny. Najczęściej wprost zgadywać trzeba należyte odpowiedzi na zapytania, lub udawać mruka, człowieka nieumiejącego i trzech zliczyć. W każdym jednak razie najprzykrzejszym jest uczucie strachu u gospodarzy.

Jeden z towarzyszków, który miał sobie poruczone dostarczenie bibuły do pewnego miasta w Królestwie, tak opowiadał o swym „zajeździe“:

— W mieście N. N. stostunki nasze w tym czasie były strasznie zaszpiclowane i raz po raz zmieniano zajazdy, wyznaczając nowe, bezpieczniejsze. Zajazdy stawały się coraz przykrzejsze, coraz częściej spotykały mię wydłużone twarze i niechętnie spojrzenia.

Przyszedł jednak świeży numer „Robotnika“, trzeba było go dostarczyć i do N. N. Towarzysz, kierujący tam robotą, przy widzeniu się ze mną w Warszawie, powiedział mi na pożegnanie:

— Słuchajcie, teraz z żadnymi pakunkami do nas nie przyjeżdżajcie. Tylko na sobie! Przycisnęli nas tam ostro ze wszystkich stron,

Dawne adresy na nic. Dam wam nowy, ale uprzedzam, są to ludzie bardzo, bardzo tchórzliwi. Jak ten osioł, tyle ujedziesz, co ubijesz, co gwałtem wydusisz. Uprzedzicie mnie o dniu przyjazdu. Gdybym się nie zgłosił na randkę, będzie to oznaczało, że źle jest i zemną. Uprzedzę w każdym razie innego z naszych, by mnie w tym wypadku zastąpił. Noclegu tam u nas nie szukajcie. Klimat tam obecnie nie zupełnie zdrowy!

Zmarszczyłem się, gdym się dowiedział, że będę miał do czynienia z tchórzami. Mój towarzysz spostrzegł to.

— No! — dodał — nie podoba się wam taki interes!? Wierzę, ale co ja na to poradzę?

Więc po otrzymaniu „Robotnika“ opakowałem się nim jak osioł i wyprostowany, jakbym kij połknął, jazda do N. N.

Przyjeżdżam, oglądam dworzec — rzeczywiście dosyć brzydko wygląda. Ciemnych, podejrzanых figur na dworcu i przed nim dosyć dużo. Oglądają przyjezdnych najbezcelniej. Mnie nikt nie zaczepia, nikt za mną się nie poruszył. Walę na wskazany adres. Dzwonię. Otworzył mi drzwi młody, porządnie ubrany człowiek z semickimi rysami, który patrzy na mnie pytającemi oczami.

— Przepraszam pana — mówię — pan Z. polecił mi zejść do pana i poczekać na niego tutaj.

— Proszę, proszę — odzywa się mój amfitryon — niech pan wejdzie.

Ogląda mnie przytem podejrzliwie, a gdym

zdjął palto i wszedł do pokoju, pyta mnie nieśmiało.

— Pan od pana Z.? Pan Z. mnie uprzedzał, ale pan tylko czekać ma na niego? Czy jaki inny interes jest jeszcze?

Zawahałem się, czy mam powiedzieć o bibule, którą mam na sobie. Wreszcie postanowiłem zamilczeć i pozostawić tę sprawę do nadejścia Z., któremu, jako znajomemu, łatwiej przyjsć do porozumienia z gospodarzem.

— Pan dawno widział pana Z. — zapytałem.

Mój gospodarz zawahał się również chwilę, wreszcie przyciszonym głosem odpowiedział, że dzisiaj rano wpadł do niego Z. i uprzedził go o mojej wizycie.

— Ale — dodał — pan odemnie co zabierze?

Nie zrozumiałem zapytania, alem się przekonał, że dobrze postąpił nie mówiąc nic o bibule.

— Nie, proszę pana — odpowiedziałem — nie zabiorę nic.

Twarz mego gospodarza wydłużyła się nieco, lecz zostawił mię w spokoju. Z miną zagniewaną odszedł do drugiego pokoju, gdzie słyszał lekkie kobiece kroki i dźwięki szkła, stawianego na stole. Pora była wieczorna, po podróży w niewygodnej pozycji pić mi się chciało, ucieszyłem się więc nadzieją otrzymania herbaty.

Lecz mój gospodarz drzwi za sobą zamknął i wkrótce z dźwięków, dochodzących do mnie

z drugiego pokoju, musiałem wywnioskować, że spotka mię w tym wypadku zawód. Gospodarze, widocznie, postanowili nie zapraszać mnie na herbatę.

Ten brak gościnności rozgniewał mię, ale czekałem cierpliwie. Lecz minęła godzina, o którą się umówiłem z Z, a jego, ani kogo innego z towarzyszków nie było. Wobec tego, że Z. mię uprzedzał, abym nie nocował w N. N., musiałem coś przedsięwziąć — zbliżał się bowiem czas odejścia ostatniego pociągu, którym opuścić mogłem niegościnne N. N. Zdecydowałem się i zapukałem lekko do gospodarza, który z pochmurną miną wyszedł do mnie.

— Przepraszam pana — odezwałem się — ale będę musiał iść do pociągu, a pan Z. dotąd się nie zgłosił do pana. Będzie pan łaskaw powiedzieć mi, że tu byłem, a oprócz tego zostawię u pana bibułę dla niego. Pan mu ją odda.

Nie skończyłem jeszcze swego przemówienia, gdy mój gospodarz schwycił się za głowę.

— Co? bibułę? — jęczał — panowie mnie zgubią. Pan zostawił w przedpokoju pakunki z bibułą... tam chodzi służąca... zobaczyć mogła — mówił urywanemi słowami, biegnąc do przedpokoju.

— Ależ, panie — uspakajałem go — żadnej bibuły w przedpokoju nie zostawiałem.

Gospodarz nie słuchał mnie, jak piorun wpadł do przedpokoju, po chwili wrócił, minę miał ogromnie wystraszoną.

— A co? — wyjąkał — niema! Już zgubił mnie pan!

Był zupełnie przybity i przygnębiony, ręce bezwładnie mu wisały. Co do mnie, byłem wściekły, lecz zarazem rozśmieszony.

— Czego pan rozpacza? — rzekłem. — Bibułę mam na sobie, nic się nie stało.

Gospodarz ożywił się. Spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem.

— Na sobie? — mówił, podchodząc do mnie i dotykając palcem ubrania. — Prawda, jest bibuła — potwierdził, spotkawszy pod palcem twardą przeszkodę. — Cóż pan teraz zrobi?

— Co zrobię? — odpowiedziałem, odpinając guziki od kamizelki. — Ot, co: zdejmę z siebie i zostawię u pana.

Gospodarz, który niespokojnie śledził moje ruchy, nagle porwał mnie za ramię i wciągnął do kąta, oddalonego od okna.

— Co pan robi? co pan robi? — szeptał mi wystraszonym głosem — pan mnie gubi. Czy pan wie, kto tam mieszka? — pytał, wskazując przez okno na przeciwległą kamienicę z rzęsście oświetlonymi oknami.

— Nie — przyznałem się — nie wiem. A co?

— I ja nie wiem — mówił ku memu zdumieniu gospodarz — ale, czy pan zaręczy, że tam nie mieszka żandarm, albo szpicel, czy pan zaręczy, że on tam przy oknie nie siedzi od dawna i nie pilnuje mnie i moich gości?

Przestrach mego gospodarza wzmagał się

z każdą chwilą, z każdym słowem, wychodzącym z ust jego. Miał minę tak zrozpaczoną i tak komiczną zarazem, że się ledwie powstrzymał od wybuchu śmiechu. Postanowiłem jednak nie zwracać nań uwagi i w tym kącie, odwrócony od okna, wyjąłem z pod ubrania owiniętą w papier bibułę. Gospodarz, który z rozpaczą patrzył na mnie, zrezygnowany i bezradny, wziął z moich rąk pakunki. W tej chwili u drzwi brzęknął dzwonek. Bibuła wypadła z rąk gospodarza, zbladł on śmiertelnie.

— Pan Z. — uspakajałem go. — Niech-że pan pójdzie otworzyć. Nie bój się pan! Jeżeli to żandarmi, przyznam się do bibuły, powiem, że moja. Niech pan w takim wypadku powie, że mnie pan nie zna, że zaszedłem do pana i wpychałem gwałtem te pakunki, że...

Nie dokończyłem, bo do pokoju już wchodził Z. Służąca otworzyła mu drzwi.

— Przepraszam — odezwał się z progu — przepraszam, spóźniłem się nieco.

Mój gospodarz odetchnął, kolory powróciły mu na policzki. Z pewnym wyrzutem mówił do Z.:

— Pan mi nic nie powiedział, że ten pan — wskazał na mnie — przywiezie bibułę.

— Nic się nie stało — odparł Z. wesoło — przecież, gdybym panu to powiedział, to pan albo-byś odmówił, albo jeszcze gorzej: zgodził się, a potem w potrzebnej chwili wyszedł z domu, zostawiając towarzysza na łańskie losów. Nic się nie stało, uspokójcie się!

— Ale pan zabierze to, co obiecał? — pytał jeszcze niespokojnie gospodarz.

— Zabiore, zabiore — mówił Z., klepiąc go po ramieniu.

Z. odprowadził mnie na stronę i wyjaśnił sytuację. Rano wpadł do naszego gospodarza, uprzedził go o moim przybyciu po południu. Miał przy sobie kilka egzemplarzy „Przedświtu“, które mu zostały po rozdaniu ostatniego numeru, a że po południu musiał pójść do paru dosyć „brudnych“ miejsc, nie chciał mieć przy sobie bibuły. Prosił więc niegościnnego gospodarza, by do wieczora przechował te egzemplarze „Przedświtu“ i obiecał zająć sam po nie lub przysłać kogokolwiek. W ten sposób zmusił niejako tchórzliwego gospodarza do oczekiwania.

Zrozumiałem teraz pytanie, z którym mnie spotkał gospodarz, oraz jego kwaśną minę. Te parę egzemplarzy „Przedświtu“ paliły go, chciał czempredzej ich się pozbyć, a moja odpowiedź zrobiła mu zawód.

W istocie, gdy usłyszał od Z., że i „Przedświt“ będzie zabrany, skoczył do drugiego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w jednym ręku rulonik bibuły, w drugim szklanek herbaty.

— Może wypijecie szklanek herbaty? — zwrócił się do mnie uprzejmie.

Wypiłem czempredzej herbatę, słuchając różnych poleceń Z., umawiając się z nim na przyszłość. Po chwili opuściłem N. N.

Naturalnie takie przyjęcie bibuły, oraz takie wybiegi w celu urządzenia zajazdu są

wyjątkowemi. Lecz często drzączka gospodarzy, przyjmujących bibułę, ich trwożliwe spojżenia i pytania dają się we znaki towarzyszom, rozwożącym bibułę po kraju.

W każdym razie przytoczone opowiadanie świadczy, że nie zawsze jest łatwo urządzić zajazd dla bibuły. Dla każdego zajazdu trzeba możliwie ściśle się umawiać o termin przybycia bibuły, o porę dnia, która dla obydwóch stron, dającej i odbierającej, jest najdogodniejsza, trzeba uprzedzić tak jedną, jak drugą stronę o tem, kogo spotkać mogą przy zetknięciu się, nieraz opisać wygląd i zewnętrzne cechy przyjeżdżającego lub spotykającego. Wreszcie dla uniknięcia wszelkich rozpytywań o adresata trzeba odwożącemu bibułę dokładnie opisać, w jaki sposób ma on trafić do zajazdu. Najczęściej w tym celu rysuje się plan, obejmujący nieraz całą drogę od jakiegoś znanego punktu do drzwi mieszkania, przeznaczonego na zajazd. Omyłka lub niedokładność w takiej umowie może nieraz pociągnąć za sobą przykre, kłopotliwe następstwa.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w niewielkiem prowincyonalnem mieście z powodu takiej omyłki.

Jeden z młodych towarzyszków miał zawieźć do tego miasta bibułę. Inny, znający dokładnie tameczne stosunki, wytłómaczył mu możliwie dokładnie drogę od dworca kolejowego do zajazdu.

— Od dworca — mówił — ulicą na lewo. Miniecie jeden róg na prawo, w drugą ulicę

na prawo skřęćcie. Numerów tam niema, zresztą będzie jeszcze ciemnawo, gdy tam przyjedziecie. Ale po lewej stronie ulicy poznacie kamienicę, do której iść macie, po tem, że jest nieco wyższą od otaczających ją domów i przy bramie sterczy z muru kamień płaski, mogący służyć za ławkę. Jest to mniej więcej dwunasta kamienica od rogu. Przez bramę wejdziecie w podwórze, w prawej oficynie pójdziecie po schodach aż do skutku, na samą górę. Tam drzwi na prawo. Biletu wizytowego niema, dzwonka również. Zastukacie do drzwi mocno trzy razy. Otworzy wam facet niemłody, dosyć tęgi, z wąsami, bez brody. Zapytacie: czy tu mieszka pan Bacewicz i powołacie się na moje konspiracyjne imię. To dzielny chłop, nasz agitator. Od niego weźmiecie zamówienia na przyszłość, korespondencye dla „Robotnika“ i pokwitowania. Monety tam teraz nie otrzymacie, ale jeśli będą mieli, to weźcie.

Nasz towarzysz z małym zawiniątkiem, zawierajícím bibułę, wyruszył. Przyjechał do owego miasteczka nad ranem, gdy wszyscy mieszkańcy jeszcze spali. Zgodnie ze wskazówkami minął ulicę, odchodzącą na prawo, skřęcił w drugą, szedł dosyć długo, lecz kamienicy wskazanej jeszcze nie dostrzegł. Zaczęło go to niepokoić, lecz nagle spostrzegą ów kamień, sterczący z muru. Wchodzi do otwartej już bramy, ale z wielkiem zdumieniem spostrzega, że prawej oficyny kamienica nie posiada. Zakłopotany, ogląda się po podwórzu, gdy nagle słyzy za sobą głos:

— A kogo tu pan szuka?

Za nim stał stróż kamieniczny z miotłą w ręku.

— Czy nie mieszka tu pan Bacewicz? — pyta nasz towarzysz niespokojnie.

— Bacewicz? — cedził flegmatycznie stróż — nie, nie mieszka. Ale, czekaj pan, taki tegi, wąsaty? Co? No, to mieszkał, mieszkał tu dawniej, a jakże. Ale teraz niema.

— Może wiecie, gdzie się przeniósł? — pyta towarzysz.

— Wiem, niedaleko, na ulicę — tu wymienił jakąś nazwę ulicy, o której nasz towarzysz pierwszy raz w życiu słyszał.

— Nie znam miasta — przyznał się towarzysz — jak mam na tę ulicę trafić?

— Trafić? — odparł stróż — łatwo. Chodź pan!

Wyprowadził go za bramę i, wskazując na dalszy ciąg ulicy, mówił:

— Pójdzie pan dalej. Widzi pan na rogu dom duży, to tam. A jakże, wiem, pomagałem temu panu przenosić rzeczy.

Nasz towarzysz ruszył we wskazanym kierunku, dotarł do narożnej kamienicy. W istocie kamienica była duża. Zaczął podejrzывать, że się omylił, bo przecie przy dawaniu informacji mówiono mu, że zajazd jest w największym domu na ulicy, a tymczasem ten, przed którym stał obecnie, był znacznie wyższy od poprzedniego. Lecz trzeba było brnąć dalej. Stróż zamiatał przed kamienicą ulicę.

— Czy tu mieszka pan Bacewicz? — pyta znowu.

— Tu, proszę pana — odpowiada stróż — po frontowych schodach, na drugim piętrze na lewo. Ale tam jeszcze śpią — ostrzega stróż.

— To nic, obudzę — odpowiada towarzysz, zadowolony, że dotarł nareszcie do celu. Trochę go to dziwi, że robotnik mieszka przy frontowych schodach, ale idzie na owo piętro. Jest i dzwonek. Dzwoni. Po chwili słyszy głos kobiecy za drzwiami:

— Kto tam?

— Przepraszam — mówi — czy tu mieszka pan Bacewicz?

— Tu, ale śpi, proszę przyjść później — odpowiada kobieta za drzwiami.

— Jestem z drogi, mam pilny interes do pana, proszę obudzić — odpowiada towarzysz.

Głos za drzwiami milknie, po chwili drzwi się odmykają, przed naszym towarzyszem stoi w białym ubraniu tęgi mężczyzna z zaspaną twarzą.

— Czego pan chce, do dyabła? — mówi gospodarz opryskliwym głosem.

— Przepraszam pana, ja od pana Stanisława — mówi towarzysz, robiąc nacisk na imieniu.

— Od jakiego pana Stanisława — burczy gospodarz, a widząc, że nasz towarzysz milczy, wpada w wściekłość. — Kto pan jest? — krzyczy. — Czego pan ludzi po nocy napastuje?

— Przepraszam pana — mówi towarzysz, zaczynając się przekonywać, że zaszła jakaś omyłka — czy z panem Bacewiczem, szewcem, mam do czynienia?

— Co? — wpada w pasyę gospodarz — szewcem? Bacewiczem? Ja nie żaden szewc i nie Bacewicz, tylko urzędnik i Pacewicz. Jakiem prawem pan mnie napastujesz po nocy — rzuca się mężczyzna w negliżu, podnosząc potężną pięść pod nos towarzyszowi — ja pana na policyę odeszłę! Toż to gwałt na równej drodze! Szuka szewca po nocach! Co?

Lecz towarzysz nasz nie słuchał już, a szybko zmiatał po schodach na dół. Poszedł wprost na dworzec i wyjechał z bibułą z powrotem.

Jak się okazało potem, informacje i plan nie były zupełnie dokładne. Informacya głosiła, że należy minąć pierwszą ulicę, idącą na prawo od drogi, łączącej dworzec z miastem. Lecz informator zapomniał dodać, że przed tą pierwszą ulicą odchodzi na prawo coś w rodzaju ulicy, jeszcze niezabudowanej, którą ludzie miejscowi za ulicę uważać jeszcze nie chcą. Nasz niefortunny towarzysz, nieuprzedzony o tem, uważał tę drogę za ulicę i nie doszedł do miejsca, gdzie mu skrócić należało.

Dodać jeszcze muszę, że nazwiska, przytoczone w tem opowiadaniu, są zmyślone. W rzeczywistości były one inne, lecz różnica pomiędzy nazwiskami poszukiwanego towarzysza i odnalezionego filistra polegała na tem jedynie, że się zaczynały od różnych, lecz pokrewnych ze względu na brzmienie liter.

Z tych opowiadań łatwo wywnioskować, jak skomplikowaną nieraz bywa służba rozwozowa. Bo proszę sobie wyobrazić, że oprócz

trzymania w swej pamięci mnóstwa drobnych szczegółów adresu i warunków życiowych w zajeździe, a raczej zajazdach, niezapominania o terminach, sposobach wejścia i pytania o potrzebnych ludzi, trzeba się wciąż jeszcze liczyć ze zmianami, jakie ustawicznie w tem lub owem miejscu zachodzą. Wszystkie szczegóły jakiegokolwiek zajazdu, już utrwalone w pamięci, muszą być zastąpione przez nowe przy zmianie zajazdu, zmianie niestety zbyt częstej w walce z żandarmeryą i szpiclami.

Dodajmy do tego, że na obowiązku towarzyszyków, rozwożących bibułę, leżą jeszcze i inne sprawy. Przy unikaniu poczty i korespondencji listownej, która żandarmom dostarczyć może niezbitych dowodów czyjejkolwiek winy i naprowadzić ich jest w stanio na ślady knoń rewolucyjnych, ludzie, chcący się porozumieć w jakiegokolwiek sprawie ze swymi współtowarzyszami organizacyjnymi w innem mieście, muszą dokonywać tego za pomocą i przy pośrednictwie ludzi, mogących mieć stosunki i widzieć się z członkami organizacji w różnych miejscach. Przy każdej więc wizycie towarzysza z bibułą załatwiają się wszystkie interesy miejscowych członków organizacji do zamiejscowych. Zamówienia na bibułę, zmiany w ilości potrzebnych egzemplarzy peryodycznych wydawnictw partyi, zakomunikowanie takiej lub innej wiadomości, dane o członkach organizacji, którzy się przenieśli do innych miejscowości — wszystkie te, drobne nieraz, szczegóły życia rewolucyj-

nego obciążają niesłychanie już i tak przez szczegóły zajazdów obciążoną pamięć rozjazdowych towarzyszków. Mówię: pamięć, bo większość tych szczegółów dla konspiracyi nie zapisuje się wcale, a jeśli i zapisuje się, to w jakiś dziwny sposób, mogący zaledwie ułatwić, lecz nie zastąpić, robotę pamięci.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że stosunki organizacyi obejmują ogromny kawał kraju, sięgają do miasteczek powiatowych, a nawet ostatnio i na wieś, że te stosunki nie są jednorodne, lecz rozmaite pod względem składu członków organizacyi, oraz pod względem „czystości“ policyjnej, że wreszcie ta setka pudów bibuły, stanowiąca roczną konsumcyę organizacyi, jest w stanie — że tak powiem — płynnym, t. j. ustawicznie się rusza z miejsca na miejsce — a zrozumiemy, jak ciężką i kosztowną jest praca rozwozowa. Jeden z towarzyszków, który dłuższy czas pracował w tej branży, mówił mi o tej pracy w te słowa:

— Jestem człowiekiem, dopóki nie siądę do wagonu. Mogę wówczas myśleć, czytać. Z chwilą, gdy włożę do tego pudła — idyocję. Słowo daję — mózg mi kamienieje. Po głowie kręą się tylko takie myśli: „o godzinie tej a tej będę tam — drzwi na lewo, bilet wizytowy jest; muszę zdążyć do wieczornego pociągu, bo na następny dzień randka w innem mieście, tam od dworca prosto, trzecia ulica na lewo, kamienica czerwonymi cegłami upiększona; tam bibułę oddać, powiedzieć, że z Warszawy przeniósł się do

nich stolarz taki a taki, zapytać o to, czy owo, hasło gdzieindziej zawieźć itd. — godziny, na prawo, na lewo, liczba piętr, wyglądy facetów mnie opisywanych — oto moje myśli wagonowe. Głowa przestaje myśleć, staje się jakąś maszynką pamięciową.

— I wiesz — dodawał — do czego zawsze tęskniłem? Do porządnego planu w robocie. Taka robota wówczas tylko idzie dobrze, gdy upodabnia się do maszyny, działającej z zegarkową regularnością. Ale gdzie tam! Taka maszynowa robota trwać może najwyżej miesiąc. A tam zaledwieś się do niej wciągnął, już nastąpi cokolwiek — jakaś wyspa, nieprzewidziane przeszkody na granicy lub w drukarni, nagłe wypadki — jesteś wyrzucony z kolei, pociąg schodzi z szyn, turkocze rozpaczliwie po podkładach, wreszcie staje. I znowu rozpoczynaj nowe umowy, odwołuj naznaczone terminy, szukaj nowego planu i rozkładu roboty. Przekłeta robota!

Inny towarzysz, w tym samym oddziale pracujący, opisywał swe wrażenia nieco inaczej. Był to młody chłopak, który od prowincjonalnej, spokojnej roboty został wzięty właśnie do pracy rozwozowej. Trafił on widocznie akurat na czasy względnie nieawanturnicze, gdy owa „maszynowa robota“ była możliwa. Był zachwycony.

— Nigdy — mówił — nie przypuszczałem, że jesteśmy tak silni. Wszędzie są nasi, wszędzie idzie praca rewolucyjna. Kiedym dawniej czytał „Robotnika“ i spotykałem korespondencye z różnych stron kraju, nie umiałem

poza temi wiadomościami dojrzyć ludzi, którzy tem lub owem się wzruszają i tak lub inaczej są z nami związani. — Dopiero przy osobistem zetknięciu z nimi przekonałem się o realności różnych rzeczy organizacyjnych. I jaka to ogromna robota! Jak przyjemnie czuć się kołem w ogromnej maszynie, która całą siłą pary ciągnie w świetlaną przyszłość naszą ojczyznę! Nigdy, patrząc ze strony na roboty partyjne, nie przypuszczałem, że panować tam może taka regularność i takie powiązanie części organizacji ze sobą.

Przyszły jednak i ciężkie dni, dni trwogi i kryzysu, gdy nici organizacyjne rwą się i pękają, gdy dzisiaj staje się niepodobne do wczoraj, gdy, stawiając krok, nie jesteś zupełnie pewnym, czy go stawiasz celowo i produkcyjnie. Towarzysz, o którym mowa, nieco się zdekoncertował — poznał odwrotną stronę medalu. O partyi i jej przyszłości nie zwątpił, lecz był zły na świat cały.

— Tak było dobrze i pięknie! — mówił — a tu masz dyable kaftan! Okazało się, że ta piękność, to budowa na piasku, wiecznie się rozsypująca i nietrwała. I czy tak długo będzie? Ile my już zmarnowaliśmy sił, pieniędzy i czasu na to samo, co jeszcze wczoraj tak łatwo było skutecznić!

Był zakłopotany, niepewny, wahający się. Trochę go uspokajała równowaga starszych towarzyszków, którzy już przeżyli niejedną taką burzę, z niejednego zawikłania już wyszli i którzy z filozoficznym spokojem pa-

trzyli na rozbicie tego lub owego planu, na zrujnowanie tej lub owej części organizacyi, na taki lub inny zawód, czy rozczarowanie.

Najwspanialej jest opracowana praca rozwozowa wydawnictwa krajowego — „Robotnika“. Pod tym względem partya nie żałuje ani kosztów, ani sił, by zapewnić swemu pismu możliwie szybkie rozpowszechnienie we wszystkich stosunkach partyjnych. Nie-raz partya urządza się w ten sposób, że w większości poważniejszych ognisk życia organizacyi „Robotnik“ dochodzi do rąk swych stałych odbiorców w dzień wyjścia z tajnej drukarni. Reszta otrzymuje „Robotnika“ w dwa, trzy dni po wyjściu i tylko najdalsze zakątki, najgłuchsze dziury, gdzie stosunki są drobne i nieliczne, czekać muszą tydzień, niekiedy i więcej, na okazyę, przy której się załatwiają wszystkie interesy partyjne z całą okolicą. Ładnie wygląda rozpowszechnienie „Robotnika“ w samej Warszawie, pochłaniającej więcej, niż trzecią część nakładu.

Oto w określonym z góry punkcie — za-jeździe, specjalnie w tym celu przygotowanym — w naznaczonym na kilka dni przedtem terminie ścisłym aż do godziny, lecz znanym tylko nielicznej garstce najbardziej zaufanych ludzi, zjawia się towarzysz z „Robotnikiem“, którego dwie ostatnie strony jeszcze nie zupełnie obeschły po wyjściu z pod prasy. Już nań oczekują przygotowani do tej czynności „dromaderzy“ i „dromaderki“ — towarzysze i towarzyszki. W jednej chwili

cała kupa papieru jest podzielona na części, odpowiadające podziałowi organizacyi warszawskiej. W pół godziny, najwięcej godzinę lub dwie nie zostaje w zajeździe ani śladu „Robotnika”. Wyruszył on na najbliższy etap, do mieszkań wyznaczonych przez głównych kierowników poszczególnych części organizacyi.

Tam następuje nowy podział na drobniejsze już działy, zawierające jednak nieraz 50 i trochę więcej egzemplarzy. Te są przeznaczone dla głównych organizatorów zgrupowanych stosunków. Jest to ostatni etap, gdzie „Robotnika” dnia tego oczekują. Dla reszty stosunków „Robotnik” jest niespodzianką. Tutaj terminy — godziny i minuty — są rozmaite, zależne od warunków życiowych tych ludzi, którzy się zajmą dalszym podziałem, dalszem rozpowszechniem „Robotnika”. Lecz w wyjątkowych jedynie wypadkach, gdy w danej grupie stosunków coś przed samem wyjściem „Robotnika” się zepsuło, przygotowane egzemplarze czekają dnia następnego. Zwykle idą w kurs tegoż dnia.

Organizatorowie rozdrabniają jeszcze bardziej otrzymaną kupkę „Robotnika”. Już wyznaczili na ten dzień pod rozmaitymi pozorami randki zaufanym ludziom ze swych stosunków. Randki zaś są obliczone tak, by módz jednego dnia załatwić je wszystkie. Najczęściej więc w dniu wyjścia „Robotnika” jest on w ręku ogromnej większości członków organizacyi. I tylko dalszą drogę, wędrowkę z ręki do ręki, z domu do domu,

z miast do miasteczek i na wieś — odbywa „Robotnik“ już wolniej, bez pośpiechu.

Peryodyczna bibuła pochodzenia zagranicznego nie może korzystać z tak wyrównanej, zawczasu przygotowanej drogi. Nie może, bo terminu jej nadejścia niepodobna wobec stosunków granicznych określić ze ścisłością. Rozpowszechnienie więc czy to numeru „Przedświtu“, czy „Światła“, czy jakiego innego pisma, nie idzie tak szybko i tak regularnie, jak opisane wyżej doręczanie odbiorcom „Robotnika“. Trwa ono tygodniami całymi i najczęściej brak w niem planu, specjalnie na ten wypadek wyrobionego. Dzisiaj któryś z numerów, na przykład „Przedświtu“ jest w Warszawie, a w jakimś Radomiu lub Kownie może się ukazać dopiero za tydzień, w zależności od tego, czy w tym czasie były jakie „okazyje“ partyjne, czy towarzysze, zajmujący się rozwożeniem lub łączeniem pojedynczych organizacji lokalnych w jedno, mieli właśnie tam interesy do załatwienia. W każdym jednak razie bibuła peryodyczna, mająca z góry określoną liczbę odbiorców, nie sprawia tak wielkiego kłopotu, jak bibuła książkowa i broszurowa.

Przy pracy z tą ostatnią znika z natury rzeczy wszelka regularność i określoność. Bo proszę: dzisiaj w tym stosunku może być potrzebna taka broszura, jutro inna, stamtąd żądają dużo rzeczy do czytania, skądinąd mniej. Książka i broszura nie jest pismem i przy większem rozpowszechnieniu wymaga istnienia księgozbioru, z którego przy potrze-

bie możnaby wziąć akurat tyle egzemplarzy, ile się chce lub wymaga. Na całym świecie dla zadowolenia tej potrzeby istnieją księgarnie i naturalnie coś podobnego do księgarni musi być urządzonem i dla bibuły broszurowej, jeśli broszura i książka ma być nie czemś wypadkowem, lecz stałym zjawiskiem.

Rolę księgarni spełniają tak zwane w języku technicznym „składy“ — składy bibuły. I jedną z trosk najdrobniejszej nawet organizacyjki lokalnej jest urządzenie takiej właśnie księgareńki — składu na swe potrzeby.

Jak każdy łatwo zrozumie, te poszczególne składziki muszą być w jakimkolwiek związku z pokażniejszymi składami, odgrywającymi względem nich taką rolę, jaką odgrywają hurtowne składy dla handlów detalicznych. Muszą istnieć źródła, z których możnaby czerpać odpowiedni towar w odpowiednich ilościach. Jeżeli zaś sobie przedstawimy, że stosunki organizacyi są liczne i szeroko rozgałęzione, że z konieczności grupować się one muszą koło jakichkolwiek ognisk, będących centralnemi jedynie dla pewnej części stosunków, zrozumimy, że te pokażniejsze składy, będąc hurtownymi dla najdetaliczniejszych składzików, muszą swoją kolejną mieć jeszcze bardziej centralne źródło — centralną, lub centralne księgarnie-składy. Jest to więc cała sieć mniejszych i większych składów-księgarni, obsługujących odpowiednio do swej wielkości jakąś jedną fabrykę lub fach w danem mieście, albo też całą seryę takich drobnych księgareniek.

Najbardziej pokaźnie i poważnie wygląda, naturalnie, skład centralny, główny, nie bawiący się wcale w żadne detailiczne stosunekzki. Gdyby kto jednak przypuszczał, że jest on choć nieco podobnym z zewnętrznego wyglądu do najmniejszej nawet księgarni, gruboby się omylił. Przeciwnie, przypuszczam, że gospodarze takiego składu, jak ów towarzysz z drukarni, co to życzył sobie, by otoczenie go podejrzывało o analfabetyzm, unikają jak najstaranniej każdej, widocznej dla otoczenia, rzeczy, mogącej mieć coś wspólnego z książkami.

Taki skład jest partyjnym interesem równie dobrze, jak i drukarnia, i naturalnie musi być zabezpieczonym jak i ona od wszelkich bezpośrednich stosunków z czynnem życiem partyjnym. Różnica pomiędzy składem a drukarnią polega na tem, iż skład musi być urządzony tak, by bez narażania jego pozorów możnaby było mieć z nim częste stosunki.

Jeden z towarzyszków, który z obowiązku partyjnego musiał mieć częste z głównym składem stosunki, tak go opisywał:

— Skład główny — mówił on — był umieszczony u niezamożnej wdowy, staruszki, która zajmowała z córką niewielkie mieszkanie w dużej kamienicy. Przyznam ci się, że lubiłem tam bywać. Nie uśmiechaj się podejrzliwie, córka wcale nie była dla mnie tym magnesem przyciągającym.

Panna rozsądna, dosyć inteligentna, ale nie w moim guście. Natomiast serdecznie

byłem przywiązany do staruszki — gospodyni składu. Co za serce, współczujące każdej biedzie, każdemu nieszczęściu, miała ta kobieta! Jaką zachowała świeżość uczuć! Wiesz, może mię nazwiesz trochę sentymentalnym, ja nabieram zawsze odwagi do życia, gdy spotkam kogo ze starszej generacji, zdolnego do odczucia potrzeb nowych pokoleń.

— Pomyśl — dodał — przecie ci ludzie przeszli przez takie próby, o jakich nam się nie śniło. Przeżyli, przeboleli straszny rok 63-ci. Nadzieje z wiosny ich życia brutalnie rozbito, wcisnięto ich w nowe, znacznie więcej skomplikowane warunki życiowe. Serce mieli czułe, więc w tem życiu każdy krok ich musiał być łąką serdeczną — i pomimo to zachować zdolność, jeśli nie do zrozumienia, to do odczucia nowych, całkiem nieznanych dotąd prądów, często wyszydzanych i oplwanych przez ich otoczenie. Zdawałoby się, że tam w ich sercu w najlepszym razie są zawarte jedynie groby posępne i krzyże mogilne, a tymczasem spostrzegasz, że jest ono zdolnem do bicia w takt z najmłodszemi, z najbardziej żądnemi życia sercami.

— Ale do rzeczy — mówił nieco wzruszony. — Nasze panie zajmowały dwa niewielkie pokoiki, umeblowane nieco po staroświecku. Sługi nie miały, bo dochody ich były bardzo skromne. Córka miała kilka lekcyj, matka trochę uciulanego grosza. My dla składu odnajmowaliśmy jeden pokój. Skład urządzony był w pokoju sypialnym, gdzie stał duży kosz, będący naszą księgarnią. Niekie-

dy, gdy bibuły zbierało się więcej, oprócz kosza napełniało się i walizki, przechowane pod łóżkiem. W koszu na górze leżała książeczka rachunkowa. Każda broszura, każda książka miała osobną stronicę, na której się zapisywało dochód i rozchód danej książki. Obok leżał plan kosza, ułatwiający poszukiwanie potrzebnych książek. Gospodyni pilnie przestrzegała, by każdy z upoważnionych do czerpania z zapasów bibuły nie zapomniał zapisać, co wziął ze składu. Porządek zaś w koszu i walizkach był starannie utrzymany. Nigdy mi się nie zdarzyło nie znaleźć poszukiwanego tytułu w odpowiednim miejscu podług planu.

— Gdy się wychodziło ze składu do pokoju neutralnego, zastawało się zwykle gospodynię, przyrządzającą herbatę. Nie było sposobu wymówić się od zadowolenia gospodyni pod tym względem.

— Ależ niech pan siada — mówiła starszka — nie puszczę pana bez herbaty. Nabiega się, namęczy chłopiec, to musi mieć apetyt. Wy tam biedacy nieraz bez obiadu cały dzień przebiegacie. Musi pan cokolwiek przegryźć!

Przy herbacie umawiano się o następne wizyty, o czas, gdy którakolwiek z gospodyń musiała być w domu. Gospodyni polecała, by dowiedzieć komu należy, że tego lub owego wydawnictwa jest już mało, lub wcale nie ma. Wreszcie odpowiednio do ilości bibuły wywoziło się ją w walizce lub wynosiło na sobie.

Mniej więcej tak samo wyglądają i mniejsze składy w różnych ogniskach życia partyjnego — następne etapy bibuły po wyjściu ze składu głównego. Lecz w tym wypadku niepodobna najczęściej urządzać je, jako partyjne interesy i tak samo, jak z zajazdami, trzeba wyruszać na poszukiwanie mieszkania dla składu za peryferya organizacji i ruchu, jako najbardziej zabezpieczone od napaści żandarmów i od ataków szpiclowskich. Peryferya jednak, jak to zaznaczyłem już przy zajazdach, mają tę złą stronę, że bardziej, niż czynna armia, podlegają uczuciu strachu i bardziej są kapryśne w drobiazgach przy stosunku z tem życiem. Więc ludzi, stanowiących łącznik pomiędzy składem a organizacją, bardzo często spotykają te same przykrości, o jakich mówiłem, opisując zajazdy.

W jednym wypadku trzeba się trzymać ściśle godzin i nawet minut, w ciągu których jedynie skład załatwia swe czynności; w drugim — nie może utrzymywać stosunku ze składem mężczyzna, w innych, odwrotnie, kobieta. Najczęściej zaś urządzenie składu zależy od osobistego zaufania gospodarza lub gospodyni składu do osoby, zarządzającej go, i wszelka nowa figura w tych wypadkach budzi strach i podejrzenie. W razie więc aresztowania tej osoby, następuje najczęściej panika, która nieraz prowadzi do niszczenia bibuły, z takim kosztem i poświęceniem dostarczonej do składu. Wogóle paniczny strach na peryferyach ruchu stanowi zwykle jeden

z najbardziej dających się we znaki kłopotów organizacyi. Bywa on komicznym, nie przestając jednak być kłopotliwym.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi właśnie o takim wypadku w sposób następujący:

— Bibułą — mówił mi — w Wilnie rządził przez dłuższy czas tow. Michałowski (umarł po powrocie z wygnania w 1899 r.). Michałek nie odznaczał się ani porządkiem, ani systematycznością. Miał talent teroryzowania różnych swych znajomych i bez ceremonii zostawiał u nich na przechowanie ten lub ów pakunek z bibułą, besztających wnbo tem, że są głupimi burżujami. Zapipriałe każdego z nich, że im się nic nie stanie, zewnątrz każdej paczki zostawiał kartkę, głoszącą, że ta bibuła należy do niego, Michałowskiego, co też rzeczywiście robił.

Było to w początkach ruchu P. P. S-owego i młoda organizacya nie wypracowała jeszcze ani porządnego planu działań, ani usystematyzowała swej maszyneryi. Jak w sprawie bibuły i drukarni tajnych, tak i w sprawie maszyneryi organizacyjnej P. P. S. była pionierem, przekładającym nowe ścieżki, niewydeptane dotąd przez poprzedników na polu rewolucyjnem. Nic dziwnego, że organizacya kłopotów i przeszkód miała mnóstwo. Bibuły, na przykład, było dużo, lecz często spotykało się kłopoty i przeszkody w jej ulokowaniu. Na pomoc w tych wypadkach zawsze przychodził Michałek.

— Co u czorta! — mówił swym śpiewnym, litewskim akcentem — bibuła? Dawajcie ją

mnie, już ja się nią zaopiekuje. U mnie w Wilnie spokojnie, niech leży!

Bibułę brał i rozlokowywał ją u różnych znajomych. Lecz że ani spisów bibuły nie prowadził, ani też sam dobrze nie wiedział, gdzie i co u niego leży, wkładał się więc stopniowo nieporządek i bezład okropny. Nikt nie był nigdy pewnym, czy taką lub inną broszurę w wymaganej ilości otrzyma. Nareszcie postanowiono założyć skład główny i oddać go pod opiekę bardziej porządnego towarzysza. Było to tem bardziej koniecznem, że Michałowski był pod dozorem policyjnym za dawną sprawę i pisał, że mu zaczyna ten dozór dokuczać.

Wydelegowano — mówił mi ów towarzysz — mnie do Wilna dla zrobienia porządku z tym interesem. Trzeba było wypadku, że po przyjeździe do Wilna Michałka już nie zastałem; aresztowano go i osadzono w 14-tym numerze (X pawilon wileński). Parę dni spędziłem na poszukiwaniu najbliższych znajomych Michałka i rozpytywaniu ich o bibułę. Ludzie ci, chociaż przestraszeni aresztowaniem Michałowskiego, zgodzili się pomódz mi w poszukiwaniach i ściągnięciu bibuły do jednego miejsca. Lecz, niestety, wskazówek co do miejsc, gdzie bibuła była ulokowana, mieliśmy skąpo. Znaleźliśmy dwa, trzy pudy, wtedy gdy ja z otrzymanych w Warszawie informacji oczekiwałem co najmniej 8—10 pudów.

Nie ustawialiśmy w poszukiwaniach i rozpytywaniach różnych znajomych Michałowskiego. Trudno sobie wyobrazić, z jakimi ty-

pami wówczas się spotkałem. Stare baby, trzepiące pacierze, młode dziewczyny, naiwne i głupiotki, stateczni inżynierowie, którzy ze wstydem się przyznawali, że bibułę ze strachu wywieźli na wieś, młodzieńcy gimnazjaliści, którzy zakopywali bibułę w ogrodach na przedmieściu. Wszystko to było wystraszone, oczekujące z każdą chwilą napaści żandarmów, przeklinając biednego Michałka za bezczelność. Niektórzy pod wielkim sekretem przyznawali się, że spalili bibułę. Po tygodniu poszukiwań, w czasie których codziennie otrzymywałem wiadomość, że znowu gdzieś na jakichś „kiszkach” — tak bowiem zdaje się kończą nazwy wielu przedmieść wileńskich — okazała się schowana bibuła, po tygodniu — mówię — zebrałem coś koło ośmiu pudów.

W końcu tych poszukiwań napotkałem najzabawniejsze ze wszystkich schowanko Michałowskiego. Jeden z moich pomocników w poszukiwaniach opowiedział mi, że doszła doń wiadomość, że jakiś dawny kolega Michałowskiego również był obdarzony bibułą przez niego. Ruszamy do owego kolegi. Spotkał nas młody chłopak, który powiedział, że właściwie nie on przechowywał bibułę, lecz że Michałek wraz z nim odwoził ją do „jednej pani”.

— Możesz pan stamtąd ją wydobyć? — pytam.

— Dobrze — odpowiada chłopak — ale ktoś z panów ze mną pojedzie, ja wyniosę od tej pani bibułę, ale sam wozić jej nie chcę.

Zgodziłem się na to. Pojechaliśmy. Doróżka zatrzymała się przed cerkwią.

— Więc to w cerkwi? — pytam — być nie może!?

— Nie — odparł zdetonowany młodzieniec — ale tu obok mieszka pop.

— Pop? — zdziwiłem się jeszcze bardziej, wiedząc, że popi na Litwie bez wyjątku są najpodlejszymi sługami rządowymi.

— Niech pan zaczeka — twierdził chłopak — ja zaraz wrócę.

Po kilku minutach chłopak wypadł z cerkwi z wystraszoną twarzą, wskoczył do doróżki i kazał jechać. Mnie zaś rzucił krótkie słowo: „spalili“.

Gdyśmy wyszli z doróżki, rozciekawiony wypytywałem chłopaka o ten dziwny skład wydawnictw rewolucyjnych.

Okazało się, że pani popadya była znajomą Michałowskiego od dzieciństwa, gdy się razem na podwórzu bawili. Potem ona wyszła za popa, on został rewolucjonistą, lecz znajomość się nie urwała. Na podstawie tej znajomości Michałek w czasie nieobecności popa zawiózł tam walizkę z bibułą i nie mówiąc o tem, co walizka zawiera, zostawił ją na pewien czas na przechowanie. Popadya nic o tem mężowi nie powiedziała. Lecz gdy Michałka aresztowano, wystraszona popadya przyznała się swemu małżonkowi, że ma jakieś rzeczy Michałowskiego. Małżonkowie złamali zamek i ku wielkiemu zdumieniu znaleźli bibułę, przykrytą w dodatku brudną męską bielizną. Pop chciał nieść to odrazu do

żandarmów, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że go to może skompromitować. Spalił więc bibułę, a dla ulżenia sercu, sprzął swą połowicę co się zowie.

Z podobnemi nieco perturbacyami składowemi, perturbacyami, wywołanemi przez panikę na peryferyach ruchu, zetknąłem się w Warszawie w 1900 r. w styczniu. Było to świeżo po grudniowych aresztowaniach tak zwanych „dekabrystów“. Tak przez żart nazwano różnych literatów i przedstawicieli inteligencji warszawskiej, aresztowanych nie wiadomo za co w grudniu 1899 r. Wywołało to ogromny przestrah i spowodowało tchórzliwą drżączkę w całej masie rodzin inteligentkich o postępowem zabarwieniu. W tym samym czasie wypuszczono na Warszawę całą moc szpiclów, agentów świeżo utworzonej instytucji „ochrony“, która wykazać chciała swą sprężystość i działalność.

Warszawa chyba do owego czasu nie widziała nic podobnego. Główne arterye ruchu, jak Marszałkowska, Nowy Świat i ulice łączące je były na wszystkich rogach udekorowane przez podejrzane figury, trącające siebie łokciami, dające sobie sygnały, zachowujące się bezczelnie i natrętnie. Rzucano się to każdemu człowiekowi w oczy, wszyscy o tej szarańczy szpiclowskiej mówili, powiększając jeszcze bardziej panikę wśród tych, co trzymając się najgorszej w konspiracji zasady: „na złodzieju czapka gore“ — mieli już duszę na ramieniu i drżeli na sam widok niewinnego stójkowego.

Akurat w tym czasie wypadło mi być w interesach drukarnianych w Warszawie. Szedłem po Marszałkowskiej, gdy za sobą usłyszałem wołanie:

— Piłsudski! ależ stój, nie uciekaj!

Tak już się odzwyczaiłem od brzmienia mego nazwiska, że na razie nie zwróciłem uwagi na wołanie. Dopiero powtórny okrzyk zatrzymał mnie. Odwróciłem się — przedemną stał kolega z gimnazjum wileńskiego, szлагон ze Żmudzi, z którym podczas wędrówek po świecie spotykałem się niekiedy.

Rzuciłem okiem wokoło, lecz uspokoiłem się. Nazwisko moje nie zwróciło niczyjej uwagi. Śnieg sypał przechodniom w oczy, wszyscy spieszyli, nie patrząc na innych i tylko na rogach ulic majaczyły postacie szpiclów. Uściskaliśmy się z kolegą, który mi zaraz bardzo tajemniczo zaczął szeptać, bym koniecznie wpadł do niego, do hotelu. Umówiliśmy się o godzinę i rozeszliśmy się. Stawiłem się punktualnie o naznaczonej godzinie. Kolega przywitał mnie serdecznie, lecz odrazu rzucił mi pytanie:

— Ty znasz, braciashku, moją bratową? Wiesz, my z nią przenosiliśmy dzisiaj jakieś wasze rzeczy. No, broszurki — dodał, widząc, że nie rozumiem, o co chodzi.

Byłem zdumiony. Kolega mój nigdy nie odznaczał się usposobieniem rewolucyjnem, a z socyalizmem nie miał nic wspólnego, prawdopodobnie nie przeczytał nigdy książki, ani broszury socyalistycznej.

O bratowej jego nigdy w życiu nie sły-
szałem, ale czułem, że wypieranie się moje
do niczego nie prowadzi. Ludzie, stojący poza
ruchem, tak samo jak i żandarmi, są prze-
konani, że wszyscy rewolucyoniści znają się
wzajemnie, jak łyse konie. Dla mego kolegi
bratowa była widocznie rewolucjonistką, ja
byłem na Syberyi — wniosek stąd oczywisty,
że się znać musimy.

— Jakże się to stało? — pytałem go zdzi-
wiony.

— A widzisz, braciaszku! — mówił z pe-
wnego rodzaju tryumfem. — Widzisz: zacho-
dzę dzisiaj rano do bratowej, widzę kobieta
zakłopotana, chodzi zamyślona, odpowiada nie
„wpopad“ — mówił z rosyjska. — Czego —
pytam — siostrunia martwi się? Powiada,
ma kłopot i że ja pomódz muszę. Ja na to
— i owszem.

Przyznała mi się kobiecina, że ma na scho-
waniu nielegalne książki, ale że się teraz
obawia je nadal zachowywać, bo jakiegoś jej
znajomego niedawno aresztowali. Chce więc
je przenieść tymczasem do starej ciotki, ale
tego dużo i sama nie zabierze. Chce, żebym
jej pomógł. No. myślę, ma nosić coś kobieta,
poniosę i ja. Ale pytam, czy nie lepiej prze-
wieźć — po co nosić? Ale wytłómaczyła mi,
że to u nas tak się nie robi, że to zbyt wi-
doczne, że trzeba pod paltotem nieść, a ona
resztę poniesie pod rotundą. Jak taka moda,
trudno. Opakowała mię bratowa książkami,
sama wzięła parę pakunków i wyszliśmy na
ulicę. Powiadam, ci braciaszku, nie tchórz

jestem, ale te książeczki mię paliły. Ciągłe mi się zdawało, że wszyscy patrzą na mnie. A tu, jak na złość, gdy podchodzimy do doróżki, bratowa mi mówi: patrz, tu szpicle stoja, nie bierzmy tej doróżki.

Idziemy dalej. Tam stali jacyś ludzie, ale grzecznie usunęli się nam z drogi. Nigdybym nie przypuścił, że to byli szpicle. Wyglądają wcale przyzwoicie — ale wy chyba na tem się znacie. Przeszliśmy koło pięciu doróżek, wyobraź sobie, wszędzie byli szpicle. Ilu tu ich jest! I to my na to tałatajstwo tyle podatków płacimy! Koło szóstej dopiero doróżki nikogo nie było — siedliśmy i jazda do ciotki na ulicę — tu wymienił mi nazwę ulicy, numer domu i nazwisko ciotki.

Tam bratowa długo coś szeptała z ciotką, wreszcie oswobodzono mię od tych pakunków. Wyobraź sobie, z dziesięć minut w palocie stałem w pokoju — nigdy tak niegrzeczny nie byłem!

Opowiadał mi z takim zapalem, tak komicznie przyciszonym głosem, tak często podbiegał do drzwi i zaglądał, czy kogo za drzwiami niema, żem ledwie nie poległ od śmiechu, wyobrażając sobie, jak ta para wystraszonych profanów rewolucyjnych odsuwała się od doróżki, dlatego, że gdzieś niedaleko ktoś stoi, lub przechodzi.

— A imaginuj sobie — mówił dalej kolega — gdyśmy przyszli do domu, po książki przyszli...

— Jak to przyszli? — zerwałem się, chwytając za kapelusz, przypuszczałem bowiem, że mówi o żandarmach i że, jak to zwykle w ta-

kich wypadkach bywa, mój kolega jest już pod bacznym dozorem policji i szpiegów.

— A przyszli — potwierdził — wasi. Jakis pan, raczej młody chłopiec z panną. Ten pan przedstawił mi się jako Szczurowski, ale bratowa mi mówiła, że to kłamstwo, bo jakoby wy prawdziwego swego nazwiska nigdy nikomu nie mówicie. Wiesz, że to nie bardzo grzecznie, to mi się nie podoba.

Jak potem przez ciekawość sprawdziłem, część bibuły warszawskiej pozostawiono na noc u bratowej mego kolegi i ta po jednej nocy, spędzonej z bibułą pod jednym dachem, tak się wystraszyła, że zaledwie doczekawszy się rana, wyniosła ją natychmiast dalej.

Takie perturbacje składowe i panika, powstająca na peryferyach ruchu rewolucyjnego za łada przyczyną, sprawiają zwykle dużo kłopotów organizacyom i ludziom, zmuszonym opiekować się bibułą. Niekiedy mają przy tem miejsce przykre, wstrząsające sceny. O takiej właśnie scenie słyszałem od pewnej towarzyszki, która przez dłuższy czas opiekowała się bibułą i składami w Warszawie.

— Miałam — mówiła mi — wspaniały skład u jednej swojej znajomej, żony drobnego urzędnika. Naturalnie — dodawała feministycznie usposobiona towarzyszka — mąż o tem nic nie wiedział. Już to mężczyźni w sferze nieściśle rewolucyjnej są daleko większymi tchórzami, niż niewiasty. W dodatku pan mąż należał do kategorii zazdrosnych, co między wami na każdym kroku się zdarza. Biedna

kobiecina drżała przed swym despota, lecz w tajemnicy przed nim oddawała nam spore usługi. Co prawda, musieliśmy się stosować do warunków życia naszej składniczki. Przychodziliśmy do niej tylko w czasie zajęć biurowych pana domu, a więc przed obiadem, nie mogliśmy posyłać tam mężczyzn, bo razu pewnego, gdyśmy tak postąpili, Otello przez sługę się dowiedział o tem i zrobił straszną scenę żonie, która, nie chcąc zdradzić tajemnicy, nie mogła mu wytłómaczyć męskiej wizyty u siebie. Tak trwało dosyć długo — parę lat. Przyzwyczajaliśmy się do siebie, interes się ułożył, wszystko szło jak po maśle.

I nagle spadła na nas katastrofa! Razu pewnego zachodzę w porze przedobiadowej do naszej składniczki, żeby się z nią umówić o przeniesienie do niej świeżego transportu bibuły agitacyjnej, dzwonię i ku wielkiemu zdumieniu słyszę za drzwiami męskie kroki. Przypuszczałam, że mąż-despota zachorował i nie poszedł do biura, lecz drzwi się otworzyły i przedemną stał sam pan mąż. Był błydy, twarz miał zmęczoną.

— Czy pańska żona w domu? — spytałam grzecznie.

— Żona moja umarła — odpowiedział mi pan grobowym głosem.

Odkoczyłam przerażona. Było to tak nagłe i niespodziewane, że przez pewien czas nie mogła przyjść do siebie. Lecz wreszcie przez głowę przemknęła mi myśl, chociaż i śmiesznie mała wobec majestatu śmierci, lecz pomimo to obchodząca mię — myśl o bibule.

— Pani była przyjaciółką mojej żony? — pytał łagodnym, przyciszonym głosem.

Pod wpływem łagodnego tonu rozmięklam i ja.

— Przepraszam pana — rzekłam — że w takiej chwili będę pana mymi kłopotami zajmowała, ale nieboszczka żona pańska miała na przechowaniu trochę moich rzeczy. Miałam właśnie zabrać je teraz...

Nie dokończyłam, gdyż poczułam, że gospodarz chwycił mnie brutalnie za ramię i ciągnął do dalszych pokoi.

— Aha! to pani! — powtarzał chrypliwym głosem.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju, gdzie tak niedawno jeszcze prowadziłam ze zmarłą przyjaciółką narady o wspólnym interesie, a gdzie teraz leżała ona martwa w trumnie. Koło nieboszczki modliła się jakaś staruszka, która na znak gospodarza wyszła z pokoju.

— Więc to pani! — mówił gospodarz — co jak wąż wślizgnęła się do mojego domu, by zakłócać jego spokój, by swą niecną robotą narażać szczęście i dobre imię moje i mojej żony.

Oburzyłam się na te słowa, wydały mi się one obrażą pamięci mojej przyjaciółki, obok ciała której staliśmy w tej chwili.

— Niech pan żony swojej — powiedziałam ostro — nie obraża przypuszczeniem, że jak jakaś głupia istota bez woli mogła być wplątana przez kogoś do rzeczy, nieuznawanej przez siebie za godną ofiary i poświęcenia. Jeżeli to robiła pod sekretem przed pa-

nem, to jedynie dlatego, żeby nie było piekła w domu, za co pan wdzięcznym jej być powinien. Proszę pana zaprzestać tych przykrych scen i powiedzieć wyraźnie gdzie są książki i jak je mam odebrać.

— Nie! ja panią tak nie wypuszczę! — chrypiał gospodarz — pani tu, w tym pokoju, przysiądz mi musi, że z ust pani nie wyjdzie tajemnica, która hańbą pokryć dom mój może.

— O co panu chodzi? — rzekłam ze wstrętem, widząc, że ten człowiek drży o własną skórę i chce wykorzystać nawet śmierć żony, by tę skórę zabezpieczyć. — Jeżeli o to, by nazwisko pańskie nie było przezemnie związane wobec kogokolwiek ze sprawami nielegalnymi, to i owszem, mogę panu to przyrzec, tembardziej, że stanowi to mój obowiązek.

— Niech pani przysięga! — szeptał, biorąc krucyfiks ze stołu obok nieboszczki.

— Proszę zaprzestać komedyi! — krzyknęłam, wyrywając mu się z rąk — niech panu wystarcza moje przyrzeczenie.

Gospodarz domu z nienawiścią patrzył na mnie. Wreszcie po chwili namysłu postawił krucyfiks na stole i rzucił mi:

— Dobrze! niechże pani dotrzyma swej obietnicy! Proszę za mną!

W następnym pokoju był koszyk z bibułą, wsunięty pod łóżko. Zamek, wiszący przy koszyku, był zepsuty.

— Proszę zabrać swoje rzeczy! — rzekł do mnie ostro.

Zmusiłam go posłać po dorózkę, stróż zniósł mi koszyk na dół.

Byłam tak wzruszona, że nogi mi drżały i w głowie mi się kręciło, gdym schodziła ze schodów. Przechorowałam tę scenę, przez kilka dni stał mi w oczach pokój z trumną na stole i wściekłym gospodarzem, trzymającym mię jak w kleszczach za ramię.

Wobec tak skomplikowanych urządzeń i stosunków ze składami większymi, wobec niemożliwości użytkowania ze składowych instytucyj w każdej chwili, koniecznem jest rozdrabnianie księgarń — składów jeszcze bardziej, stwarzanie nowych, drobniejszych, lecz bliższych do konsumentów. W istocie, proszę sobie wyobrazić, że któremuś ze stolarzy naprzykład w agitacyi wśród kolegów z warsztatu okazała się potrzebna, przypuśćmy, broszura „Kto z czego żyje?“ — klasyczna popularyzacya teoryi Marksa. Nasz stolarz potrzebuje jej natychmiast; mówił o tej broszurze swemu agitowanemu koledze, spostrzegł zainteresowanie się sprawą robotniczą u niego i radzi mu przeczytać broszurkę, obiecuje ją dostarczyć. Gdyby to zapotrzebowanie iść musiało do centralnych składów-księgarń, przechodząc różne stopnie organizacyjne, gdyby takie drobne zapotrzebowanie musiało się stosować do kaprysów hurtownych składników i składniczek, straciłoby się dużo czasu i broszura mogłaby trafić do rąk konsumenta wtedy, gdy potrzeba już minęła i znikł ten nastrój, który stanowił o skuteczności wpływu broszury. Oprócz więc

hurtownych składów muszą istnieć i detailiczne.

Z natury rzeczy są one drobne. Kilka egzemplarzy najpopularniejszych broszur, kilka zapasowych numerów „Robotnika” — oto najczęstszy inwentarz tych małych, podręcznych księgarń. Każdy nieledwie agitator ma taki składzik z zapasowymi wydawnictwami, najbardziej potrzebnymi w robocie. Często i tutaj dla zabezpieczenia składu ludzie poszukują miejsca dla niego wśród swoich osobistych znajomych, nie biorących bezpośredniego udziału w czynnem życiu organizacyi. I bodaj największe usługi w tym wypadku oddają kobiety.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, takie detailiczne księgarnie bywają urządzone w fabrykach lub warsztatach. Nie zawsze jest to bezpiecznem, bo żandarmi często nie ograniczają się poszukiwaniem w mieszkaniach, zajmowanych przez podejrzane osoby. Przerzasaają oni biurka w kancelaryach, szafki z instrumentami w fabrykach i warsztatach. W Żyrardowie w 1900 r. aresztowano maszynistę, którego podejrzywano o rozpowszechnianie bibuły. Zrobiono przytem nastaraniej rewizyę w całej maszynszubie fabrycznej. Nie znaleziono nic. Po pewnym czasie wskutek zdrady jednego z wtajemniczonych zrobiono tam rewizyę po raz drugi. Tym razem poszukiwania wykazały, że w podmurowaniu maszyny parowej była ukryta taka właśnie detailiczna księgareńka.

Wogóle wśród robotników, którzy najbar-

dziej są narażeni na rewizye i napaści żandarmów, mocno jest rozwiniętą wynalazczość w kierunku urządzania różnych dowcipnych skrytek i schowanek dla podręcznych księgarń z niewielką ilością bibuły. Jak mnie zapewniano ze strony ludzi, znających dobrze te stosunki, te skrytki urządzone są nieraz po mistrzowsku i często zostają niewykryte przy najściślejszych rewizyach. Zdarzało się nieraz, że po aresztowaniu właściciela takiej skrytki bibuła leżała rok i więcej, pomimo, iż nowi lokatorowie w mieszkaniu, lub robotnicy w fabryce codzień mogli je wykryć. Opowiadano mi o wypadku — gdy któryś z warszawskich robotników zostawił w swem mieszkaniu niewykrytą przy rewizyi bibułę. Robotnik ten został skazany na wygnanie i po kilku latach wrócił do Warszawy. Po powrocie postanowił się dowiedzieć, co się stało z ową bibułą. Szczęśliwym trafem znalazł swe dawne mieszkanie, zajęte przez znajomego towarzysza partyjnego. Poszedł więc do niego i ku wielkiemu jego zdumieniu wyjął ze skrytki bibułę, nieco zresztą uszkodzoną i zbutwiałą od wilgoci.

Na prowincyi, gdzie otoczenie i tryb życia często jest na pół wiejskie, urządzenie detalicznej księgareńki jest znacznie łatwiejsze, niż w dużych miastach, jak Warszawa i Łódź. W tych warunkach wykorzystać można dziesiątki zakamarków i kącików, o których prawie z pewnością powiedzieć można, że są zupełnie bezpieczne i niedostępne dla najszczwańszych lisów żandarmskich. Tam też

często się zdarza, że przy aresztowaniach na ulicy lub w warsztatach współtowarzysze aresztowanych uprzedzą żandarmów i wyniosą z mieszkania wszystko, co może kompromitować aresztowanego, nim władza zdąży z rewizją. Oto wiadomo o takim właśnie fakcie w Zagłębiu Dąbrowskiem.

Zagłębie, którego poszczególne części, jak Sosnowiec lub Dąbrowa, rozwijają się i zaludniają z istic amerykańską szybkością, jest pod względem policyjnym i kulturalnym zwykłą, najobskurniejszą dziurą. Ani organy rządowe, idące w swym rozwoju ze zwykłym w Rosyi pośpiechem żółwia, ani instytucje kulturalne w społeczeństwie, skrepowanem przez barbarzyńskie prawa caratu, nie mogą dotrzymać kroku szybko postępującemu naprzód przemysłowi tego zakątka. Stąd wynika, że ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny — słowem nic prawie nie jest uregulowanem. Gdy więc kto wskaże swe miejsce zamieszkania, to nieraz trzeba dużo stracić czasu, nim się wskazany punkt odnajdzie. Żandarmerya, która w tych warunkach ma również utrudnione zadanie, załatwia się tam nieraz w ten sposób, że aresztuje robotników przy wyjściu z fabryki i dopiero stamtąd wyrusza na poszukiwanie mieszkania aresztowanego. Poszukiwania te trwają nieraz parę dni.

Otóż razu pewnego aresztowano w ten sposób robotnika, u którego na składzie leżało sporo bibuły. Aresztowany, licząc na pomoc towarzyszków, dał żandarmom o swem

mieszkaniu wskazówki tak nieokreślone, że ci w żaden sposób tegoż dnia trafić doń nie mogli. Wiadomość o aresztowaniu kogokolwiek szybko się rozchodzi. Współtowarzysze więc wiedzieli o wypadku tegoż dnia wieczorem. Wysłano naprzód na zwiady jednego ze spiskowców. Ten wrócił z zapewnieniem, że żandarmi dotąd nie dotarli do mieszkania. Wyruszono tedy w kupie z przygotowanym workiem. Jedni stanęli na straży wokoło, by umówionym sygnałem uprzedzić w razie czego innych, którzy zakradli się do mieszkania przez wybitą szybę i wyciągnęli stamtąd całą księgarnię. Żandarmi trafili do mieszkania dopiero nazajutrz, czy jeszcze później i naturalnie nic nie znaleźli.

Ma się rozumieć, towarzysze dąbrowscy mieli zadanie ogromnie ułatwione. Ciemności egipskie, brak policyi, błotniste drogi i ścieżki — wszystko to stwarza doskonały grunt zarówno dla istotnych rzezimieszków, jak i dla tych, co w jakimbądź celu brać na siebie muszą ich rolę.

Te drobne składy-księgareńki, rzecz prosta, sprawiają swym właścicielom i organizatorom również kłopoty przy panice podczas większych aresztowań, jak to widzieliśmy przy hurtownych składach. Kłopoty te są mniejsze, bo przecie z niewielką ilością bibuły łatwo sobie dać rady — nie przedstawia żadnej trudności przenieść ją w kieszeni, lub nawet zniszczyć w ostatecznej potrzebie. Uważam jednak za obowiązek przyznać, że te właśnie detaliczne składy, rozmieszczone najczęściej

wśród ludności robotniczej, mniej są narażone na szwank z powodu strachu składnika lub składniczki. Ludzie w tej sferze są stanowczo odważniejsi i więcej cenią pracę i poświęcenie, włożone w każdy egzemplarz bibuły w państwie cara.

Zdarzają się jednak wypadki, gdy panika ogarnia i odważniejsze serca. A że strach bardzo często jest najgorszym doradcą, bywały wypadki, że właśnie strach gubił ludzi. Opowiadano mi, że do Pabianic pod Łodzią raz pewnego przyjechali żandarmi. Niewiadomo było, do kogo się udadzą, lecz niektórzy z tych, co mieli coś niecoś na sumieniu, uznali, że jeśli żandarmi przyjechali, to niechybnie dla nich. Otóż jeden z tych ogarniętych strachem przypomniał sobie, że u niego leży kilka broszur. Biegnie czempredzej do domu i w pośpiechu zakopuje je na swym podwórku. Bojąc się jednak, by kto nie nadszedł, zakopał je bardzo płytko. Żandarmi zrobili parę rewizyj i nie zaczęli wcale o naszego tchórza. Lecz cóż się stało? Świnia, chodząc po podwórku, wyryła zakopaną świeżo bibułę i wysunęła jedną z broszur na ulicę. Spostrzegł to ktoś z władzy i w rezultacie naszego tchórza aresztowano. Odtąd, jakoby, w Pabianicach dla przestrogi młodych opowiadają historię o tem, jak „świnia zasypała towarzysza“.

Jak widzimy, w interesie bibulastym rozwiniętym jest system pośrednictwa. Książka lub broszura, nim dojdzie do rąk swego czytelnika, przechodzi przedtem przez cały sze-

reg łąk pośredniczących — komiwojażerów partyjnych, składników centralnych, hurtownych, wreszcie detailicznych.

Naturalnie powiększa to ilość pracy, włożonej w każdy egzemplarz bibuły, a zatem i wartość jego. Cały ten ogrom pracy pośredników, unikających w dodatku poczty jak ognia, jest wynikiem nielegalności pracy z bibułą, a cały misterny system składów, podskładów i składzików jest koniecznym skutkiem przystosowywania się do dzikich warunków politycznych w państwie rosyjskiem. Prześladowania rządowe wpływają na zwiększenie nieprodukcyjnej pracy pośredników pomiędzy wytwórcami i konsumentami bibuły do tego stopnia, że swemi rozmiarami, ilością ludzi, zajętych przy niej, przewyższa ona stokrotnie pracę ściśle produkcyjną. Pośrednictwo staje się dominującą częścią sprawy rozpowszechnienia bibuły i decyduje o ilości i nieprzerwalności w kursowaniu bibuły w kraju.

Na razie w P. P. S., która, jak to widzieliśmy we wszystkim, tyczącem się bibuły, stworzyła nowe wzory postępowania, robiono główny nacisk na produkcję bibuły. Zdawało się, że reszta, tj. pośrednictwo, przyjdzie samo przez się, zorganizuje się łatwo. W istocie dalsza część systemu — lokalne składy hurtowne i detailiczne składziki zorganizowały się bez trudu. Konieczny związek pomiędzy nimi był utrzymywany przez lokalne organizacje partyjne, mające w swem rozporządzeniu dostateczną ilość ludzi, by zarówno

system, jak i związek pomiędzy pojedynczemi ogniwami, nie ponosił szwanku.

Trudniejszym było dopasowanie centrów produkcji bibuły — granic i drukarni — do głównego składu, oraz tego składu do lokalnych składowych instytucyj. Dopóki bibuły nie było tak dużo, dopóki stosunki organizacyi nie sięgały dalej poza główne miasta i ogniska przemysłowe, wszystko szło jako tako. Sprawy bibulaste załatwiano się przygodnie — przy innych interesach, lub też przy okazjach. Nieliczni funkcyonaryusze partyjni dawali sobie z tem radę.

Lecz wkrótce ilość bibuły zaczęła się zwiększać, wymagania wzrastać, stosunki rozszerzać. To, co było dobrem i dostatecznem dla paru tysięcy egzemplarzy różnych wydawnictw i dla czterech, pięciu punktów organizacyjnych stało się niewystarczajacem, gdy chodziło o dziesiątki tysięcy egzemplarzy, gdy trzeba było zaglądać do dziesiątków miast i miasteczek.

Jeden z towarzyszków, entuzyastów bibuły, który w dodatku starał się zawsze o cyfrowe przedstawienie rzeczy, mówił mi rok temu:

— Nie masz wyobrażenia, jak się stosunki zmieniły! Dawniej, gdy się sprowadziło 500 egzemplarzy jakiej broszury, to się miało cały rok zapewniony. Szło to sobie powoli, kropelkami. Teraz 300—400 egzemplarzy porządnej, łatwej do czytania broszury wystarcza zaledwie na pierwszą porcję. Puścisz tę parę setek i jeszcze się nasłuchasz pretenzji, że za mało tu lub gdzieindziej dano.

Mniej więcej w ten sam sposób przedstawiano mi rzeczy w Londynie, głównym wydawniczym punkcie dla socjalistycznych broszur polskich, przeznaczonych dla zaboru rosyjskiego.

Dawne wydawnictwa, z okresu przed P. P. S-owego, które rozchodziły się powoli, już się zupełnie wyczerpały. A teraz, gdy trzeba dawać nowe wydania starych rzeczy, lub wydawać świeże, nie warto bić mniejszej ilości jak 7—10 tysięcy, ilości niesłychane dla poprzedniego stadyum ruchu.

Z chwilą więc, gdy przygodne załatwianie interesów bibulastych przy rozwoju stosunków stało się utrudnionem, zaczęło się wkraść zamieszanie do organizacji pośrednictwa w dostarczaniu bibuły z instytucyj centralnych do lokalnych. Nieliczni funkcyonaryusze byli przeciążeni pracą, którą dotąd uważali dla siebie jako dodatkowy, przygodnie wypełniany obowiązek.

Jeden z towarzyszków, który w tym właśnie okresie pracował, opowiadał mi ze złością:

— Bibuła zapanowała nad nami, byliśmy jej niewolnikami, sługami. O niczem innem niepodobna było myśleć, jak tylko o walizkach, jazdach z bibułą, umowach o dostarczenie tego lub owego z centralnego składu. Towar panował nad wytwórcą. Brr... — wstrząsał się — paskudny był to czas!

Naturalnem wyjściem z tego położenia rzeczy było wyodrębnienie sprawy pośrednictwa pomiędzy centralnemi zbiorowiskami bibuły a lokalnemi księgarniami-składami w osobną

funkcję organizacyjną. Bibuła w ten sposób panuje nieograniczenie nad ludźmi, do tej funkcji przystawionymi, lecz za to inni są wolni od tej troski i mają do czynienia z bibułą tylko o tyle, o ile wchodzi ona w zakres bezpośrednich czynności organizatorskich i kolporterskich.

Przy takim wyodrębnieniu funkcyj bibulastych i oddaniu ich w ręce rzeczywistych niewolników bibuły, znikać też musi stopniowo i przygodność, wypadkowość w załatwianiu spraw, związanych z bibułą. Cała maszynerya, mająca na swe usługi specjalistów, nabiera precyzji w działaniu i regularności w ruchach.

Takimi specjalistami są towarzysze, zajęci przy rozwożeniu bibuły do różnych lokalnych składów-księgarni. O kłopotach ich z powodu zajazdów opowiadałem wyżej, wykazałem, jak bardzo obciążoną jest ich pamięć drobnymi szczegółami. Lecz nie jest to wszystko. Skazani są oni w dodatku na spędzanie nieledwie połowy swego czasu w dusznych wagonach kolejowych. Właściwie nazwaćby ich można komiwojażerami od bibuły.

O szerokości tego interesu w P. P. S. świadczyć może następujące obliczenie, zakomunikowane mi przez ludzi, prowadzących rachunki partyi. Jako osobna rubryka wydatków partyjnych figurują w rachunkach „bilety kolejowe“. Przeciętnie w rubryce tej co miesiąc rachmistrze partyjni wpisują cyfrę — 500 rubli. W niektórych miesiącach, jak mi mówiono, wydatki te dochodzą do 600 rubli

(756 guldenów, czyli 1500 koron). Jak mnie zapewniano, połowa tej sumy jest wydawaną przez komiwojażerów od bibuły, reszta przypada na różne organizacyjne wyjazdy. Jeżeli zaś przyjmiemy pod uwagę, że taryfa pasażerska na kolejach rosyjskich jest najniższą w Europie i że cały obszar Polski razem z częścią Litwy, objętej przez działanie P. P. S., nie jest znowu tak duży, łatwo zrozumimy, jak częste są podróże komiwojażerów, zmuszonych wydawać rocznie 3000 rubli na bilety kolejowe.

Opowiadano mi, że z powodu tych częstych podróży jeden z żartownisiów podawał projekt, by partya zwróciła się do zarządów kolejowych z wymaganiem zniżki na biletach dla swych funkcyonaryuszów, dających tak knaczny zarobek kolejom. Inny dowcipniś żartował, mówiąc:

— Na naszych komiwojażerach nie sprawdza się znane twierdzenie znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, że każdy rosyjski poddany składa się z trzech części: ciała, duszy i... paszportu, albowiem ci najczęściej paszportu nie posiadają. Natomiast — twierdził — możnaby sformułować względem nich tę myśl inaczej: składają się oni z ciała, duszy i... przewodnika kolejowego, z którym się nigdy nie rozstają równie dobrze, jak prawowierny poddany rosyjski z paszportem.

W istocie książka z rozkładem kolejowym jest najczęstszą lekturą komiwojażerów. Wszystkie kwestye, tyżące się ruchu pasażerskiego na kolejach, są przez nich znako-

micie wystudyowane. Ile i gdzie jaki pociąg stoi na stacyi, gdzie się pociągi krzyżują. w jakich pociągach znajdują się wagony komunikacyi bezpośredniej z dalszemi kolejami, dopłaty kolejowe, które koleje mają najwygodniejsze wagony — wszystko to są sprawy, co do których najlepszych informacji zawsze udzielić może towarzysz-komiwojażer.

Specyjalną uwagę zwracają komiwojażerowie na szpiclów na dworcach i zielonych. Wobec tego, że pociągi, idące od granic państwa, są najbardziej strzeżone, wybierać nieraz trzeba, szczególnie gdy się jedzie z rzeczami, takie pociągi, które na stacyi, będącej celem podróży, nie spotykają pociągów nadgranicznych. Uważać też należy na dworcach kolejowych na podejrzanę figury, kryjące się po kątach. Słowem głowa biednych komiwojażerów jest wiecznie przepełniona szczegółami i drobiazgami zajazdowymi, składowymi, kolejowymi, a rozmowy kręcą się zwykle około przygód kolejowych i szpiclów na dworcach.

Wobec tak częstych podróży kolejowych komiwojażerowie spotkać się też musieli z plagą kolei rosyjskich — złodziejami, operującymi w pociągach. Oto fakt, o którym słyszałem od jednego z towarzyszków.

Razu pewnego komiwojażer z bibułą, zapakowaną w niewielką ręczną walizkę, wyruszył z Warszawy do jednego z miast prowincjonalnych. Wobec zmiany zajazdu miał go spotkać na dworcu jeden z towarzyszków miejscowych, który musiał go zaprowadzić

do nowego przeznaczonego na zajazd mieszkania. Gdy pociąg wchodził na stację, nasz komiwojażer stał przy oknie przedniego wagonu i lustrował publiczność na peronie dworca, chcąc zawczasu wiedzieć, w którym miejscu stoi spotykający go towarzysz, żeby niepotrzebnie nie kręcić się potem na peronie.

W istocie spostrzegł z okna oczekującego go towarzysza, lecz niedaleko od niego dojrzał też znanego mu z poprzednich podróży szpicla. Postanowił więc skontrolować zachowanie się szpicla i przekonać się, czy nie stoi on przypadkiem dla towarzysza na peronie. Gdy zatem pociąg stanął, wyskoczył zeń bez bibuły, chcąc zobaczyć, co będą robić obserwowani przezeń ludzie. Po chwili przekonał się, że obawy jego były mylnymi. Oczekujący go towarzysz siedł w kierunku lokomotywy, gdyż spostrzegł komiwojażera w oknie pierwszego wagonu, a szpicel pobiegł lustrować pociąg w jego ogonie. Uspokojony komiwojażer wraca do wagonu po swój bagaż i prosi sobie wyobrazić jego przestרח i zdziwienie, gdy go na miejscu nie znajduje.

Rozpytuje sąsiadów i dowiaduje się, że przed chwilą wszedł do wagonu jakiś człowiek i zabrał pakunek, jak własny. Sąsiedzi z ciekawości rozpytują, czy to nie złodziej, chcą iść do żandarma kolejowego, opisując cechy zewnętrzne człowieka, który zabrał rzeczy. Nasz komiwojażer był w ogromnym kłopotcie. Bibuły szkoda, lecz zarazem niepodobna odszukiwać złodzieja. Żandarm otwo-

rzy walizkę, znajdzie tam bibułę — i oprócz bibuły zginie i człowiek. Naprędce więc uspokoił sąsiadów twierdzeniem, że z opisu poznaje znajomego, z którym jechał i który prawdopodobnie czeka go na peronie. Publiczność uspokoiła się, a nasz niefortunny komiwojażer zdetonowany wyszedł z wagonu, by opowiedzieć swą przygodę towarzyszowi.

Zdarzają się też inne przygody kolejowe. Wybieram z pomiędzy słyszanych dwie dosyć charakterystyczne.

Jeden z towarzyszków wiózł w ciężkiej walizce bibułę. Był wściekle głodny, więc na większej stacyi wyskoczył, by przegryźć cokolwiek w restauracyi stacyjnej. Niestety chciało, że pociąg z powodu opóźnienia stał na stacyach krócej, niż mu wypadało według rozkładu jazdy. Nasz towarzysz zagapił się i opuścił porę wsiadania — pociąg ruszył bez niego, uwożąc walizkę z bibułą. Nie długo myśląc, komiwojażer zadeszował, by rzeczy jego zatrzymano do następnego pociągu. Opisał zewnętrzne cechy walizki, miejsce, przez siebie zajmowane w wagonie, liczył więc na to, że mu wydadzą walizkę bez kłopotu i protestu. Przed odjazdem otrzymał depeszę, że rzeczy jego zatrzymano o kilka stacyj dalej i są u żandarma.

Uspokojony przybywa wreszcie na oznaczoną w depeszy stację i zwraca się do żandarma kolejowego, żądając zwrotu swej walizki. Żandarm pokazuje mu walizkę, którą nasz towarzysz uznał za swoją, lecz oznajmia, że w takich wypadkach prawo mu na-

kazuje zażądać od pasażera opisu rzeczy, znajdujących się w walizce, którą może wydać dopiero wówczas, gdy się przekona, że w istocie w walizce znajdują się wskazane przez pasażera rzeczy.

Nasz towarzysz zaczął się śmiać z tych wywodów żandarma, dowodząc, że przecie nikt inny, jak właściciel, nie depeszował o zatrzymanie walizki i na dowód pokazał kwit urzędu telegraficznego. Żandarm jednak nie dawał się przekonać i nastawał, by towarzysz wymienił rzeczy, znajdujące się w walizce i otworzył ją przy nim. Zakłopotanie biednego komiwojażera wzrastało. Zaczął niby szukać w kieszeniach kluczyka od walizki, wymieniając nieistniejące wcale rzeczy. Tymczasem zbliżał się czas odjazdu i wreszcie żandarmowi dokuczyło to oczekiwanie; zapisał więc tylko nazwisko i adres naszego towarzysza — naturalnie zmyśłone — i oddał mu walizkę, nie otwierając jej wcale.

O innej przygodzie, z nieco bardziej tragicznym skutkiem, opowiadano mi niedawno.

Towarzysz wiozł odezwy z aresztowanej przed paru miesiącami drukareńki w Brześciu. Siadł do wagonu wieczorem, a że przedtem parę nocy nie dosypiał w podróżach i znalazł odpowiednie miejsce, położył się na ławce i wkrótce zasnął, zostawiwszy zawiniątko z odezwami na siatce dla bagażu ręcznego. Wypadkowo jakiś kupiec, który miał jechać tym samym pociągiem i wniósł swój pakunek do wagonu, dla jakichś powodów został na stacyi, zapominając o swych rzeczach. Depe-

szował więc, by jego bagaż ręczny zatrzymano.

Wskutek depeszy konduktorowie szukali zapomnianego pakunku w wagonach. Czy zawiniątko z odezwanami było zewnętrznie podobne do bagażu owego kupca, czy też nie doszukawszy się właściciela zawiniątka, bo nasz towarzysz spał w najlepsze, konduktor przypuszczał, że pakunek bez właściciela jest poszukiwanym przez kupca bagażem — dosyć, że zawiniątko z odezwanami zabrano i odesłano na stację, oznaczoną przez kupca. Nasz towarzysz, gdy się obudził, odezwa już nie znalazł i gorzko sobie wyrzucał, że nie wziął zawiniątka pod głowę. Sądził, że rzeczy mu skradziono.

Wkrótce jednak okazało się, że z powodu tych odezwa wynikła cała awantura. Kupiec zgłosił się na stację po zapomniane rzeczy, lecz tam aresztowano go natychmiast — zawiniątko zwróciło uwagę żandarma, który zrewidował zawartość bagażu i znalazł tam nielegalne druki. Biedny kupiec, jak mi opowiadano, siedział parę tygodni w więzieniu, nim się cała sprawa wyjaśniła i znaleziono właściwe rzeczy, zapomniane przez niego w wagonie. Rzeczywistego właściciela zawiniątka z odezwanami — towarzysza, który zasnął w wagonie, nie odszukano.

Do kłopotów komiwojażerskich należy też pomiędzy innemi staranie się o odpowiednie opakowanie przewożonej bibuły. W jednym wypadku, gdy się zajeżdża do domu inteligencko-burżuazyjnego, trzeba mieć porządne,

dobrze wyglądające walizki, sak wojaży i tym podobne rzeczy. W innym, gdy się ma zająć do proletaryackiego mieszkania, takie właśnie porządne podrózne necessery zwracają niepotrzebnie uwagę. Oprócz tego przewozi się bibułę w rozmaitych ilościach. Jak niepodobna wieźć dużo bibuły w małym koszyku, tak zarówno unikać należy przewożenia niewielkiej ilości druków w dużych pudłach i walizach.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego! Dostyc jest mieć asortyment waliz, koszów, pasów rzemieennych, by odpowiednio do potrzeby wybrać zeń należyte opakowanie. W istocie zaś nie tak łatwo to urządzić. Zajeżdża naprzykład komiwojażer do przygotowanego dla niego mieszkania. Oprócz tego interesu ma on do załatwienia jeszcze inne — musi się z tym lub owym towarzyszem zobaczyć w innym punkcie, musi zjeść obiad, powinien się zastosować do warunków zajazdu, które to warunki często nie pozwalają na odebranie natychmiastowe przywiezionej walizki, albo na zjawianie się powtórne w mieszkaniu zajazdowem. Nieraz z zajazdu bibuła nie może być wyekspedytowaną do składu odrazu, a komiwojażer musi śpieszyć do pociągu, by zdążyć na następną randkę. I oto w rezultacie asortyment już jest zepsuty, ta lub owa rzecz „posiana“, jak się mówi w technicznym języku komiwojażerów.

Takie wypadki zdarzają się na każdym kroku, a że wyjazdy z bibułą są częste, więc biedni komiwojażerowie są w wiecznej po-

goni za walizkami, koszykami, paskami. Pie-
niędzy często brak na drogę lub jedzenie,
więc kłopot jeszcze bardziej się zwiększa
i komiwojażerowie często pożyczają u tego
lub owego znajomego odpowiednią walizkę
lub koszyk i wówczas oprócz innych intere-
sów, leżących na ich głowie, powstaje nowy:
odebranie i odwiezienie pożyczonej na czas
pewien walizki.

W dodatku, jeśli sobie czytelnik przypo-
mni to, com mówił o trzecim pasie pograni-
cznym, zrozumie, że takie lub inne opakowa-
nie bibuły ma swe znaczenie dla nadania po-
zorów odpowiednich wobec zielonych, stoją-
cych na dworcach i stacyach kolejowych.
Pod tym względem są brane pod uwagę
wszystkie właściwości danej walizki lub to-
rebki podróźnej i specjalnie jest cenioną ce-
cha nie często się spotykająca — mianowicie
pakowność, tj. możność umieszczania wielkiej
ilości bibuły przy zewnętrznych pozorach nie-
dużej objętości. Jak wielką wagę przywią-
zują komiwojażerowie do swych walizek i to-
rebek, wnioskować można z pewnego uosabia-
nia tych martwych rzeczy. W języku ich wa-
lizki i torebki noszą nazwy „blondynek“,
„brunetek“, „rudych facetek“ — stosownie
do koloru skóry, która stanowi zewnętrzną
stronę opakowania bibuły.

Wobec tego, że te szanowne „panie“ zwy-
kle ulegają zaprzepaszczeniu, czyli „posianiu“
w zajazdach i składach, toczy się o nie wie-
czna wojna pomiędzy komiwojażerami i to-
warzyszami lub towarzyszkami, zarządzają-

cemi powyższymi instytucjami. I oto do instrukcyj, udzielanych sobie wzajemnie przez komiwojażerów, wciskają się nowe szczegóły.

— A nie zapomnij pan — dodaje jeden z nich przed odjazdem drugiego — wyciągnąć z N. N. brunetkę, com ją posiał ostatnim razem. Wspaniała facetka: lekka jak anioł, a pakowna jak studnia! Taka mi jej szkoda, jakby mi rękę kto uciał. Te szelmy z zajazdu gotowi ją nam zaprzepaścić na amen!

Albo też do przeładowanej już szczegółami podróży głowy wyjeżdżającego komiwojażera dodaje się jeszcze jeden szczegół:

— Słuchaj! jak będziesz w Zagłębiu, wstąp tam do X. U nich od dawna już leży posiana brunetka. Podła to sztuka i nic nie warta, ale pożyczyłem ją u Z. i ten ananas gwałtownie domaga się zwrotu. Trzeba być uczciwym w interesach, bo jak przyjdzie bieda, nie znajdziemy nigdzie pomocy. Zawieź ją chociażby do kogokolwiek w Warszawie, będzie potem łatwiej zrobić z nią porządek.

Opisany wyżej system pośrednictwa jest, zdaniem mojem, jedynym systemem, mogącym zabezpieczyć prawidłowe i stałe rozpowszechnianie druków nielegalnych w warunkach politycznych państwa rosyjskiego. Gdzie tych ogniw, łączących wytwórców z konsumentami, niema, tam nie może być i mowy o stałym dopływie bibuły — krwi ożywczej dla organizacji rewolucyjnej pod caratem.

KOLPORTERKA.

Najbardziej pierwotnym sposobem rozpowszechniania bibuły jest rozrzucanie nielegalnych wydawnictw. Sposób ten ma niezaprzeczenie swoje dobre strony. Przedewszystkiem jest nadzwyczaj konspiracyjnym.

Znajdujący bibułę gdziekolwiek: na ulicy, podwórku, warsztacie lub fabryce — nie zna i nie widzi tego, który bibułę rozrzucił i w razie złapania u niego książki niecenzuralnej ma łatwy i naturalny sposób usprawiedliwienia się przed władzą. „Znalazłem tam i tam“ — brzmi lakoniczna, nikogo nie kompromitująca odpowiedź na żandarmskie rozpytywanie o bibułę.

Następnie rozrzucenie daje się względnie łatwo uskutecznić i nie wymaga wcale istnienia szerszej organizacyi kolporterskiej, ani też obszernych stosunków wśród ludzi, dla których bibuła jest przeznaczona. Przecie znacznie łatwiejszem i bezpieczniejszem jest rozrzucenie, dajmy na to, stu egzemplarzy jakiegoś wydawnictwa, niż posiadanie stu znajomych ludzi, którzy wezmą te egzemplarze z rąk do rąk. Idź i syp na prawo i lewo — recepta to nie trudna, a wykonanie jej uwarunkowane jest jedynie krótkotrwałem wyładowaniem pewnej energii u niewielkiej ilości ludzi.

Wobec tego rozrzucanie nielegalnych wy-

dawnictw partyjnych spotykamy wszędzie przy pierwszych krokach, stawianych przez organizację rewolucyjną. Jak mnie zapewniało, więcej, niż połowa nakładu „Robotnika“ w początkach jego istnienia, w roku 1894 i 1895, była rozsypywana wśród ludności fabrycznej i rzemieślniczej w głównych ogniskach przemysłowych Polski. To samo było z „Górnikiem“, wydawanym przez P. P. S. dla zagłębia dąbrowskiego. Według relacji, otrzymanych przezemnie co do Rosyi i Ukrainy i tam dotąd przeważa system rozrzucania wydawnictw — odezw i broszur rewolucyjnych — wśród ludu pracującego.

Jeden z towarzyszków, który pracował właśnie w tym pierwszym okresie ruchu w zagłębiu dąbrowskiem, opowiadał o swych wrażeniach w sposób następujący:

— Żle staliśmy wówczas pod względem organizacyjnym w zagłębiu. Ludzi w organizacyi było bardzo mało, socjalizm też był ideą o tyle nową, że wśród robotników, stojących na dosyć niskim stopniu kulturalnym, trudno było go rozpowszechniać ustnie. Oswajaliśmy masy z „dobrą nowiną“ socjalizmu przez rozrzucanie wydawnictw naszych w wielkiej ilości.

Prawie co wieczór garstka nasza wychodziła na robotę. W kieszeniach każdy z nas miał kupkę najpopularniejszych broszur — głównie rozpowszechnialiśmy „Sprawę górniczą“, specjalnie dla górników przeznaczoną. Każdy z nas znał wertepy zagłębia, jak swoją kieszeń. Było to koniecznie potrzebnem,

bo wypadło nam trafić do określonych zawczasu punktów w nocy, omijając zarówno bardziej zaludnione miejscowości, jak doły i odkrywki kopalniane, w których łatwo kark skreć.

Chodziliśmy dla bezpieczeństwa parami i z góry określaliśmy dla każdej pary miejscowość, którą obejść należało. Dopiero nad ranem po nużającej wędrówce po błocie dąbrowskiem przychodziło się do domu zmęczonym i wyczerpanym zupełnie.

Wkrótce zaczęły krążyć legendy o tajemniczych ludziach, rozrzucających książeczki. Dochodziły do nas wieści o rozmowach, toczonych wśród robotników pod wpływem bibuły. Nasze broszury spadobały się ludziom. W pamięci zostało u mnie parę scen, świadczących o takim sympatyzującym stosunku ludności robotniczej do bibuły.

Razu pewnego już nad ranem, gdym kończył swoją robotę i zostało mi parę broszur w kieszeni, postanowiłem podrzucić je w najbliższej kolonii robotniczej — grupie domków górniczych, otaczających najbliższą kopalnię. Szedłem szybko, zamyśliłem się i nie spostrzegłem, że w okienku, do którego zmierzałem, świeci się mdły ogieniek, że ludzie już tam wstali. Gdym to dojrzał, stałem już przed oknem, tak, że nie tylko ja widziałem wewnątrz ubogiego pokoiku, lecz i sam byłem widocznym dla mieszkańców lokalu.

W pokoju górnik śpiesznie ubierał się a żona jego jeszcze w koszuli przygotowała mu śniadanie. Oboje spostrzegli mnie przed

oknem i wyraz twarzy ich mówił o zdumieniu. Bałem się, by nie zrobili alarmu, mógłbym bowiem być złapanym jako złodziej. Postanowiłem zaryzykować.

Wyciągnąłem z kieszeni książeczkę, pokazałem ją przez okno górnikowi i położyłem na murze koło okna. Na twarzy górnika zakwitł uśmiech — zrozumiał, o co mi chodzi — oboje zakiwali głowami w znak zgody i podziękowania. Uspokojony ruszyłem do domu.

Innym razem, podchodząc w ciemności do domków robotniczych, nie spostrzegłem, że obok domu stał człowiek. Gdy wyciągnąłem z kieszeni książeczkę i zamierzałem ją położyć koło okna, wpadł na mnie pies, ujadając wściekle. Chciałem się wycofać z interesu, gdy usłyszałem głos.

— Pójdź tu, psia krew! — odwoływał ktoś psa, ktoś stojący odemnie bardzo blisko.

Zrozumiałem, iż ten, kto odwoływał psa, musiał widzieć moje ruchy, musiał dostrzedz i broszurę, wyjmowaną z kieszeni. Położyłem więc spokojnie bibułę tam, gdzie zamierzałem i oddaliłem się. Pies raz jeszcze spróbował spełnić swój obowiązek i groźnie zaszczekał. Po chwili jednak usłyszałem uderzenie i przeraźliwe skomlenie uderzonego psa, którego raz jeszcze powstrzymał ów nieznajomy.

Naturalnie, taki prosty sposób rozrzucania bibuły nie jest przydatnym dla miast, porządnie obsadzonych policją i szpiegami — jak Warszawa albo Łódź. Tam proces rozrzucania wymaga większego nakładu pracy i sprytu. Opowiadano mi pomiędzy innemi, że przez

dłuższy czas w Łodzi udawało się rozpowszechniać sporą ilość „Robotnika“ przez łobuzów ulicznych.

Dawało się takiemu chłopcykowi paczkę „Robotnika“ i złotówkę lub czterdziestkę z nakazem, by rozdał „te ogłoszenia“ robotnikom przy wyjściu ich z fabryki. Robiło się to przed samym końcem roboty, tak, że chłopak mógł widzieć, iż oddawca „ogłoszeń“ kontroluje go przy spełnianiu wziętego na się obowiązku.

W istocie, chłopak stawał u wyjścia z fabryki i gdy robotnicy tłumnie zaczynali wychodzić z furtki lub bramy, raz po raz wysuwał egzemplarz „ogłoszenia“, podając go przechodniowi. Policya, gdyby nawet i była na ulicy, nie spostrzegłaby nic zdrożnego, bo taki malec z „ogłoszeniami“ ginął w ogromnym, liczącym kilka setek ludzi, tłumie.

— Zabawnem było — mówił mi towarzyszy z Łodzi — obserwować, co robią ludzie z otrzymanym „Robotnikiem“. Niektórzy rzucali okiem na tytuł i pospiesznie chowali papier do kieszeni. Inni z miną wystraszoną oddawali pismo chłopakowi, lecz byli i tacy, którzy tutaj, na ulicy stawali i przeglądali otrzymane „ogłoszenie“. Tworzyły się nawet grupki ludzi, otaczających zwartą masą jednego, który widocznie na głos czytał ten lub inny ustęp z „Robotnika“. Najzabawniejszem zaś było patrzeć na „salcesona“ — tak w żargonie złodziejskim nazywają policyantów — który z najobojętniejszą w świecie miną patrzył filozoficznie na otoczenie, nie przeczuwając,

że tuż obok niego dzieją się tak zdożne i buntownicze rzeczy.

Po pewnym czasie doszło jednak do wiedzy władzy, że ktoś rozdaje pod fabrykami „buntownicze“ pisma. Któregoś z chłopaków przyłapano na gorącym uczynku i trzeba było zaprzestać rozdawnictwa „ogłoszeń“.

Pomimo jednak prostoty i łatwości samego procesu rozrzucania bibuły, sposób ten ma i odwrotną stronę, która stopniowo ogranicza zastosowalność jego przy rozpowszechnianiu druków nielegalnych i zmusza szukać innych, bardziej skutecznych, bardziej płodnych w rezultaty.

Przedewszystkiem więc taką odwrotną stroną medalu przy rozrzucaniu bibuły jest zupełny brak danych o osobie, której się podrzuca ten lub ów druk zakazany.

Wobec tego, że przy rządach carskich ogromną część ludności stanowią analfabeci — bibuła często trafiać musi do ludzi, którzy z niej żadnego pożytku mieć nie mogą. Oprócz tego bibuła łatwo trafić może do rąk niepożądanych, do jej wrogów czy to z urzędu — szpiegów i urzędników — czy to z ciemnoty — ludzi, zostających pod wpływem naprzykład księży w wypadku, gdy bibuła jest socjalistyczną. Dodajmy jeszcze tchórzowstwo, które zmusza wielu do niszczenia każdego nielegalnego druku, dodajmy ludzi zupełnie obojętnych na wszelkie wpływy, którzy ani zajrzą do podrzuconego egzemplarza bibuły, a zrozumimy, jak mało produkcyjnym jest sposób rozrzucania. Można z pewnością po-

wiedzieć, że dwie trzecie bibuły rozrzuconej ginie bez pożytku, pozostaje bez wpływu.

Stąd wynika druga ujemna cecha systemu rozrzucania — jego kosztowność. Wobec trudności przy sprowadzaniu bibuły i przy jej produkcji w kraju każdy egzemplarz druku zakazanego kosztuje sporo. Jak mi opowiadano, obliczenia P. P. S. wskazują, że koszt transportu podnoszą mniej więcej cenę książki lub broszury w dwójnasób. Można więc sobie wyobrazić, jakie mnóstwo pieniędzy wrzuca się najliteralniej w świecie w błoto, gdy się trzyma systemu rozsypywania i podrzucania bibuły. Przecie w tym wypadku nie może być i mowy, by wrócił choć jeden cent z pieniędzy, wydanych na wydrukowanie i przetransportowanie książki, czy broszury.

Najgorszem jednak w systemie rozrzucania jest jego minimalna skuteczność pod względem organizacyjnym, jego niezdolność do przysparzania członków organizacyi, do związywania ludzi z grupą rewolucyjną rozsypującą bibułę. Bibuła w tym wypadku spada ludziom z nieba, otrzymują ją oni bez zaciągania przy tem jakichkolwiek zobowiązań względem tych, od kogo ona pochodzi. Więcej nawet; przy stałem stosowaniu tego systemu ludzie się przyzwyczajają do uważania siebie za przedmiot jakichś operacyj, dokonywanych nad nimi przez kogoś im obcego, nieznanego, niczem z nimi nie związanego.

Wpływ bibuły w tym wypadku, na razie może i silny, słabnie, a w każdym razie jest zupełnie nieuchwytnym — nie daje się ani

zmierzyć, ani regulować. Organizacja, uprawiająca stale i jedynie system rozrzucania swych wydawnictw, staje się podobną do jeźdźca, który w rękę niema cugli do kierowania rumakiem. Szczególnie zgubnym jest taki skutek systemu rozrzucania dla organizacji socjalistycznej, która siłę swą czerpać musi nie tylko z świadomości ludu pracującego, lecz i z organizowania jego w swych szeregach, z udziału jego w pracach i działalności organizacyjnej. System rozrzucania bibuły stosowanym być może jedynie jako sposób przejściowy, stopień, po którym wspiać się można wyżej, by wyjść na normalniejszą drogę.

Zresztą, każda organizacja, która się rozwija drogą naturalnej ewolucyi dojść musi do ograniczenia, jeśli nie do zupełnego porzucenia tego sposobu. Bo gdy szeregi organizacyjne rosną w liczbę, rośnie też i ilość bibuły, spotrzebowanej w łonie organizacji. A że zdolność wytwórcza organizacji dla bibuły nie jest czemś nieograniczonem, że z konieczności wzrastać ona może tylko wolno, nie gwałtownie, ilość bibuły, pozostającej dla rozrzucenia, stopniowo musi maleć, redukować się do coraz mniejszej liczby.

Znamienną jest ewolucya, dokonana pod tym względem przez P. P. S. przy rozpowszechnianiu swego organu — „Robotnika“. Zaczęto od tego, że połowę nakładu, który wynosił wówczas 1200 egzemplarzy, rozrzucano. Jak mi opowiadano, stosunki organizacyjne partyi podlegały w owe czasy takiej flukтуа-

cyi, że przy niektórych numerach początkowych, zaledwie czwarta część nakładu szła z rąk do rąk w łonie samej organizacji. Stopniowo jednak sytuacja się polepszała z każdym miesiącem. Organizacja wznagala się. rosły też żądania bibuły.

Wobec tego rozpoczęto walkę z systemem rozrzucania bibuły. W tych stosunkach, gdzie uprawiano ten sport na większą skalę, obcinano żądania, dając mniejszą ilość „Robotnika“ dla rozpowszechnienia. Pomimo to już w 1896 roku — w dwa lata po rozpoczęciu wydawnictwa — trzeba było powiększyć nakład do 1300, 1400, wreszcie do 1500 egzemplarzy. Jak mi opowiadano, walka z rozrzucaniem bibuły, a szczególnie „Robotnika“, trwała dosyć długo. Ludziska ogromnie się do tego sposobu rozpowszechniania wciągnęli i przyzwyczaili. Przytaczano rozmaite argumenty w celu utrzymania go i nadal, a niepoślednią rolę odgrywał jakoby argument o bezpieczeństwie rozpowszechniających w ten sposób bibułę.

Z czasem jednak zwycięstwo zostało odniesionem — „Robotnika“ przestano rozrzucać, a zarazem liczba jego czytelników stale wzrastała. W roku 1899 biliśmy już 1900 egzemplarzy. Od tego czasu nakład nie wzrastał. Na przeszkodzie stoją warunki techniczne. Przy wzrastaniu liczby odbijanych egzemplarzy wzrastać też musi, rzecz prosta, i czas, zużyty na pracę przy maszynie. I „Robotnik“, który już teraz wymaga 15—16 dni dosyć ciężkiej roboty, musiałby ukazywać się rzadziej.

W tych warunkach, jak mi opisywano, zarząd partyjny zmuszony jest obcinać wszelkie żądania „Robotnika“, odmawiać stale natarczywym wymaganiom poszczególnych organizacji co do zwiększenia ilości otrzymywanych egzemplarzy pisma. Czytelnicy, którzy z konieczności zastosować się musieli do tego postanowienia, znaleźli radę na nie-szczęście. Nastąpił proces, że go tak nazwę, zrzekania się czytelników „Robotnika“. Polega on na tem, że grono ludzi, dobrze znających się wzajemnie, umawia się o kolejkę, jaką obiegnie nowy numer „Robotnika“ całe zrzeszone koło. Grono ludzi, w ten sposób zrzeszonych, składa się nieraz z 10 stałych czytelników bibuły. Najbardziej rozpowszechnionym jest ten nowy sposób w najstarszych, dobrze ugruntowanych organizacjach, które, rzecz prosta, są najbardziej przez zarząd partyjny krzywdzone przy podziale nakładu „Robotnika“ na rzecz nowych, zawiązujących się organizacji.

Nie trzeba jednak sądzić, że podrzucanie bibuły zostało zaniechanem w zupełności. Praktykuje się ono dotąd, nieraz na szeroką skalę, lecz w każdym wypadku posiada ono cechy pewnej celowości i spowodowane jest chęcią wywołania z góry określonego efektu. Przedewszystkiem więc podrzuca się bibułę ludziom, których się chce wypróbować.

Zrozumiałą jest rzeczą, że przy okrutnych prześladowaniach, jakie spadają na organizacje rewolucyjne pod caratem, trzeba być bardzo ostrożnym przy przyjmowaniu nowych

członków do organizacyi. Trzeba zbadać nie tylko przekonania i poglądy kandydata, lecz i jego charakter osobisty. Takim probierzem zarówno poglądów, jak charakteru bywa nieraz egzemplarz bibuły, podrzucony badanemu kandydatowi. Co kandydat z bibułą zrobi — zniszczy ją, czy puści dalej, odda ją w ręce władzy rządowej lub fabrycznej, co będzie mówił o podrzuconym egzemplarzu druku — wszystko to bierze się w rachubę, zważa się i ocenia.

Opowiadano mi o jednej takiej próbie, dokonanej w mrocznych korytarzach którejś kopalni w zagłębiu dąbrowskiem.

Ludzie zorganizowani w tej kopalni mieli chrapkę na jednego z górników, który podo-
bał się z powodu dosyć wysokiego poczucia
godności osobistej, jakim ów kolega pracy
wyróżniał się z pomiędzy otoczenia. Lecz
górnik był mrukiem i niechętnie prowadził
rozmowy, trudno więc było go wysondować.
Postanowiono dla próby podrzucić mu egzem-
plar „Górnika“. Położono bibułę w załomie
filaru węglanego, obok miejsca, gdzie ów
górnik zwykł był składać różne rzeczy, gdy
mu zawadzały przy robocie.

Sprawdzono, że bibuła znikła, więc górnik
badany przez towarzyszków musiał ją zabrać,
lecz wobec jego milczenia nie można było
określić stosunku jego do bibuły i idei przez
nią reprezentowanej. Postanowiono prowadzić
próbę dalej. Gdy wyszedł nowy numer „Gór-
nika“, podrzucono go znowu. Numer ten znikł
jak poprzedni i kilka dni minęło bez żadne-

go widocznego rezultatu. Towarzysze organizacyjni byli zniechęceni i zamierzali zaniechać dalszych badań w tym kierunku, lecz na usilne prośby jednego z nich, który najbliżej znał badanego kolegę, zaryzykowano raz jeszcze.

Po trzecim numerze milczący górnik przemówił. Nazajutrz po otrzymaniu bibuły zwrócił się on do kolegi, który go protegował w organizacyi i prosił go o radę. Opowiedział mu o trzykrotnem podrzuceniu i wyznał, że mu gazetka spodobała się ogromnie. Nasz towarzysz ndał, że nie rozumie, o co chodzi.

— Jaka gazetka? — pytał — żadnej nigdy nie widziałem.

Górnik pod wielkim sekretem dał mu do przeczytania wszystkie trzy numery. Koledzy zeszli się znowu i długo gawędzili o różnych sprawach, poruszanych przez „socyjalne“ pismo.

Pomiędzy innemi badany górnik chciał sobie rozstrzygnąć pytanie, skąd pochodzi podrzucone mu pismo.

— Nie skarbnik *) przecie — rozumował — on się tem nie zajmuje. Musi to robić ktoś obchodzący kopalnie w tym celu. I wiesz —

*) Według legend górniczych istnieje duch opiekuńczy, zwany „skarbnikiem“, który od czasu do czasu ukazuje się w kopalniach, szczególnie gdy ma się zdarzyć wypadek z ofiarami ludzkimi. Przeważnie ukazuje się on w ubraniu sztygarów pruskich, jakie noszono niegdyś przy początkach górnictwa w Zagłębiu.

dodał — co mnie męczy? Drukowanie takich rzeczy musi kosztować sporo pieniędzy. W gazetce na końcu są nawet pokwitowania, więc ktoś wydawcom za gazetkę płaci. A mnie wstyd, żem już trzy numery otrzymał i ani grosza za to nie zapłacił. Zapewne ten, kto gazetę roznosi, łaje mnie. „Łajdak — mówi — gazetę czytasz, chwalisz ją, a złamanego szeląga od ciebie nie widzę“. Łamałem już sobie głowę nad tem, jak to urządzić, by pieniądze do gazety doszły. Odłożyłem już na ten cel pół rubla z ostatniej wypłaty. Ale jak to zrobić?

— Jak sądzisz? — pytał — czy dobrze będzie tak, jak teraz sobie wykombinowałem. Ten, kto chodzi i gazetkę rozrzuca, oczekuje pewnikiem, że pieniądze za gazetkę będą położone w tem samem miejscu, co i pismo. Musi je znaleźć. Co?

Przyjaciół zgodził się, że to projekt najpewniejszy. Tak też nasz górnik postąpił. Gdy znalazł po raz czwarty pismo, położył na to miejsce 50 kopiejek i odszedł. Naturalnie towarzysz, który już o tem wiedział, zabrał pieniądze i ku wielkiemu zadowoleniu ofiarodawcy w następnym numerze w pokwitowaniach było wydrukowane: Z filaru w chodniku takim, to za gazetę 50 kop.

Bibułę podrzucają również ludziom, których podejrzewają o ściślejsze stosunki z policją lub władzą fabryczną, a to w celu skontrolowania, co taki pan z podrzuconym egzemplarzem zrobi. Fakt oddania bibuły w ręce tej lub owej władzy świadczy o złej woli

człowieka i nakazuje być ostrożnym z nim we wszystkich sprawach.

Po za tem podrzucanie bibuły jest praktykowane w stosunkach mało zbadanych, nie szeroko rozgałęzionych, lub w takich, do których zwyczajną organizacyjną drogą na razie trafić niepodobna. Przez dłuższy czas sposób ten praktykowano w stosunku do ludności wiejskiej w okolicach podmiejskich. Do ostatnich czasów, gdy partya rozpoczęła prawidłową działalność wśród ludu wiejskiego, bibuła partyjna szła na wieś przeważnie takim właśnie pierwotnym sposobem.

W niedzielę lub święto, szczególnie latem, robotnicy zaopatrywali się w przeczytaną już i zbytęcną bibułę i wyruszali za miasto, by wetknąć ją gdziekolwiek na wsi. Naturalnie. urządzano podrzucanie w ten sposób, by egzemplarz bibuły jak najprędzej wpadł w oko komukolwiek. Prawie w każdym mieście, w którem P. P. S. ma stosunki wśród ludności robotniczej, znajduje się kilku takich amatorów wędrówek zamiejskich w celu podrzucenia paru egzemplarzy bibuły w tej lub owej wsi podmiejskiej.

Na większą skalę organizowała P. P. S. rozrzucanie bibuły wśród wieśniaków w czasie odpustów w Częstochowie, gdy pod Jasną Górą zbiera się z różnych stron kraju do setki tysięcy pobożnych pątników. Opowiadano mi o wypadku, gdy w czasie jednego z odpustów rozrzucono i rozdano 10 tysięcy egzemplarzy wydawnictw socjalistycznych, specjalnie w tym celu wybranych z asorty-

mentu partyjnego. Mówię — rozdano. bo niektórzy z ewaniaków warszawskich, posłanych do Częstochowy dla wykonania planu, posunęli swą śmiałość do tego, że krążyli w tłumie, pytając ludzi, czy umieją czytać? Dawano książki tylko tym, którzy na to pytanie odpowiadali twierdząco.

Takim amatorem puszczenia na wieś bibuły był pomiędzy innymi zmarły na wygnaniu w Syberyi towarzysz Błażejewicz, stolarz warszawski, który należał do pierwszych organizacji socjalistycznych w Warszawie. Wysłany na Sybir jeszcze przed zawiązaniem pierwszej partii socjalistycznej w Polsce „Proletaryat“, wrócił z wygnania po kilku latach i, gdy mu zabroniono mieszkać w Warszawie, osiadł w Wilnie.

Tutaj stary wyga rewolucyjny puścił wodze swemu temperamentowi. Zawsze chodził obładowany broszurami, które wtykał ludziom przy każdym spotkaniu. Szczególnie jednak lubiał operować na dworcu kolejowym w czasie dorocznej pielgrzymki pobożnych wieśniaków do Kalwarii pod Wilnem, gdy przed każdym pociągiem w sali trzeciej klasy znaleźć można tłumy siermiężnych chłopów. Błażejewicz wpadał do tego tłumu, wyszukiwał wśród niego inteligentniejsze twarze, rozpoczynał rozmowę, wreszcie zapytawszy, czy chłop umie czytać po polsku, dawał mu książeczkę.

— Na, schawaj! — mówił po białorusku — ad biskupa.

Wychowaniec starej szkoły rewolucyjnej

nie chciał się pozbyć różnych demagogiczno-klerykalnych zwrotów, którymi otwierał serca chłopów. Jak mi opowiadano, młodsze pokolenie rewolucyjne staczało z nim o te „ad biskupa“ długie walki, lecz przekonać go nie mogło.

Wogóle wieś, przy braku porządnie zorganizowanej policyi, oraz przy naiwności i zaufaniu do druku swych mieszkańców, zawsze jest idealnym terenem dla operacji rozrzucania bibuły. A wobec tego, że stosunki organizacyjne — przynajmniej w organizacjach socjalistycznych — na wsi mogą być tylko skutkiem poważniejszego ich rozwoju w miastach, wszystkie młode organizacje zaczynały na wsi robotę od rozrzucania wśród wieśniaków bibuły. Pomiedzy innymi rozruchy chłopskie w guberniach półtawskiej i charkowskiej, rozruchy, które niedawno tyle narobiły hałasu, były skutkiem rozrzucenia w tych okolicach całego mnóstwa bibuły ukraińskiej, przeważnie tłumaczenia doskonałej broszury polskiej „Ojciec Szymon“.

Ale i na wsi, rzecz prosta, przy rozwoju stosunków ewolucya kolportażu musi doprowadzić do stopniowego zarzucania pierwotnego systemu i przechodzenia do wyższego typu rozpowszechniania bibuły. Tym wyższym typem rozpowszechniania bibuły jest kolportaż właściwy — oddawanie druku nielegalnego z ręki do ręki wzamian czy to pieniędzy, czy też tych lub innych zobowiązań względem organizacji partyjnej. Ten typ jest obecnie w P. P. S. najbardziej rozpo-

wszechnionym, jest stałem niejako prawem, regułą, względem której inne sposoby są wyjątkami.

Bibuła peryodyczna z centrów partyjnych, a broszurowa i książkowa z detailicznych składów-księgarni dostaje się do rąk pierwszych odbiorców. Ci przeważnie biorą ją nie dla siebie, lecz dlatego, że mają zamówienia odpowiednie od innych, dalej od ognisk partyjnych stojących towarzyszków. Jest to drugi stopień, po którym bibuła schodzi w głąb ludową. Najczęściej druk zakazany na tym stopniu nie zatrzymuje się długo. Niekiedy, mianowicie, gdy zaszła co do książki lub numeru pisma odpowiednia umowa, bibuła wraca znowu na pierwszy stopień, by wyruszyć w inną stronę, przeważnie jednak po pewnym czasie idzie ona dalej w świat.

W pierwszym wypadku formuje się coś w rodzaju wypożyczalni bibuły. Egzemplarz jej raz po raz zmienia czytelnika, lecz zawsze wraca do pierwotnego jej posiadacza — zwykle człouka organizacyi partyjnej. Prawie w każdej organizacyi lokalnej istnieje lub istnieją takie wypożyczalnie, liczące tytuły dziesiątkami. Są amatorowie takiego właśnie systemu rozpowszechniania bibuły. Ci usilnie starają się, by wypożyczalnia posiadała możliwie wszystkie wydawnictwa partyjne, by zadowolić mogła każde wymaganie klienteli.

Kiedym był redaktorem „Robotnika”, miałem podręczny komplet naszego pisma. Przy padkiem spaliłem wraz z niepotrzebnymi pa-

pierami jeden z pierwszych numerów „Robotnika“. Zmartwiony byłem tą stratą, gdyż przypuszczałem, że jest ona do niepowetowania. Pięć lat minęło od wydania numeru i trudno było przypuszczać, by gdziekolwiek w organizacyi krajowej, podlegającej tylu perturbacyom — rewizyom i aresztowaniom — mógł się zachować tak dawny numer.

Po pewnym czasie dostarczono mi ów zaginiony numer. Powiedziano mi, że pochodzi on z takiej właśnie wypożyczalni w Zawierciu, osadzie fabrycznej pomiędzy Dąbrową i Częstochową. Dodano przytem, że towarzysz, zarządzający wypożyczalnią, był ogromnie zmartwiony koniecznością zdekompletowania swego zbioru, lecz zrobił ofiarę przez wzgląd na potrzeby redakcyjne. Egzemplarz, który w owe czasy był dla mnie ciekawym okazem, swym zewnętrznym wyglądem dawał wspaniałe świadectwo swej służby.

Był to druk zaczytany i przechodzony co się zowie. Głębokie rysy, idące w różnych kierunkach, świadczyły, że go zginano rozmaicie, odpowiednio do wielkości tej lub owej kieszeni.

Każda stronica nosiła ślady dotknięcia ręki zatłuszczonej lub pokrytej sadzą. Rogi dolne arkusików od częstego zetknięcia się z palcami czytelników były albo oddarte, albo też, gdy się zadzierała i część tekstu, podklejone nowym papierem. W wielu miejscach druk stał się prawie nieczytelny i jakaś troskliwa ręka porobiła na marginesach odpowiednie dodatki. Kartki były podziura-

wione w kilku miejscach — świadectwo, że już kilkakrotnie egzemplarz „Robotnika“ podlegał operacyi zszywania. Słowem, widocznem było, że w ciągu ubiegłych pięciu lat egzemplarz bibuły nie próżnował i przechodził ustawicznie z rąk do rąk, od jednego czytelnika do drugiego.

Ile to — myślałem — takich zaczytanych egzemplarzy bibuły przechowuje się jak świętość w różnych zakątkach Polski! Ilu to ludzi starannie podkleja rozszarpane kartki, zszywa i pielęgnuje te ćwiartki zadrukowanego papieru! Przyznam się otwarcie, po obejrzeniu tego szacownego egzemplarza druku zakazanego byłem nieco wzruszony i z podwójną przyjemnością siadłem do pracy nad nowym kolegą opisanego weterana ruchu rewolucyjnego.

Druga, większa część bibuły nie wraca, jak to powiedziałem, do pierwotnych posiadaczy druków — organizatorów kolporterki. Idzie ona dalej, spuszcza się jeszcze głębiej w morze ludowe. Im dalej egzemplarz bibuły odsuwa się od ogniska partyjnego, tem bardziej niknie kontrola nad jego poruszeniami i nad wpływem jego na czytelników i otoczenie.

Bezwątpienia, część takiej bibuły zostaje zniszczona, inna część trafia przy rewizjach do rąk żandarmów i prokuratorów, wzbogacając archiwa rządowe. Lecz bodaj największa ilość wędruje z rąk do rąk, zataczając niekiedy szerokie bardzo koła, zaglądając do zakątków, o których ani się śniło tym, co

dany egzemplarz w ruch puścili. Jak powiedziałem, jakakolwiek kontrola, jakiegokolwiek obliczenie dla tej ostatniej części bibuły jest zupełnie niemożliwe.

Fakt istnienia czytelnictwa pozapartyjnego jest niezaprzeczalnym i nieraz próbowano, choć w przybliżeniu, obliczyć jego rozmiary. Dla wielkich miast, dużych skupień ludzkich, w których pojedynczy ludzie przeważnie mało się znają, takie obliczenie jest naturalnie niemożliwe. Lecz w mniejszych miasteczkach, gdzie życie prowincjonalne zbliża ludzi do siebie i pozwala na skuteczniejszą obserwację otoczenia, obliczenie podobne może mieć pewne cechy prawdopodobieństwa.

Opowiadano mi, że jedna z organizacyj lokalnych, pracująca w sporem miasteczku fabrycznem, postanowiła określić, ilu też robotników w fabrykach miejscowych czyta bibułę P. P. S-ową. Specjalnie zajmowała ich ta kwestya w stosunku do najulubieńszego dziecka partyjnego — „Robotnika“. Przy badaniach i poszukiwaniach postępowano nadzwyczaj ostrożnie i wszelkie wątpliwe wypadki odrzucano, nie wciągając ich do rachuby.

Przy obliczeniach kierowano się wrażeniami z rozmów koleżeńskich. Z nich każdy obserwacyjny umysł z łatwością wywnioskować może o wpływach, którym obserwowany podlega. Słowa i określenia różnych stosunków, nawet zdania całe, żywcem z „Robotnika“ wyrwane, łatwo zdradzają czytelników jego. Otóż obrachowano, że w owem

miasteczku, liczącem do 20 tysięcy mieszkańców, jest z pewnością nie mniej, niż 400 stałych czytelników „Robotnika“. A że organizacya otrzymywała dla rozpowszechnienia 40 egzemplarzy tego pisma, wywnioskowano, że przeciętnie liczyć trzeba w każdym miejscu po 10-ciu czytelników na każdy egzemplarz „Robotnika“.

Nie da się zaprzeczyć, że powyższe obliczenie jest nadzwyczaj nieściśłem. Lecz jeśli chodzi o poprawkę w niem, tobym ją zrobił w kierunku powiększenia wyniku cyfrowego. Powiększenie takie jest koniecznem, gdy się uwzględni wędrówki bibuły nie tylko w obrębie danej miejscowości, lecz i dalsze — do innych miast, miasteczek i wsi.

Faktem jest niezaprzeczonym — opowiadali mi o nim wszyscy ludzie, którzy się stykali z robotą partyjną w różnych miejscach kraju, że bibuła wszędzie wyprzedza organizacyę. Każdy nowy punkt, do którego tą lub inną drogą wkracza organizacya, każdy nowy stosunek w tem lub owem miejscu miał już przedtem bibułę. Skąd? jaką drogą? — najczęściej trudno nawet zbadać. Wypadki zaś, gdy ta kwestya została rozstrzygnięta, wskazywały, że bibuła potrafi wędrować o setki kilometrów, przerzucać się z miejsca na miejsce drogami, zupełnie niemożliwemi do przewidzenia i uregulowania. Opowiadano mi, że w ostatnich czasach, gdy partya rozpoczęła szerszą działalność na wsi, spotkano się z tem samem zjawiskiem — bibuła partyjna

już dotarła i tam, wyprzedzając organizatora lub agitatora partyjnego.

Jeden z towarzyszków, który przez dłuższy czas pracował po różnych prowincjonalnych dziurach, opowiadał mi o zabawnych odkryciach, jakie niekiedy robił przy stykaniu się z nowymi stosunkami.

— Wiesz — mówił mi — mam trochę patryotyzmu lokalnego. Czuję specjalne przywiązanie do miasta, gdzie się urodził i spędził swe dzieciństwo. Otóż, gdym się stał socyalistą i zaczął pracować w organizacyi P. P. S-owej, irytowało mnie niezmiernie, że w mojem rodzinnem mieście jest tak cicho, jak makiem posiał. Za każdym razem, gdym otrzymywał „Robotnika“, przeglądałem go od początku do końca, chcąc w nim wynaleźć choćby najlżejszą wzmiankę o mieście, które mnie tak żywo obchodziło — zawsze byłem rozczarowany. Moje N. N. spało widocznie w najlepsze.

— Wyobraź więc sobie — mówił dalej — moją radość, gdy przez robotników warszawskich otrzymałem adres jakiegoś rzemieślnika w mojem rodzinnem mieście. Rzemieślnik ten był krewnym jednego z naszych warszawskich towarzyszków, który zapewniał, że jego kuzyn z chęciąby utrzymywał stosunki z partją i pomógłby, być może, do zawiązania tam lokalnej organizacyi partyjnej.

Rozpytywałem najstaranniej, czy posyłano kiedy bibułę, lecz na to nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Wobec tego wziąłem z sobą komplet wydawnictw nowych i dawniejszych

i wyruszyłem w drogę. W drodze ustawicznie się przygotowywałem do rozmowy z ludźmi, którzy nic albo prawie nic o socyalizmie, a tem bardziej o partyi i jej życiu, nie wiedzą. Uplanowałem sobie od czego zacząć, jak poruszę tę lub ową sprawę.

Wreszcie przyjeżdżam do owego rzemieślnika, wskazanego mi z Warszawy. Opowiadam mu się, jak należy, powołuję się na krewniaka i mówię z czem przyjechałem. Przyjmuje mnie chłop serdecznie, jak anioła, zesłanego mu z nieba. Na wieczór obiecuje mi zgromadzić kupę ludzi odpowiednich. Wiem, co to oznacza w początkach ruchu. Na takie zebranie ściągają mnóstwo ludzi, bez wątpienia zacnych i poczciwych, lecz będących w większości wypadków jako materiał organizacyjny zupełnie zerem ludzi, którzy chętnie słuchają, o czem to przyjezdny „pan“ mówi, ale którzy co najwyżej będą jedynie czytać to, co im wsuną w rękę.

Wobec tego uprzedzam mego gospodarza, że chciałbym się zobaczyć tylko z takimi ludźmi, którzy mogliby pracować razem z nami nad rozwojem sprawy. Tłumaczę mu, że lepiej na początek mieć do czynienia z niewielką garstką ludzi chcących robić, niż z wielu słuchaczami.

— Wiem, wiem — przerwał mi dowodzenie gospodarz — sprowadzę tu tylko tych, co już coś niecoś robią, co już są zorganizowani.

Ostatnie słowa wymówił z pewną dumą.

— Organizację? — spytałem zdumiony — to wy już macie organizację?

— A jakże — odparł urażony rzemieślnik — organizację socjalistyczną.

Coraz bardziej zdziwiony zacząłem rozpytywać o tę organizację. Okazało się, że pod wpływem bibuły, która do mego miasta Bóg wie jakimi drogami zawędrowała, u kilku rzemieślników powstała myśl zawiązania organizacji, a raczej kółka. Członkowie tej samorządnej organizacyjki zbierali się regularnie, obgadywali różne sprawy lokalne, czytali wspólnie legalne i nielegalne książki, jakie im trafiały do rąk. Mój nowy znajomy obiecał mi przynieść spis bibuły, będącej u nich na składzie, który za razem był wypożyczalnią, obsługującą, jak się okazało, dosyć szerokie grono ludzi poza ścisłym kołem początkowem.

Wieczorem zebraliśmy się. Było nas niewielu — siedmiu, czy ośmiu zaledwie. Rozpocząłem przygotowane już elementarne przemówienie. Słuchacze moi kiwali, co prawda, potwierdzająco głowami, lecz odczuwałem, że ich nie wzruszam. Zrozumiałem, że mówię im o rzeczach, dawno przez nich przetrawionych, i że widocznie oczekują oni odemnie czegoś innego. Spróbowałem z innej beczki.

Zacząłem mówić o historii ruchu socjalistycznego w Polsce. Gdym doszedł do „Proletaryatu“ i zaczął mówić o bohaterskiej śmierci czterech powieszonych na stokach cytadeli towarzyszków, przerwano mi opowiadaniem, że kółko, z którym miałem do czy-

nienia, urządziło u siebie obchód rocznicy śmierci proletaryatczyków. Jak się okazało, trafił do nich numer „Robotnika“ z odpowiednim artykułem i ta nieznana, niezwiązana z całością ruchu grupka wbrew swemu odosobnieniu stanęła do apelu w tym wypadku. Byłem tem nieco wzruszony, mówiłem więc prawdopodobnie cieplej i serdeczniej, tak, że wkońcu zaprzyjaźniliśmy się na dobre.

Wkońcu zaczęto mię zasypywać pytaniami, żądaniem wyjaśnień w tej lub owej kwestyi. Widocznem było, że przy czytaniu bibuły partyjnej powstawały w głowach członków organizacyjki wątpliwości, spory i teraz korzystano z mojej obecności, by lepiej rzecz wyjaśnić, czy nawet ją rozstrzygnąć. Bawiło mię osobliwie, gdy mię pytano o sprawy dawno przebrzmiałe, o których w Warszawie zupełnie zapomniano, a które tutaj żyły w umysłach pod wpływem „gorącego oddechu“ świeżo przeczytanego słowa drukowanego.

Wyjechałem z mego rodzinnego miasta szczerze wzruszony i uradowany, a szacunek dla potęgi „bibuły“, którą zakuć w kajdany nie potrafili nasi wrogowie, wzrósł ogromnie.

Z takim wpływem bibuły — ciągnął dalej ów towarzysz — bibuły, która wyszła z pod kontroli partyi i wędruje po kraju niezbadanymi drogami, spotkałem się i na wsi, gdym rozpoczął tam robotę partyjną.

Razu pewnego udałem się na wieś w dorys głuchym, oddalonym od naszych ognisk partyjnych zakątku, by nawiązać organizacyjny stosunek z paru chłopami, wskazywa-

nymi mi przez wieśniaków podmiejskich, z którymi byłem już dawniej ustosunkowany. Zabrałem z sobą, jak i w poprzednim wypadku, odpowiedni asortyment bibuły. Gdym po wstępnych rozmowach w onej wsi pokazał bibułę chłopom, ci okazali się obznajomieni z większością broszurek przywiezionych. Ba, wymagano odemnie, bym przywiózł inne broszury i nawet pisma, wymawiając tytuły z pewną chępliwością.

Zacząłem rozpytywać, skąd pochodzi ta nieoczekiwana przezemnie znajomość z naszą literaturą partyjną. Dopytałem się wreszcie do źródła. Okazał się niem włościanin z sąsiedniej wsi, który — jak się dowiedziałem potem, miał brata w Łodzi, pracującego w przedzalni. Naturalnie, złożyłem wizytę temu gospodarzowi.

Był to chłop mądry. Rozprawiał z pewnem namaszczeniem o różnych rzeczach i sprawach, które przeważnie są obce nie tylko chłopom, lecz i przeciętnym robotnikom miejskim. Był abonentem jednej z legalnych gazet ludowych, a oprócz tego posiadał biblioteczkę. Zajrzałem do niej. Czego tam nie było? Trylogia Sienkiewicza obok tandetnych utworów Rodziewiczówny, parę tomików Orzeszkowej, Mickiewicza, masa książeczek ludowych, podręcznik fizyki i chemii, gruby rocznik „Gazety rolniczej“ obok „Biesiady literackiej“ — a wszystko to razem pomieszczone z mnóstwem wydawnictw nielegalnych.

Z tej ostatniej były i broszurki socjali-

styczne, parę numerów „Robotnika“, „Przedświtu“ i „Przeglądu wszechpolskiego“ z różnych lat i miesięcy. Widocznem było, że właściciel księgozbioru brał wszystko, co mu trafiło - wypadkiem do ręki i latami całemi układał tę pstrą biblioteczkę. Z rozmowy dowiedziałem się, że biblioteczka była zarazem i wypożyczalnią, gdyż właściciel książek chętnie dawał do czytania swym sąsiadom tę lub ową książkę, czy broszurę.

Ale w tym księgozborze było swego rodzaju sanctuarium, stanowiące niepodzielną własność gospodarza. Był w niem ciekawy zbiór odezów różnych organizacyj nielegalnych w Polsce. Widocznie nieco napszony, agitacyjny styl odezwowy trafiał do gustu i przekonania mego gospodarza, gdy tak umiłował i tak skrzętnie zbierał tego rodzaju literaturę. Były w tym zbiorze odezwy rozmaitego gatunku — socyalistyczne i partyotyczne, traktujące o strejkach i o wypadkach politycznych, drukowane i hektografowane. Niektóre z nich były widocznie przepisane z drukowanych egzemplarzy. Były to, jak mi wytłómaczył gospodarz, takie, które brat jego w Łodzi miał w ręku na czas powstania, nie na własność.

Najzabawniejszem było, że gospodarz swe amatorstwo do odezów posunął do tego stopnia, że miał w swym zbiorze jedną odezwę rosyjską i dwie żydowskie, których, naturalnie, nie był w stanie przeczytać. Rosyjską przetłómaczyłem mu, za co serdecznie mi dziękował, a co do żydowskich obiecałem mu

również dostarczyć tłómaczenie i zanotowa-
łem daty odezw, by wiedzieć, o które miano-
wicie w tym wypadku chodzi.

Mówiąc o kolportażu, niepodobna pominąć
finansowej jego strony. Znana jest rzecz, że
nawet w normalnych — nie rosyjskich —
stosunkach wydawcy mają duże kłopoty z wy-
dobyciem monety przy kolportażu wydawni-
ctwa i zawsze liczyć muszą na pewien pro-
cent straty w tym interesie. Naturalnie, że
w warunkach politycznych zaboru rosyjskie-
go, straty te muszą być znacznie poważ-
niejsze.

Jak już wykazywałem, prześladowania rzą-
dowe wytwarzają z konieczności złożony sy-
stem pośrednictwa przy rozpowszechnianiu
bibuły. Pieniądze za nią idą drogą odwrotną,
również z ręki do ręki, przechodząc nieraz
przez kilka ogniw pośrednich, nim dojdą do
ludzi, prowadzących interes wydawniczy.
Przedewszystkiem więc kontrola i rachunki
muszą być ogromnie utrudnione, a zagma-
twianie interesu zwiększa się jeszcze bardziej
z powodu niemożliwości prowadzenia ani po-
rządnych ksiąg rachunkowych, ani listy kol-
porterów.

Rachunki są zapisywane na kartkach, mo-
gących być łatwo zniszczonemi, w sposób za-
wiły i niezrozumiały, by w wypadku wpadnię-
cia ich w ręce żandarmów, nic z nich nie
można było wynioskować.

Gdy się w dodatku zważy, że ciągłe rewi-
zje i aresztowania raz po raz wyrrywają po-
średniczące ogniwa kolportażu, że nawet oba-

wa przed rewizją spowodowuje zniszczenie tego lub owego rachunku — można sobie wyobrazić, jak wielkim jest zamęt w tym interesie i jak trudno zdać sobie jasno sprawę z jego stanu. To też wątpię, by ktokolwiek z ludzi, najlepiej nawet znających sprawę kolportażu, mógł przedstawić, choć jako tako wiarygodne cyfry pod tym względem. Przy najmniej moje rozpytywania i badania w tym kierunku nie dały mi nawet żadnej nici przewodniej, żadnego probierza w tej sprawie. Istnieją tylko ogólne wrażenia, wyniesione z dłuższej roboty przy interesie u tych, czy innych działaczy partyjnych. Dadzą się one streścić w sposób następujący:

Jedną z głównych przeszkód do prawidłowej sprzedaży broszur i pism zakazanych jest przyzwyczajenie w większych miastach do otrzymywania bibuły darmo. Ruch socjalistyczny właśnie się w tych większych miastach rozpoczął, a pierwsze stadya jego, jeśli odznaczały się ogromnym zapalem i poświęceniem, to brakowało im ładu i porządku. Oprócz tego trzymano się systemu rozpowszechniania bibuły zapomocą rozrzucania, wpychania jej gwałtem. I oto jako jeden ze skutków tego rodzaju roboty jest niechęć do płacenia za bibułę.

— Nie masz wyobrażenia — mówił mi jeden z towarzyszków, który przez dłuższy czas pracował w Warszawie — jak trudno wprowadzić w życie regularne płacenie za wydawnictwa. Zdawałoby się, cóż prostszego — oto masz tyle to egzemplarzy takiej to bro-

szury, sprzedaj je za taką to sumę, a jeśli ci się to nie uda zupełnie lub w części, zwróć wszystko, lub niesprzedaną resztę. Gdzie tam! Robotnicy u nas zgoda się dać składkę na partję, niekiedy nawet przenoszącą wartość tej bibuły, którą przeczytali. Lecz płacić za każdy egzemplarz, sprzedawać bibułę — na to zgadzają się z trudnością.

— Znajdziesz wielu — dodał jeszcze — którzy są zasadniczymi przeciwnikami handlu bibułą. Twierdzą oni, że w ten sposób zmniejsza się powaga i siła jednej z głównych podstaw naszego ruchu — ofiarności. Słowem, można się nasłuchać najrozmaitszych argumentów, od najbłahszych do poważnych, zaczerpniętych i z praktyki i z etyki, a skierowanych przeciwko sprzedaży prawidłowej wydawnictw.

— Partya nasza — mówił mi inny — stara się przeprowadzić reformę w rozpowszechnianiu bibuły zapomocą prawidłowego kolportażu. Dotąd pewne rezultaty osiągnięto jedynie przy rozpowszechnianiu wydawnictw broszurowych i książkowych. Dla „Robotnika“ ogromnie trudno, niekiedy niepodobna, wprowadzić w życie tę reformę — w tym wypadku trzeba się zadawałniać składkami. I bodaj główną przyczynę względnego powodzenia reformy co do bibuły broszurowej zawdzięczać należy temu, że przy rozroście stosunków jest jej za mało. Popyt znacznie przewyższa w tym wypadku podaż, wtedy, gdy „Robotnik“ przychodzi stale w określonej

z góry ilości, do której się ludziska przyzwyczajają.

— Tymczasem — tłumaczył mi dalej — raz po raz się zdarza, że się dowiadujemy o handlu naszą bibułą poza nami. W dodatku ceny w takich wypadkach są zawsze wyższe niż te, które my swym kolporterom naznaczamy. Jest to dowodem, że prawidłowy kolportaż — naturalnie z uwzględnieniem *Viris majoris*, żandarmów, rewizyj i aresztowań — jest u nas możliwym i oprzećby na nim można zarówno działalność wydawniczą, jak prawidłowe sądy o wartości tego lub innego wydawnictwa.

Co do określenia części, czy to dochodów z rozprzedaży bibuły, czy też stosunku druków rozprzedawanych do rozdanych, to ani z rozmów, ani z danych partyjnych żadnego wniosku wyciągnąć nie mogłem. Najwidoczniej reforma, o której mówiłem wyżej, jest jeszcze tak świeżej daty, że niepodobna oznaczyć jej wyników.

Napomknąłem wyżej o zrzeszaniu się czytelników „Robotnika“ w grona i kółka, które zadawałają się jednym egzemplarzem pisma. Jest to najwyższy typ czytelnictwa, osiągnięty dotąd. Typ ten umożliwia rozszerzenie koła czytelników, nie wymagając dosyć trudnego ze względów technicznych powiększenia produkcji drukarnianej. W zysku zaś otrzymuje się oprócz tego zacieśnienie węzłów organizacyjnych pomiędzy zrzeszonymi czytelnikami, co przy gwałtownem dążeniu ze strony rządu do rozatomizowania społeczeństwa, trzy-

mania go, jak się nieraz wyraził były minister finansów carskich, p. Witte, w stanie sproszkowanym, ma niepoślednie znaczenie. Życzyłby więc należało, by właśnie ten typ stopniowo otrzymywał przewagę nad innymi i stał się regułą, przynajmniej dla „Robotnika“ i innych pism partyjnych.

Specyjalnym rodzajem bibuły, wymagającym też specyjalnego sposobu rozpowszechniania, są odezwy, wydawane przez centralny i lokalne komitety partyjne. Komitety te zwracają się ze swemi odezwaniami do szerokiego ogółu, nawołując go do jakiegokolwiek czynu lub wystąpienia, albo też tłumacząc znaczenie jakiegokolwiek wypadku, zajmującego w danej chwili umysły publiczności. Nie chodzi tu o przekonanie lub kierowanie opinią wśród członków organizacyi — do tego istnieją zwykle organizacyjne drogi — lecz o wywarcie wpływu natychmiastowego na ludzi, stojących poza organizacją, nie należących do jej szeregów bojowych.

Wobec tego koniecznem jest, by odezwa była rozpowszechniona, „puszczona“ — jak o tej akcji mówią rewolucyoniści — jak najszerszej, by jak najwięcej o niej gadano i dyskutowano. Im więcej się hałasu, zwracającego powszechną uwagę, zrobi przy puszczeniu odezw, tem łatwiej osiągnąć cel: owładnąć opinią, przykuć jej uwagę w potrzebnej chwili do tego, a nie do innego zjawiska, do takiego, a nie innego sposobu pojmowania sprawy.

Trzeba przyznać, że wielce pomocnym wła-

śnie w reklamowaniu — że się tak wyrażę — odezw jest sam rząd. Odezwy należą do rzeczy, najbardziej drażniących agentów rządowych — policyantów i żandarmów, osobiwie pierwszych, którzy przeważnie odznaczają się kapitalną głupotą i brakiem taktu politycznego. Robią oni zwykle tyle hałasu z powodu każdej odezwy, latają jak opętani po mieście, chwytają najniewinniejszych ludzi, by wykazać swą troskliwość o dobro cara, że nawet głusi usłyszą o odezwach, ślepi je dojrzą, a zwykła ciekawość ludzka zmusi publiczność do wyszukiwania przyczyn nadzwyczajnego rozjątrzenia niedźwiedzia policyjnego. Szczególnie na prowincyi w takich wypadkach policya, obudzona ze słodkiej drzemki, dostaje jakiegoś ataku szału i wściekłości, tem śmieszniejszego, że w warunkach życia prowincjonalnego widocznego dla całego otoczenia.

Atak zostaje w dodatku zwiększony przez okoliczność, że fakt rozrzucenia odezwy wchodzi w zakres działalności dwóch instytucyj konkurujących zwykle pomiędzy sobą — żandarmeryi i policyi zwyczajnej. W normalnych czasach policya podlega niejako żandarmeryi i musi wypełniać jej rozkazy, ale swoją drogą z zawiścią patrzy na wpływy „fijołków“ i chciałaby wykazać, że jest równie uzdolnioną do tropienia i ścigania „wewnętrznych wrogów“ cara. I oto odezwy stają się polem, na którym odbywa się wyścig sług carskich. Właściwie jest to sprawa polityczna i jako taka należeć musi do żandarmeryi, ale zara-

zem, stanowiąc zakłócenie „spokoju i porządku“ publicznego, wchodzi w zakres funkcji policyjnych. A że zwyczajna policja zwykle pierwsza się dowiaduje o odezwach, więc śpieszy wyzyskać tę szansę, by ubiedz żandarmerię i uprzedzić ją w wyszukaniu winowajców.

Ogromną większość tych „winowajców“, wytropionych przez policję, stanowią ludzie, zatrzymani przy czytaniu odezw przylepionych, przy podejmowaniu rzuconego na ulicy druku — wogóle tę większość stanowią zwykli ciekawscy. Właściwie nawet, używając słowa „większość“, popełniłem błąd — słuszniejszemby było użyć słowa „wyłącznie“. W ciągu ostatnich dziesięciu lat słyszałem zaledwie o dwóch wypadkach, gdy zatrzymano istotnych winowajców, tj. tych, którzy rozpowszechniali rzeczywiście odezwy. A przecie większość odezw pociąga za sobą aresztowanie tej lub innej ofiary wściekłości policyjnej. Co prawda, ofiary te przeważnie z łatwością udowadniają swą zupełną niewinność i po paru tygodniach aresztu wychodzą na wolność.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w kieleckiem biurze policmajstra, po rozrzuceniu i rozlepieniu odezw po raz pierwszy prawdopodobnie od czasu powstania 63 roku.

Policja po rozpowszechnieniu już odezw wykazała swą gorliwość i aresztowała trzech Bogu ducha winnych ludzi, których przyłapała w różnych punktach miasta nad ranem

przy czytaniu rozrzuconych i rozlepionych odezw. O godzinie 9, czy 10 rano, otoczonych liczną strażą, przyprowadzono ofiary gorliwości policyjnej do policmajstra. Ten wpadł na nich z furją, wymyślając im okropnie, grożąc strasznemi karami, używając bogatego słownika rosyjskich połajanek.

— Zgnoję was buntowników w więzieniu — ryczał zapieniony dygnitarz — no, powiedz mi zaraz, łajdaku, jak to rozrzucałeś te świstki — zwrócił się do jednego z aresztowanych, wskazując na odezwę.

— Ależ, panie naczelniku — usprawiedliwiał się nieborak — ja wcale nie rozrzuciałem tych papierków. Ja tylko chciałem zedrzeć jeden taki papierek, naklejony na murze.

— Co?! zdzierać! — wściekał się ze złości policmajster — kto pozwolił?! Ja tobie, łajdaku, pokażę, co to jest zdzierać! Widzisz go? Zamknąć go do aresztu! — rzucił rozkaz policyantom.

Jednym z uciążliwych obowiązków niższych urzędników policyjnych przy rozsypywaniu odezw jest dostarczenie samych odezw, jako corpus delicti. Odezwy te ściągnięte z różnych stron, zbierają się do kupy, obliczają je do protokołu i tworzy się raport o „buntowniczych“ odezwach, rozrzuconych w takim i takim mieście. Opowiadano mi, że po pierwszych odezwach w Zagłębiu, naczelnik powiatu będzińskiego, któremu dostarczono szesnaście odszukanych odezw, złożył raport następujący:

„Ludzie źleji woli takiego to dnia rozrzucić odezwę takiej a takiej treści. Rozrzucano 16 odezw, które przy niniejszym raporcie załączam“.

Według raportu więc wyłapano wszystkie odezw, rozrzucone tego dnia.

Przy odszukiwaniu odezw, jako corpus delicti, dzieją się najrozmaitsze rzeczy, zdumiewające swą głupotą, a ściągające uwagę otoczenia i zatem robiące reklamę samej odezwie.

W którymś numerze „Robotnika“ opisany jest na przykład, następujący fakt:

W Ostrowcu, osadzie fabrycznej w Radomskiem, policya gwałtownie poszukiwała odezw, o których słyszała, że były rozrzucone w tem miasteczku. Nareszcie, na którymś słupie telegraficznym odnaleziono przylepioną odezwę. Paru strażników zaczęło gorliwie pracować nad tem, by zdjąć proklamacyę bez uszkodzenia druku. Lecz papier był przyklejony porządnym, mocnym klejem i biedni strażnicy byli w kłopotcie. Przynieśli wiadro wody, moczyli papier, lecz szło im trudno.

Strażników otoczyła kupa gapiów, z ciekawością oglądających ciężką robotę „naczelników“. W gronie widzów rozstrząsano fakt rozlepienia odezw, opowiadano sobie treść jej, pytano strażników, po co właściwie tak gorliwie pracują, gdy łatwiej wprost zeszkrobać papier. Nie brakowało też i żartów.

— Językiem, panie strażnik, językiem — woła ktoś z gromady — łatwiej będzie!

— Ach, ty czort! — woła obrażony w swej godności naczelnik — ja tobie!

Pan naczelnik porzuca robotę i rozpoczyna urzędowanie — rozpędza niedozwolone zbiegowisko. Ludzie rozbiegają się, lecz po chwili wracają, do nich się zbliżają inni i stopniowo tworzy się nowa grupa ciekawych.

W innem miejscu nalepiono odezwę na wagonie pociągu, idącego w głąb kraju z Warszawy. Użyto i w tym wypadku porządnego kleju, tak, że, gdy wreszcie na którejś stacyi spostrzeżono odezwę, żandarmi kolejowi nie mogli odrazu jej zedrzeć bez uszkodzenia. Cóż robią mądre fijoły? Zatrzymują pociąg, odczepiają wagon z odezwą i wypiłokują zeń deskę, na której proklamacya była nalepiona. Naturalnie wywołuje to sensację nielada wśród pasażerów pociągu.

W większych miastach, rzecz prosta, władza jest mniej naiwną i więcej ostrożną. Tu żandarmerya ma stanowczą przewagę nad policją zwyczajną i będąc lepiej zorganizowaną, bardziej czujną i baczniejszą, niełatwo daje się wyprzedzić na polu ścigania „buntowników“. Chociaż nawet w takiej Łodzi, mieście z pół-milionową prawie ludnością, zdarzały się wypadki, że władza swem rzucającem się w oczy postępowaniem robiła *post factum* reklamę odezwom rewolucyjnym.

Akurat, gdym mieszkał na Wschodniej ulicy, w drukarni partyjnej, rozpowszechnioną została odezwa z powodu kryzysu w przemyśle tkackim. W dzień rozpowszechnienia odezwy miałem interes w Warszawie i wra-

całem do domu wieczornym pociągiem, przychodzącym do Łodzi po jedynastej, a więc po zamknięciu bram w domach łódzkich. Ku wielkiemu zdumieniu zastałem bramę otwartą, a stróża stojącego przy niej.

— Adamie! — pytam zdziwiony — cóż to tak późno dzisiaj zamykacie bramę?

Adam w odpowiedzi wzruszył ramionami i lakonicznie odpowiedział:

— Kazano całą noc pilnować.

Byłem nieco zaniepokojony tym dziwnym rozkazem, lecz już od żony się dowiedziałem, że w całej Łodzi z powodu odezw kazano stróżom stać przy bramach do świtu i łapać tych, co „będą się zatrzymywać przy murach“ — tak bowiem określił rewirowy czynność rozlepiania odezw po mieście. Naturalnie, cała Łódź mówiła o naszej odezwie i nawet ci, do których ona nie doszła, z konieczności dowiadawali się o niej, rozpytywali się o nią, starali się ją dostać.

Rzucające się w oczy „pogotowie ratunkowe“ policyi, będące taką wspaniałą reklamą dla ruchu rewolucyjnego, dochodzi do olbrzymich rozmiarów przy dorocznych obchodach, gdy rząd z pewnością oczekuje publicznego wystąpienia organizacyj rewolucyjnych. Takim obchodem jest Pierwszy Maj, powszechne święto robotnicze. Jestem przekonany, że połowę popularności tego święta zawdzięczać należy krzyczącej w niebogłosy reklamie, urządzanej co rok przez rząd i jego organy. Reklama ta trwa wówczas tygodnia-

mi. Policja wszędzie jest tak zajęta, tak biegająca i zakłopotana, stróża tak przeciążeni dyżurami nocnymi i wieczornymi, ulice tak pełne patroli i nawet halastry żołnierskiej, że najobojętniejszy człowiek poruszyć się musi i dowie się o „grożącej porządkowi i spokojowi publicznemu agitacji socjalistycznej“. A że w Polsce „porządek“, reprezentowany przez nahajkę sług carskich, nie cieszy się wogóle zbytnią sympatją, więc nic dziwnego, że reklama ta skierowuje sympatie najszerzego ogółu właśnie w kierunku „zakłócających porządek obecny“.

Jeden z moich kolegów szkolnych — wcale nie socjalista — inżynier, który zarządzał przez pewien czas fabryką w głębi Rosyi, opowiadał mi, w jaki sposób on się dowiedział o święcie majowym i obchodzie w Polsce, gdy sprawa ta jeszcze nie była tak głośną, jak obecnie. Przytaczam tu jego opowiadanie, chociaż nie tyczy się ono Polski, a to dlatego, że jest ono nadzwyczaj charakterystycznym dla postępowania rządu carskiego i jego niezdolności do wyczuwania nastroju społecznego i zrozumienia nawet własnych interesów.

— Fabryka, którą zarządzałem — opowiadał mi kolega — przeżywała w owe czasy ciężki kryzys. Zamówień było mało i nie mogliśmy zużywać tej siły roboczej, która jeszcze z czasów pańszczyźnianych przyzwyczaiła się do pracy w naszym zakładzie przemysłowym. Musiałem oddalić część robotników, lecz ci zaproponowali mi układ. Aby

uniknąć pozbawiania wszelkiego zarobku części personelu robotniczego, żądali oni skrócenia dnia roboczego dla wszystkich, przy równoczesnem obciążeniu zarobku dla wszystkich bez wyjątku. Obliczyłem, że mogę zająć wszystkich tylko w przeciągu sześciu godzin dziennie i wyjaśniłem robotnikom, że w tych warunkach płaca będzie bardzo niska. Robotnicy zgodzili się na te warunki i fabryka nasza pracowała tylko sześć godzin.

Coś w początku kwietnia — ciągnął dalej — przyjechał do fabryki komisarz policyjny — przystaw, jak go tytułują w Rosyi — z miną okropnie zakłopotaną. Sądziłem, że jakiś kryminał sprowadził go do mnie. Okazało się jednak, że była to sprawa poważniejsza — państwu groziła rewolucya.

Z chwilą, gdyśmy zostali sami w gabinecie, pan przystaw przyciszonym głosem zapytał mię:

— Cóż, u pana wszystko spokojnie?

— Naturalnie! — odpowiedziałem. — A co?

— A Pierwszy Maj? — pytał dalej — nic się u pana nie przygotowuje w fabryce?

Nic dotąd nie słyszałem o Pierwszym Maju, w gazetach bowiem nie pisano o tem ani słowa. Byłem więc zdumiony i nie mogłem zrozumieć, o co chodzi wystraszonemu przedstawicielowi władzy.

— Pan nic nie wie? — nachylił się ku mnie przystaw. — Rewolucya, panie, rewolucya, otrzymałem papier.

Podskoczyłem na krześle.

— Gdzie? co? jak? — pytałem — i tu u nas? Śmiej się pan z tego!

— Ależ panie — prawili urażony urzędnik — otrzymałem papier, mówię panu, z samego Petersburga. Piszą wyraźnie — w fabrykach na pierwszy maja żądać będą 8 godzin pracy, w Warszawie rewolucya.

— W Warszawie? — tknęło mię to słowo — rewolucya? Ośm godzin? Nic nie rozumiem. Masz pan ten papier?

Prystaw pokazał mi papier. Był to okólnik z departamentu policyi, nakazujący władzom politycznym przed pierwszym maja objechać fabryki, znajdujące się w ich rewirach i dowiedzieć się o nastroju wśród robotników. Okólnik nakazywał zażądać od zarządów fabryk i zakładów przemysłowych natychmiastowego zawiadomienia władz policyjnych w razie zajść jakich na pierwszego maja. Następnie wytłómaczono, że na kongresie międzynarodowym przewrotowe elementy postanowiły żądać w fabrykach 8-godzinnego dnia roboczego, że wreszcie w Warszawie i innych miejscach Królestwa Polskiego doszło do zaburzeń pod wpływem knowań „ludzi złej woli“. Okólnik wreszcie nakazywał policyi być w pogotowiu do zduszenia hydry rewolucyjnej i w razie potrzeby zwracać się do odpowiednich władz po pomoc wojskową.

— Więc? — pytał prystaw, gdym skończył czytanie — Co pan teraz powie?

— Bądź pan spokojny — odpowiedziałem — u mnie pracują ludzie sześć godzin.

— Cóż z tego — mówił prystaw — ale

rewolucya rewolucyą. Dobrze panu tak być spokojnym — mówił, widząc, że się uśmiecham — ja w innem jestem położeniu, papier do mnie przyszedł z samego Petersburga, w moim rewirze mam tylko jedną fabrykę — pańską — dzisiaj całą noc nie spałem, jak tylko brzask, kazałem zaprządz konie i do pana, a pan mi mówi — sześć godzin. Dobrze, że nie ośm, ale ja pytam pana, jaki jest nastrój? Pan to musi przecie wiedzieć.

Długo uspokajałem pana prystawa, wreszcie zapewniłem, że w razie czego, natychmiast go zawiadomię. Prystaw wreszcie schował papier petersburski z napisem u góry: „bardzo poufne“ — i wyjechał.

W parę dni po wizycie prystawa przysłała do mnie deputacya robotników z żądaniem, bym raz jeszcze potwierdził umowę, zawartą poprzednio, i obiecał, że nikogo z fabryki nie oddalę. A gdym zapytał, czemu przypuszczają, że mam złamać umowę, odpowiedzieli:

— Widzisz pan! Furman prystawa mówił, że panowie chcą urządzić u nas po zagranicznemu, żeby ośm godzin pracować w fabrykach, żeby naród od ziemi się nie odzwyczajał. Ale my nie chcemy ośmiu godzin, bo część robotników będzie wówczas wydalona.

Nie mogłem zrozumieć, co za stosunek istnieje z ziemią przy ośmiogodzinnym dniu roboczym. Prawdopodobnie chodziło tu o jakieś wiecznie się powtarzające pogłoski o nowym nadziale ziemi. ale zgodziłem się i potwierdziłem raz jeszcze, że nikogo z fabryki nie oddalę.

Powyższe opowiadanie kolegi zawsze mi się przypomina, gdy słyszę lub widzę niezręczne, pozbawione taktu i zrozumienia sytuacji kroki zarówno rządu centralnego, jak i różnych jego agentów, przez swą gorliwość przyczyniających się do rozszerzenia autorytetu „przewrotowców“, których się zwalcza, do rozpowszechnienia tej lub innej myśli, którą się głuszy.

Puszczanie odezów nie jest trudnem, gdy „pogotowie policyjne“ nie działa. A że w większości wypadków policya mobilizuje swe siły *post factum*, więc najczęściej rozrzucenie i rozlepienie odezów odbywa się zupełnie swobodnie. Ludzie zwykle się urządzają w ten sposób, że dzielą miasto na rewiry i każdy z tych rewirów oddają pod opiekę jednemu lub dwu towarzyszom. Część odezów idzie z ręki do ręki, lecz tą drogą proklamacye idą dopiero po rozrzuceniu i rozlepieniu w mieście. Większość odezów rozrzuca się na schodach domów, do skrzynek listowych, na ścieżkach, po których przechodzą robotnicy, w fabrykach i w warsztatach. Niewielka ilość pozostaje do rozlepienia na parkanach, murach, słupach telegraficznych i t. d.

Ta ostatnia czynność jest najniebezpieczniejszą, szczególnie, gdy chodzi o odezwy doroczne, oczekiwane przez policję. Lecz niebezpieczeństwo podnieca ludzi i wśród robotników zawsze znaleźć można ochotników do takiej właśnie roboty. Rozwijają się nawet swego rodzaju brawura, chęć urządzenia jakiegoś nadzwyczajnego psikusa, splewania

figła zuchwałego. Dochodziło do tego, że nalepiano odezwy na plecach stójkowych, kozaków i stróżów.

Ogromna większość odezw, rozplepionych na ulicach, niknie bardzo prędko. Zdzierają je policyjanci i stróże. Lecz że władza nie jest pewną, czy wszystkie odezwy zostały usunięte z widoku publicznego, więc się odbywa długie polowanie na odezwy, poszukiwanie na murach i parkanach miejskich. W wyjątkowych wypadkach odezwy rozlepione przetrwać zdołają — szczególnie w dużych miastach — kilka godzin rannych, odezwy bowiem rozlepia się zwykle wieczorem, albo w nocy.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi o tem, jak strzelano do niego w czasie rozpowszechniania odezw. Było to w Zagłębiu Dąbrowskiem, w noc przed św. Barbarą, patronką górniczą. Rok przedtem wydana była odezwa w tym czasie i władza przygotowywała się wówczas do przeciwdziałania „buntownikom“, mobilizowała swe siły, by zapobiedz powtórzeniu „zbrodniczego knowania“.

— Mieliśmy, ja z innym towarzyszem — mówił mi on — wyznaczone sobie części zagłębia do obejścia i puszczenia odezw. Jużemy byli ku końcowi swej roboty. Został nam szereg domów robotniczych, przytykających prawie do toru kolejowego. Postanowiliśmy nalepić odezwy na słupkach, wkopanych przed każdym wejściem do domu. Doszliśmy do połowy szeregu, gdy usłyszałem szybkie kroki na przeciwległych schodach. Było to

akurat w chwili, gdym zaledwie przytknął odezwę do słupka w tem miejscu, gdzie mój kolega posmarował klejem. Przycisnąłem papier do kleju, nie przestając jednak patrzeć na wyjście z domu. Spostrzegłem w drzwiach człowieka, który ujrawszy nas, szybko się do nas zbliżać zaczął.

Odsunęliśmy się od słupka na środek drogi, wciąż słyszałem kroki za sobą. Żeby nastraszyć prześladowcę, opuściłem laskę stalową, którą miałem w ręku, i zaczepiłem ją o parę kamieni na drodze. Laska zabrzęczała i ku wielkiemu zadowoleniu spostrzegłem, że dźwięk doleciał i do uszu człowieka, idącego za nami. Zatrzymał się on i wkrótce usłyszałem jego pośpieszne kroki, skierowane z powrotem do domu.

Lecz uchodząc od naszego prześladowcy, posunęliśmy się zbyt daleko, zbliżyliśmy się do toru kolejowego, przy którym stała budka dróżnika. Gdy człowiek, idący za nami, już nas opuścił, usłyszeliśmy przed sobą dźwięk, który ucho rewolucjonisty w zaborze rosyjskim wyróżni z pomiędzy całego mnóstwa innych. Był to dźwięk ostróg, dowodzący, że ich posiadacz, prawdopodobnie żandarm, stanowiący część „pogotowia ratunkowego” policji, był o kilka kroków przed nami. Skręciliśmy odrazu na prawo, na szeroką drogę, wiodącą do sąsiedniej kopalni. Nagle za nami usłyszeliśmy groźny okrzyk w języku urzędowym.

— Stoj! Kto idiot? — krzyczał żandarm. Szedł za nami, bo ostrogi jego brzęczały dalej.

Nie odpowiadaliśmy ani słowa i przyspieszyliśmy kroku. Droga była równa, bez żadnych zakrętów, lecz o parę minut drogi po lewej stronie musieliśmy znaleźć dół dosyć głęboki — pozostałość po dawnych kopalniach. Postanowiliśmy zbiedz, a raczej zsunąć się do tego dołu, przebiedz go wszerek i po drugiej stronie wydrapać się z niego. Byliśmy przekonani, że żandarm nie ośmieli się iść za nami w głąb dołu.

Lecz nim doszliśmy do celu, żandarm raz jeszcze krzyknął nam, żebyśmy się zatrzymali. Naturalnie żadnej odpowiedzi nie otrzymał. Po chwili, gdyśmy już byli nad dołem, rozległ się wystrzał jeden, a następnie drugi. Dodało to nam, rzecz prosta, charakteru w nogach. Piorunem zsunęliśmy się do dołu i zniknęliśmy w mrokach nocy. Żandarm nie gonił nas.

Po kilku dniach dowiedziałem się o rozmowie, jaką miał nasz pierwszy prześladowca. Był to górnik z kopalni. Gdy wrócił do domu, opowiedział swemu koledze, którego znałem, o tem, że spotkał na ulicy tych, „co rozlepiają odezwy“. Opowiadał, że chciał się przypatrzeć takim ludziom i biegł ku nim.

— Bój się Boga! — przerwał mu opowiadanie mój znajomy — ależ oniby cię mogli potraktować sztyletem. Może sądzili, że chcesz ich łapać.

— Właśnie! — odpowiedział górnik — nie głupim. Jak tylko zabrzączał „on“ swym nożem, ja zaraz w nogi. Odważni ludzie te socyalisty!

O innym zabawnym wypadku, który miał miejsce w Warszawie przy puszczeniu odezwo majowych, słyszałem następujące opowiadanie:

Stróż na dalszem przedmieściu stolicy zauważył człowieka, przylepiającego papier do parkanu. Natychmiast skoczył ku niemu, by go zatrzymać. Lecz człowiek, chcąc umknąć, zdążył wskoczyć na parkan w chwili, gdy stróż do niego podbiegał. Już przerzucił jedną nogę na drugą stronę parkanu, gdy go stróż schwycił za spodnie na drugiej nodze. Nasz towarzysz znalazł się w dosyć niewygodnej pozycji. Parkan był bardzo wąski, stróż ciągnął go za spodnie w dół, w każdej chwili mógł on spaść z parkanu w objęcia stróża. Zebrał więc wszystkie siły i kopnął nogą w twarz ściągającego go stróża. Ten nie wytrzymał uderzenia. Przewrócił się, lecz urwał, padając, dolną część spodni towarzysza, który również nie potrafił zachować równowagi i ze zdefektowanym ubraniem spadł z parkanu po drugiej stronie do jakiegoś ogrodu. Pomimo, że się nieco potłukł, natychmiast podniósł się i zemknął. A zmykając, słyszał przeraźliwe gwizdki stróża i wołania jego: „łapaj złodzieja!“

Ten okrzyk: „złodziej“ nieraz słyszą nasi towarzysze przy łapaniach i aresztowaniach. Władza i organy policyjne wiedzą doskonale, że walka rewolucyjna, przeciwrządowa w Polsce otoczona jest tak powszechnem współczuciem i sympatjami, że trudno rachować na pomoc otoczenia, gdy się ma do czynienia z rewolucjonistami. Przeciwnie, spotkać mo-

zna w takich wypadkach nie pomoc, lecz przeciwdziałanie. I oto, gdy trzeba się uciec do pomocy publiczności, gdy się chce wywołać współdziałanie ludzi, nie mających zaszczytu być oficjalnymi podporami azyatyckiego tronu carskiego, używa się hasła: „łapaj, trzymaj złodzieja!“

Mimowolni sprawcy aresztowania „politycznego“ nieraz gorzkie robią sobie wyrzuty, że się stali pomocnikami ohydnych gwałtów policyi carskiej. Spotkałem razu pewnego pod Wilnem jednego kolejarza, który mi ze łzami w oczach opowiadał o takim fakcie.

— Szedłem — mówił mi wzruszonym głosem — późnym wieczorem po ulicy. Słyszę za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka i krzyk: „łapaj, złodziej, złodziej!“ Odwracam się, przedemną młody żydek z wystraszoną twarzą, zadyszany i spocony. Chciał biedak skrócić do zaułka, w którym prawdopodobnie znikłby i umknął od prześladowców. Lecz ja, nic nie wiedząc, schwyciłem go za kark. A tuż za nim wpadli naraz: rewirowy i dwóch stójkowych.

Jeden z nich uderzył żydka w twarz, łajając.

— Ach, ty sukinsyn! — krzyczał — parszywyj żyd, buntował’ wzdumał — rewirowy trzymał w ręku jakiś papierek.

Ręce mi opadły gdym to usłyszał. Mój ty Boże — dodał z westchnieniem — i czemu też nie rzeknął mi on przed chwilą, że go ściga policya za politykę!

Wobec tego należy być nadzwyczaj ostrożnym w udzielaniu jakiegokolwiek pomocy

policyi, należy się wystrzegać tego szczególnie w czasie zaburzeń i rozruchów ludowych i podczas dni, gdy policya jest niespokojną i nerwową.

ZAKOŃCZENIE.

Zatrzymałem uwagę swych czytelników może zbyt długo nad bibułą, zdaje mi się jednak, że zasługuje ona na to. Słowo drukowane w obecnych społeczeństwach jest uznaną powszechnie potęgą. Jego postęпами, jego rozwojem, jego rozpowszechnianiem mierzą niektórzy siłę, owoc i stan cywilizacji i kultury. A jak my, Polacy, w zaborze rosyjskim stoimy pod tym względem? Odpowiedź łatwa.

Dosyć sobie przedstawić ludzi, którzy nie mają prawa czytać niesfałszowanej historii swego narodu; dosyć widzieć utwory naszych wieszczów, pokaleczone brutalną ręką cenzorów; dosyć pomyśleć, że istnieje nowoczesne społeczeństwo, w którem stronnictwa polityczne albo są pozbawione prawa istnienia, albo w najlepszym razie skazane na przemawianie potwornym, niewolniczym językiem Ezopa; dosyć wyobrazić sobie, że szeroka, tak bolesna dla nas działalność rządowa podlegać nie może wcale publicznej krytyce — a często nawet zwykłemu omówieniu; dosyć tego wszystkiego, by wiedzieć, jak nieodpo-

wiadającym potrzebom społeczeństwa jest stan legalnego słowa drukowanego, jak poniżej wyglądamy wobec innych narodów.

Lecz chociaż „żyjemy w pomroczy“, żyć chcemy. I oto, jako dowód tego życia, wytwarzamy wspaniałe zjawisko — tajną, nielegalną literaturę, ilością prawie dorównującą legalnej, a wpływem może ją przerastającą. Wbrew gwałtom i przemocy, pomimo turm i knuta, naród nasz w swem łonie wytwarza, jak i inne szczęśliwsze narody, stronnictwa i partye, żyje skomplikowanem, nowoczesnem życiem politycznem, a najczęstszym tego życia dowodem jest nie co innego, jak nielegalne słowo drukowane — bibuła.

Jak już zauważyłem, wszystkie stronnictwa w Polsce walczą tą bronią, lecz, rzecz prosta, ci, którym dzikie, azyatyckie urządzenia caratu odmawiają prawa bytu, muszą się do niej uciekać częściej, najbardziej nad jej wyostrzeniem pracować. Są nimi demokraci wszelkiego gatunku, a przedewszystkiem socjaliści, jako ludzie, których sama nazwa, sama etykieta należy do rzeczy, prześladowanych bezlitośnie. Więc zwycięstwo, rozwój swobodnego, nieskrępowanego pęta cenzury słowa, to przedewszystkiem ich zwycięstwo.

Lecz jest ono zarazem zwycięstwem ich — demokratów — i na innem polu, polu, które tak długo, niestety, odłogi u nas leżało. Tem polem jest dusza narodu, narodu, rozumianego nie jako kasta, nie jako cieniutka warstwa ludzi, uposażonych w bogactwa

i wykształcenie, lecz jako ogromny, wielomilionowy konglomerat ludzi, związanych wspólną mową, historią i poczuciem przynależności do tego, a nie innego narodu, konglomerat, w którym olbrzymią większość stanowi lud pracujący wiejski i miejski. Ta dusza, tak długo w bierności pogrążona, budzić się zaczyna. A przecie wszystkie złe duchy naszej przeszłości i teraźniejszości — ciemnota i niewola, knut najeźdźnika i interes wyzyskiwacza — sprzysięgły się, by tę duszę w bezwładnej bierności utrzymać. I jeśli obecnie jesteśmy świadkami tego, że „lud drga i szumi jak fala wód“, to zawdzięczać to należy „gorącemu oddechowi słowa“, słowa demokratycznego, nawołującego go do samodzielnego życia. A słowo to w zaborze rosyjskim jest przede wszystkim słowem drukowanym — bibułą.

To też niejednen z nas, rewolucjonistów, żołnierzy demokracji, patrzy na bibułę, jak na wiernego towarzysza broni, druha serdecznego, współbojownika niezawodnego, z którym się dzieli twarde, obozowe życie rewolucyjne, z którym się zwycięża i ginie. Pamiętam w X pawilonie zawołano mię pięknego dnia sierpniowego na badanie. Otoczony strażą, wszedłem do pokoju, w którym zastałem oficera żandarmeryi, schylonego nad arkuszem papieru. Usiadłem naprzeciw niego i rzuciłem okiem na stół, zielonem suknem obity.

Stół był pokryty prawie zupełnie papierami urzędowymi, protokółami i innymi pro-

duktami pracy żandarmskiej. Lecz na brzeżku stołu ujrzałem plamę, żywym czerwonym kolorem rozweselającą nieco szare, bezbarwne tło przybytku nowoczesnej inkwizycji. Przyjrzałem się tej plamie uważniej i mimowoli wyciągnąłem w tym kierunku rękę. Była to broszura: „Czego chcą socjaliści“. Niegdyś przed paru laty byłem obecnym przy jej drukarskich narodzinach w Londynie.

Pisał ją emigrant, tułacz obce wycierający kąty. Pisał ją gdzieś w górzystej Szwajcarii, myślą i uczuciem tkwiąc w równinach mazowieckich, współczując wszystkimi nerwami niedoli dalekich w przestrzeni, lecz blizkich w sercu chłopów z nad Wisły. Składali ją w Londynie zecerzy, również emigranci; składali, nieraz nie wiedząc, czy jutro kawałek mięsa ujrzą na swym talerzu, z myślą o dalekim ojczystym kraju. I oto myśl i troska serdeczna autora, skryształizowana pracą zecerów w czarnych, drobnych literkach, rozsianych po szmatkach papieru, ubrana w barwną sukienkę okładki, przybrała formę tego, co dalsi jej opiekunowie nazywają żartobliwie bibułą.

Jako bibuła, książeczka, zgodnie z intencją swych ojców, powędrowała z mglistej Anglii do ich ojczyzny. Gdyby ona mówić, opowiadać mogła, usłyszaliby z pewnością ciekawą, pełną romantycznych przygód, historię. Tulila ją może do gorącego łona opakowana bibułą dromaderka partyjna, leżała ona w składach, w ciemnych koszach i walizkach. Schowana na dnie „brunetki“, czy

„blondynki“, trzęsła się w wagonach, prze-
mykała się przez sieci trzeciej linii zielo-
nych, drżała pod okiem szpiclów i żandar-
mów. Wreszcie poszła w świat, rozpoczęła
swą służbę.

Była może i w podartych kieszeniach szcze-
lnie zapiętych mundurów akademickich i w za-
szmelcowanej, przesiąkłej potem kieszeni ro-
botnika na fabryce, ukrywała się w zanadrzu
siermięg chłopskich. Przyjmowano ją różnie:
uśmiechem pobłażliwości, okrzykiem zachwytu,
wzrokiem nienawiści. I oto wreszcie przyszedł
koniec, śmierć obywatelska księżeczki.

Pod osłoną mroków nocy do ostatniego jej
przybytku wpadli jej prześladowcy — błęki-
tne podpory tronu carskiego. Z brzękiem
ostróg, z hałasem nieznanych, obcych jej wy-
razów, wyciągnięto ją skądś z ukrycia, być
może brutalnie naigrawano się z jej bezsil-
ności. Rzucono ją pogardliwie na stół, ją —
córkę swobody — umieszczono w sąsiedztwie
z wstrętnymi, ociekającymi krwią, cuchnący-
mi katownią papierami — aktami przemocy
i niewoli.

W tem samem położeniu byłem ja, jej to-
warzysz broni, świadek jej urodzin w obcym,
lecz swobodnym kraju. Skończyły się dla nas
piękne dni swobody, przerwało się pasmo
przygód, urwała się dla nas walka, a zaczęły
się szare, jednostajne dni poniżającej niewoli.
Byliśmy tym jeszcze razem zwyciężeni. Lecz
to spotkanie w domu niewoli — krótkotrwałe
co prawda, bo żandarm spostrzegłszy kieru-
nek mego wzroku, przykrył pospiesznie czer-

woną, wołającą o życie, plamę szarym urzędowym papierem — sprawiło mi przyjemność. Byliśmy zwyciężeni, ale gdyby ta drobna książeczka myśleć i mówić była w stanie, to milknąc na wieki w mrocznych murach katowni carskiej, powiedziełby mogła swym wrogom słowami poety:

Choć mi się oprzesz dzisiaj — przyszłość moja
I moje będzie za grobem zwycięstwo!

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



Biblioteka Śląska

404302

I

kdd — 913/65 — 50 000 szt.

DRUKARNIA WŁ. TEODORCZUKA I S-KI